

**Grażyna Bąkiewicz**

# **Opowieść z perłą w tle**

Ludzie, nie wiercie w to, co przeczytacie.

## 1

Dzień zaczął się banalnie. Cisza i spokój. Nie zanosilo się na nic specjalnego. Może zawsze tak jest, że na początku wszystko wydaje się zupełnie normalne.

Przy większości biurków było pusto. Kręciło się tylko kilku stażystów, ale i oni jeden po drugim znikali. Nawet szef zapadł się pod ziemię. I ja miałam parę spotkań na mieście, ale zaplanowałam je dopiero na popołudnie. Z listy, którą wczoraj opracowałam, wykreśliłam wszystko, co nie musiało być zrobione na już. Po kilku kolejnych przeróbkach grafik stał się niemal pusty. Niezmienna była tylko pierwsza pozycja; obiad z Michałem. Umówiłam się z nim na pierwszą. Wybrałam restaurację na skarpie.

Redakcyjny zegar zasnął. Już trzeci raz na niego zerknęłam, a tam ciągle jedenasta. Czekają mnie sporo pracy, ale przynajmniej przez kilka minut nie chciałam o niczym myśleć. Oparłam się o parapet i wyrzesałam przez okno. Widać stąd spory kawałek ulicy i pas zieleni ciągnący się aż do rzeki, dalej port, wzgórze na drugim brzegu i ruiny zamku na skale. Ładnie, ale sęk w tym, że każdy widok po jakimś czasie się opatrzy, bo z okna po prostu widać to, co widać. Nad parkiem szybowała pustułka. A może jakiś inny ptak. Nie będę się spierać.

Z nudów patrzyłam na kilku wyrostków idących całą szerokością chodnika. Wszyscy poruszali się tym samym rozkołysanym krokiem. Z łapami wciśniętymi w kieszenie, pochylonymi ramionami, łokciami przy bokach i spuszczoneymi głowami wyglądali niebezpiecznie. Jakby uwięziona w nich energia miała lada chwila wybuchnąć. Widać było, że wprost nie mogą się tego doczekać.

Nawet jeśli nic nie mówili, niemal słyszałam, jak obrzucają obelgami wszystko, na czymkolwiek zatrzymuje się ich wzrok. Nie potrafiłam uwolnić się od myśli, że mój syn mógłby być jednym z nich, mógłby czuć swą siłę, moc i buzującą energię.

Nie spodobało mi się to, o czym pomyślałam. Sytuacja tam na dole nie miała ze mną nic wspólnego, a poczułam tak silny dreszcz, aż ścisnęłam nogi ze strachu. Zawsze tak reaguję, gdy na coś czekam, i sama nie wiem na co. Zupełnie jakby podświadomość wcześniej wykrywała zagrożenie i przygotowywała mnie do nowej sytuacji.

Nawet nie musiałam długo czekać. Zagrożenie objawiło się dosłownie po paru sekundach w postaci Lulu, kierownika działu, mojego szefa. Wszedł zza rogu i maszerował w stronę redakcji dziarskim krokiem. Od razu przypomniałam sobie, czego jeszcze nie zrobiłam, choć powinnam. W tej samej sekundzie zauważyłam coś, o czym on jeszcze nie wiedział. Z mojego punktu obserwacyjnego widać było, że drogi, jego i chłopców, za moment się skrzyżują. No, ciekawe...

Za moimi plecami, na biurku, zabrzączał telefon. Pochyliłam się i sięgnęłam po słuchawkę. Jakiś niepewny głos powiedział, że na placu Zawiszy coś wkrótce będzie się działo. Głos brzmiał młodo, niemal chłopięco, więc nie bardzo mu wierzyłam. Wyczuwalne napięcie sprawiło jednak, że próbowałam się skupić.

— Co mianowicie? Co się będzie działo? O co chodzi?

— Przyjedź, to zobaczysz.

Zza okna dobiegły wrzaski. Wciąż ze słuchawką przy uchu wysunęłam głowę, by sprawdzić, co tam na dole się zmieniło. Lulu wykazał się niezłą intuicją i zahamował przy spożywczym, by przeczekać, aż pijani chłopcy skręcą w alejkę i znikną wśród dziczynej zieleni. Park za naszą redakcją to ostoja takich jak oni. Nikt tam nie przychodzi oprócz dzikich kotów, włóczęgów i pijanych gnojzków. Każdy inny, kto by się odważył na spacer parkowymi alejkami, mógłby

stracić portfel, spodnie, cnotę albo życie. Nie dalej jak miesiąc temu znaleziono tam trupa. My tu na górze wiemy o tym lepiej niż reszta ludzi.

Usłyszałam stuk odkładanej słuchawki.

— Zaczekaj...

Ale anonimowy informator już się rozłączył. No trudno. Zanotowałam na skrawku papieru „plac Zawiszy” i wróciłam do sceny za oknem przekonana, że już chyba przegapiłam koniec opowieści. Ale nie. Najbardziej ekscytujący moment dopiero miał nastąpić. W chwili gdy wychyliłam głowę, pod budynkiem redakcji zahamował samochód, prawdziwy krążownik szos. Przyjechał prezes Czernik. Powinnam powiedzieć: PREZES. Od czasu do czasu widzujemy go, jak idzie korytarzem z marsową miną człowieka przekonanego, że wszyscy inni poza nim to idioci. Miesięcznie zarabia kilkadziesiąt tysięcy i jest święcie przekonany, że nikt nie wie, jaki procent dochodów gazety przesyłany jest na jego konto. To zresztą mało znacząca suma w porównaniu z milionami, jakimi obraca. Jego interesy trudno nazwać uczciwymi, ale nie znam takiego, kto spróbowałby zarzucić cokolwiek Czernikowi. Ma duże udziały w naszej gazecie. W innych zresztą też. Jakkolwiek by to nazwać, jesteśmy jego niewolnikami. Od czasu do czasu zjawia się w redakcji, aby omówić z dowództwem dalszy kierunek naszej działalności, czyli kogo obsmarować, komu przywalić mocniej niż innym, a kogo ozłocić, tak żeby naród wiedział, kto jest jeszcze wart miłości, a kto już nie za bardzo.

Dzisiaj widocznie mamy dzień konsultacji.

Prezes wysiadł ze swojego wspaniałego auta akurat w momencie, gdy zza rogu wyłoniła się banda podpitych wyrostków. Niezła synchronizacja, jak w filmie. Bluzgając przekleństwami, chuligani parli wprost na osamotnionego mężczyznę w eleganckim garniturze, ze złotym zegarkiem na rękę, komorą, portfelem i co tam jeszcze miał w kieszeniach. Znalazł się na ich drodze albo oni na jego, zależy z czyjego punktu widzenia na to patrzeć. Dwadzieścia metrów dalej stał mój bezpośredni zwierzchnik i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Czy okazać lojalność, wyjść z ukrycia i walczyć ramię w ramię z prezesem, czy zostać tam, gdzie jest, i udać, że nie dostrzega niebezpieczeństwa. Zdecydował się na drugą opcję.

Brawo. Sama lepiej bym nie wybrała.

Wychyliłam się bardziej, żeby niczego nie uronić z rozgrywającej się na ulicy sceny. I w tym właśnie momencie obydwaj, niezależnie od siebie, może ściągając moim wzrokiem, a może z całkiem innego powodu, niemniej jednocześnie unieśli głowy. Kurczę. Cofnęłam się gwałtownie, ale i tak nie zdążyłam. To był ułamek chwili, poczułam jednak ich spojrzenia. Cała nadzieja, że słońce odbite od szyb oślepiło obydwu na tyle, że poza cieniem w oknie niczego więcej nie zarejestrowali. Może. Nie jestem pewna.

Odczekałam jedno uderzenie serca i znów byłam na posterunku. Nikt teraz siłą nie oderwałby mnie od okna.

Prezes zatrzymał się na środku chodnika. Każdy inny dla własnego dobra zszedłby na bok, pod mur albo na jezdnię. Pewnie każdy, ale nie on. I nie w sytuacji, gdy miał świadomość, że jest obserwowany. Nadal paliło mnie jego spojrzenie. Miał w sobie coś z przyczajonego, gotowego do walki tygrysa. Tamci nadeszli, a on stał na środku chodnika i nie ustąpił nawet na krok. I jak myślicie, co się stało? Nic. Zupełnie nic. Chłopcy ominęli go, wywrzaskując coś tylko dla siebie istotnego. Dziwne? Właściwie nie. On zwyczajnie nie bał się tych łobuzów, bo był taki sam jak oni. Gdyby przyszło co do czego, biłby się z nimi, tarzał w kurzu, nie zważając na drogi garnitur, białą koszulę, zegarek, komorę i co tam jeszcze mogło mu się zniszczyć. Wyglądał na silniejszego i bardziej zdecydowanego od tych małych mięczaków wychowanych na piwie i papierochach. Tamci zaś instynktownie wyczuli zapach swojego, tyle że lepszego, bo już z forsą, o którą oni będą dopiero musieli powalczyć.

Ledwie chłopcy zniknęli w parkowej alejce, Lulu odzyskał pewność siebie i cały zatroskany dogonił Czernika. Zdawał sobie sprawę, że któryś z podwładnych był świadkiem jego hańby. Musiał czym prędzej nadrobić stracone punkty.

— Co za dzicz! — Prężył pierś, udowadniając, że był tu cały czas, gotów do interwencji.

— To czemuś ty, kur..., stał tam jak ten h... złamany? — usłyszałam tubalny głos prezesa.

W tym momencie nie żałowałam mu tych dziesiątek tysięcy, które podbiera z kasy. Należały mu się. A jeśli nawet nie, to potrafił je sobie wziąć bez niczyjego pozwolenia.

Zrobiło mi się żal mojego szefa. W kościach czułam, że zaczną się kłopoty. Nie wiedziałam tylko, czy dotyczyć będą jego, czy mnie. Wołałabym... Oczywiście wiadomo, co bym wołała.

\* \* \*

Usiadłam przy komputerze, przybierając najbardziej znudzony wyraz twarzy, na jaki w tej chwili było mnie stać. Wewnętrzne drżenie nie ustąpiło, czyli to, co się miało zdarzyć, jeszcze nie nadeszło. Czułam żar w żołądku. Ledwo zdołałam umieścić na ekranie monitora jakiś dokument, a drzwi się otworzyły i stanął w nich Lulu. Z bliska jest niewysokim, pulchnym, trochę zniewieściałym facetem. Mówimy na niego Lulu, bo z dołeczkami w policzkach wygląda na czyjąś młodszą siostrę. Gdyby mógł, ubierałby się na różowo, ale dobre obyczaje zezwalają mu tylko na kitkę związaną gumką i niebieski garniturek z dzinsu. Nabył go jeszcze w czasach studenckich i pewnie będzie nosił do śmierci, bo wydaje mu się, że wygląda młodzieńczo. Palant.

Wyglądał fatalnie, zupełnie jakby miał lada moment zwymiotować. Jego twarz pokryta była potem. Pomyślałam z zadowoleniem, że to nie najlepsza chwila w jego życiu.

— Cześć, sama jesteś? — spytał, bezskutecznie starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Gdybym była dość mądra, powiedziałabym, że są nas tu setki, tysiące, tylko akurat teraz, nie wiadomo czemu, wszyscy pochowali się po kątach. Pewnie czegoś się obawiali. Ale ja, jak głupia, kiwnęłam głową i dopiero w trakcie tego kiwnięcia uświadomiłam sobie własny błąd. Lulu minął mnie bez słowa i pomaszerował do swojej szklanej zagrody. Nim ochłonęłam na tyle, by podjąć jakieś działania obronne, stuknął w szybę, przywołując mnie władczym gestem. Matko Boska, no to koniec ze mną.

Nie miałam mu za złe tchórzostwa, ale jak niby mogłam mu to zakomunikować? Sama też nie jestem przykładem odwagi.

Na szczęście jedyną bronią, jaką w tej chwili dysponował, było dodatkowe zlecenie na popołudnie. Konferencja jakiegoś początkującego polityka.

— Na dzisiaj mam już trzy zaplanowane spotkania. Dlaczego nie wyślesz tam Laury albo Szymona, albo któregoś ze stażystów? — Próbowałam się buntować, choć wiedziałam, że to nic nie da. To nie było zwykłe polecenie, tylko kara za podglądanie.

— Nikt inny się do tego nie nadaje. Ty jesteś w sam raz — powiedział z przekonaniem.

Akurat.

Przyjęłam karę z godnością, ale na myśl, że przez najbliższą godzinę będzie przewiercał mnie wzrokiem i kombinował, co by tu jeszcze na mnie zwalić, zrobiło mi się słabo. Znam go na tyle, by wiedzieć, że jak tylko złapie drugi oddech, zacznie robić wszystko, by odzyskać sponiewierany autorytet. A niestety, poza mną nie było nikogo, na kim mógłby ćwiczyć swoją silną wolę.

Przemyślałam sytuację i podjęłam szybką decyzję. Prawo jazdy i portfel schowałam do kieszeni. Odsunęłam krzesło od biurka i przyjęłam pozycję: do biegu gotowi... Wystarczy, że się odwróci, a mnie już nie będzie. Czary-mary. Po prostu zniknę. Ten element gry opanowałam do perfekcji.

Uwaga... uwaga... Teraz.

Nawet jeśli coś spostrzegł, to nie miał jak zareagować. Zresztą torebka została na biurku, kurtka na wieszaku, więc nie było powodu do niepokoju. Jak zatęskni i zadzwoni do recepcji, strażnik przysięgnie na wszystkie świętości, że nie wychodziłam i muszę być gdzieś w budynku.

A właśnie, że nieprawda.

Nie musiałam korzystać z głównego wyjścia, by niepostrzeżenie znaleźć się na zewnątrz. Znałam boczne drzwi, zamknięte na klucz, zaryglowane potężną sztabą i dla większej pewności zastawione szafą. Wychodzą na park i z wiadomych powodów nie korzystamy z nich od lat. Nie znam nikogo, kto odważyłby się wyjść tamtędy. Chyba że byłby tak zdesperowany jak ja teraz. Przy odrobinie szczęścia dotrę do centrum w pięć minut. A wrócę wtedy, gdy mi się zachce. Może przebiegnę się na ten plac Zawiszy albo położę po sklepach, zobaczę jeszcze, na co będę miała ochotę.

Minęłam na schodach kilku znudzonych stażystów z innych działów i zeszałam do części magazynowej, tam gdzie wolno palić. Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i wcisnęłam za szafę, która wcale nie stoi przy samej ścianie, choć tak się wydaje. Otworzyłam drzwi do magazynku, ominęłam slalomem pudła i skrzynie ustawione specjalnie tak, by sprawiały wrażenie bariery nie do przebycia, zdjęłam sztabę z metalowych drzwi, przekręciłam klucz i już.

Byłam wolna.

Klucz znalazłam w pierwszym tygodniu pracy tutaj, gdy Lulu kazał mi przetrząsać magazyn w poszukiwaniu jakichś archiwalnych materiałów.

— Nie bądź głupia — szepnęła mi wtedy taka jedna. — Te gówniane materiały nie są mu do niczego potrzebne poza udowodnieniem, kto tu rządzi.

Skorzystałam z mądrej rady i czas, który zmarnowałabym na przeszukiwanie półek z rocznikami gazet, przeznaczyłam wtedy na sprawdzenie, do czego pasują znalezione na parapecie klucze. Okazało się, że otwierają boczne wyjście. To było pierwsze z wielu popołudni, jakie spędziłam na ławce w krzakach. Od czasu do czasu, gdy mam doła, korzystam z tej drogi ucieczki. Tak jak dziś.

\* \* \*

Zamek lekko pstryknął.

Uchyliłam ciężkie drzwi i w tej samej chwili usłyszałam tupot buciorów, chrzęst żwiru i powiew czegoś nieprzyjemnego. Krzyki dotarły do mojej świadomości sekundę później. Brzmiały raczej jak nawoływania, coś w rodzaju zorganizowanej nagonki. Przez szparę zobaczyłam grupę biegnących mężczyzn. Biegli, rozglądając się czujnie, jak podczas polowania. Stłumiłam w sobie pragnienie natychmiastowego zatrzęsnięcia drzwi. Taki odgłos z pewnością zwróciłby ich uwagę.

Znieruchomiałam i trwałam w tej pozycji, mimo że mężczyźni już kilka sekund wcześniej zniknęli mi z pola widzenia. Słuchałam cichnących odgłosów, rozczarowana myślą, że z wyjścia w teren będę musiała, niestety, zrezygnować. W takiej sytuacji nie odważę się przejść przez park. Co za pech. Z bólem serca zaczęłam ostrożnie domykać drzwi i właśnie wtedy zauważyłam tego chłopaka. A on mnie. W jednej chwili nasze spojrzenia się spotkały. Gramolił się z krzaków. Z głowy lała mu się krew. Od pierwszej chwili świadoma, że nie powinnam tego robić, otworzyłam szerzej drzwi i wpuściłam go do środka. Dopiero wtedy zamknęłam, uważając, by zrobić to najciszej, jak się tylko da. Zamek lekko brzęknął. Cały czas napominałam się, że za takie dobre uczynki trzeba potem słono płacić. Ale już było za późno.

Jedno, co mi pozostało, to za dużo nie myśleć.

Chłopak oparł się o ścianę i zsunął po niej plecami. Jego czoło wyglądało jak przecięte nożem. Brzegi rany były rozchylone. Wewnątrz pulsowało mięso. Krew wypływała strumieniem i zalewała oczy, koszulę, podłogę, była wszędzie dookoła. Morze krwi. Chłopakowi lśniły od niej włosy. Nie wiedziałam, że krew jest taka ciemna, gęsta, połyskliwa. Płynęła bez przerwy. Wpatrywałam się w nią zafascynowana, wprost nie mogłam od niej oderwać oczu.

— Co się tak gapisz? Zrób coś! — warknął i to sprawiło, że oprzytomniałam.

— Tylko mi tu nie zemdlej — odwzajemniłam się.

Uklękłam, ujęłam palcami brzegi rozciętej skóry i ściągnęłam.

W momencie gdy go dotknęłam, poczułam jakby elektryczny wstrząs. Chyba go zabolalo, ale patrzył na mnie obojętnie, z lekką drwiną. Jego ciało, twarde i napięte, stawiało opór moim dłoniom. Trzymałam krawędzie rany, jak mogłam najmocniej, łudząc się bezsensowną nadzieją, że jak puszcze, brzegi będą już zrosnięte. Wystarczyło jednak, że zwolniłam ucisk, a krew znowu popłynęła. Zrobiło mi się słabo.

— Siedź tutaj, nie ruszaj się, pójdę po apteczkę.

Tak naprawdę miałam ochotę zwiać.

Moje palce, mokre i lepkie, ślizgały się po kłamce.

Z apteczki w łazience wyciągnęłam plaster, gazę i co mi wpadło w ręce. Dopiero w lustrze zauważyłam krew na swetrze. Cała byłam we krwi. Zimna woda! Krew spiera się zimną wodą. Musiałam to sprać, zanim zaschnie. Puściłam strumień i trzymałam pod nim ręce, póki nie poczułam, że wraca mi rozum. Powinnam wezwać karetkę. A lekarz zawiadomiłby policję.

Gdy wróciłam, chłopaka nie było. Uciekł. Widocznie uznał, że tak jak i tamci, należę do jego wrogów.

Właściwie odetchnęłam z ulgą, ale zamiast wracać do swoich spraw, wyszłam na zewnątrz i zaczęłam go wypatrywać. Sama nie wiem, o co mi chodziło. Oczekiwałam podziękowań czy co? Żałowałam, że nie przyjrzałam mu się dokładniej. W pamięci pozostało tylko wyobrażenie dzikiego, bezczelnego gnojka. Miałam jego krew na rękach.

Na ławce w krzakach zostawiłam plaster i wszystko, co przyniosłam. Zrobiłam tyle, ile potrafiłam. Gdybym zamknęła mu drzwi przed nosem, mogłabym mieć do siebie żal. A i tak byłam zła, chociaż sama nie wiedziałam o co. Przecież więcej nie mogłam dla niego zrobić i chyba nawet nie chciałam. On też niczego więcej się po mnie nie spodziewał.

Zamknęłam drzwi, założyłam sztabę i wróciłam na górę.

Mimo wszystko poczułam przyływ ożywczej energii. W chwili natchnienia uzupełniłam swój grafik, wpisując wykreślone wcześniej wywiady. Powinnam już wyjść, by zdążyć na obiad.

— Gdzie byłaś?

Lulu pojawił się nie wiadomo skąd.

— Źle się czuję. Dostałam okres.

Głupio mi było kłamać, ale to jedyny sposób, by odpędzić go od siebie. Facetowi wystarczy powiedzieć coś takiego, a momentalnie traci wątek. Wszystkie argumenty, które przygotował, straciły znaczenie wobec niespranej do końca plamy krwi na rękawie. Oboje nie mogliśmy oderwać od niej oczu.

— Nie, nie, nic, nic. Rzeczywiście, marnie wyglądasz. Jedź na trochę do domu, bo potem masz jeszcze sporo zajęć.

No i o to chodziło.

Skorzystałam skwapliwie z możliwości ucieczki. W końcu zasłużyłam na nagrodę. Na dole, w szafie, miałam czyste rzeczy. Mogłam sobie oszczędzić jazdy do domu. Włożyłam czystą bluzkę,

dzinsy zamieniłam na bardziej seksowną spódnicę i fajnie. Czulałam się doskonale. Byłam już głodna i w nastroju w sam raz na obiad.

Ale się Michał zdziwi, jak mu opowiem.

## 2

Miałam jeszcze trochę czasu, akurat tyle, by pojechać okreśną drogą przez plac Zawiszy. Może rzeczywiście będzie tam się coś działo?

I co? I pstro. Nic się nie działo poza tym, że samochody jeździły, ludzie chodzili, a domy stały, tam gdzie zostały postawione. Zwykle leniwe południe w ponurej części miasta. Informacja okazała się fałszywa. Często tak bywa. Dzieciaki dzwonią pod redakcyjny numer, żeby się zabawić. No i na zdrowie. Dzisiaj miałam wiele wyrozumiałości dla odmieńców, bo przekonałam się, że płynię w nich prawdziwa krew, taka sama jak u normalnych ludzi.

Pogapiłam się na zabazgrane mury. Poczytałam napisy. Jeden mi się podobał: „Śmierć bohaterom”. Reszta to pornograficzne safari. Wszystko aż się prosiło o nową warstwę farby.

Usłyszałam za sobą klakson samochodu. Ktoś się denerwował, bo nieprawidłowo zaparkowany tir blokował wyjazd z placu.

Zrobiłam trochę zdjęć i miałam jeszcze kwadrans, czyli w sam raz tyle, ile potrzeba, by obejść plac wokół. Sklepy spożywcze, pralnia, apteka, jeszcze jedna apteka, biura różnych firm, w tym biuro rzeczy znalezionych... Nie, naprawdę? Aż się zatrzymałam. Napis głosił: „Biuro rzeczy znalezionych”. Nie sądziłam, że ktokolwiek u nas oddaje to, co znajdzie. Ale widocznie są tacy, skoro istnieje specjalne biuro. Chciałam wejść i spytać, jak to jest z tym oddawaniem zgub, ale nie miałam wystarczająco dużo czasu. Postanowiłam przyjść tu któregoś dnia, bo to świetny temat na artykuł; jak ludzie traktują prawo własności w przypadku rzeczy, które znajdują. Z dzieciństwa pamiętam formułkę: „znalezione, nie kradzione”. Czy może w tej kwestii funkcjonują jakieś zasady prawne? Ciekawe.

\* \* \*

Coraz więcej samochodów miało problem z wyjazdem. Dobrze, że swój zostawiłam na sąsiedniej ulicy. Wolałam się ewakuować, póki jeszcze się da. Nie chciałam być w skórze kierowcy tira, gdy wróci.

Podjechałam do portu, a potem ruszyłam pieszo w kierunku restauracji na skarpie. Czulałam ciepło na plecach między łopatkami. Może od słońca, ale wolałam myśleć, że to od spojrzeń. Wiem, że dobrze wyglądam, i cieszy mnie, gdy gapią się na mnie mężczyźni, a jeszcze bardziej, gdy uda mi się zaniepokoić niektóre kobiety.

Wolałam iść wolno, leniwie kołysząc biodrami, ale to jedna z rzeczy, których nie potrafię. Nawet jeśli zwolnię, to i tak po chwili mój krok staje się sprężysty, zdecydowany. Dlatego wszędzie jestem za wcześnie.

Chciałam, żeby choć raz to Michał czekał na mnie.

Specjalnie wybrałam tę knajpę, żeby miał blisko. No, powiedzmy, że dlatego.

Prawda jest taka, że lubię tu przychodzić. Ten lokal ciągle mnie zadziwia. Za każdym razem czymś innym. Przychodzę, by sprawdzić, czy wszystko już odkryłam. I przekonuję się, że jednak nie. Z początku fascynował mnie zapierający dech w piersiach widok z tarasu na beładnie spiętrzone dachy miasta. Wyglądają, jak na jakimś impresjonistycznym obrazie. Później

odkryłam weneckie okna w sali restauracyjnej. Jedząc obiad, można obserwować ludzi pałających się po uliczce prowadzącej do portu. To zupełnie jak podglądanie przez dziurkę od klucza, czyli coś w sam raz dla mnie. Uwielbiam patrzeć na ludzi, a szczególnie wtedy, gdy nie wiedzą, że to robię.

Zwolniłam kroku i nadstawiłam uszu. Powinno być już słychać dźwięki dzwonek, czyli kolejnej atrakcji tego lokalu, ale wiało za słabo i dźwięki były tak ciche, że wydawały się złudzeniem.

\* \* \*

Ledwo przekroczyłam próg restauracji, a nikąd pojawił się kelner i poprowadził mnie między stolikami; okrągłymi, owalnymi, kwadratowymi. Na większości znajdowały się tabliczki z napisem „Rezerwacja”. Wskazał jeden z nich, pod oknem, okrągły, pusty, bez śladu obecności Michała.

— Dziękuję, tu będzie w sam raz.

Kelner zgarnął tabliczkę i zostawił mnie z kartą dań. Rzuciłam torbę na sąsiednie krzesło i dopiero teraz rozejrzałam się, robiąc dyskretny przegląd twarzy. Nie było jeszcze zbyt wielu gości, zaledwie połowa stolików zajęta. Za godzinę to się zmieni. Pojawią się dziennikarze, aktorzy, biznesmeni wszelkiej maści. Przyjdą, by pokazać, że nadal są, istnieją, żywi, aktywni, na powierzchni i ciągle bez zawału. Będzie też trochę turystów i ludzi z miasta. Niektórzy wejdą tylko po to, by zobaczyć jakąś znaną z telewizji twarz. Pogapią się, wypiją herbatę i odejdą. Niektórzy nawet zamówią coś więcej, by wyrzeć wrażenie i pokazać, że mogą wydać na obiad parę setek. Kelnerzy już od progu dokonują selekcji. Tych, co przychodzą popatrzeć, sadzają blisko drzwi i okazują rutynową uprzejmość doprawioną odrobiną pogardy.

Przy stoliku pod ścianą siedziała Olga Z. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, widzę ją w tym samym miejscu. Zaczynam podejrzewać, że jest przyrośnięta do krzesła i stanowi jedność ze stołem w kącie sali. Z melancholijną miną dłubała łyżeczką w ciastku, a drugą ręką skubała nit wpięty w brew. Miałam wrażenie, że lada chwila wyrwie go razem z kawałkiem ciała.

— Cześć. — Skinęłam jej głową. Spojrzała i odmruknęła coś niechętnie.

A pies cię drapał.

Notowania Olgi spadają ostatnio na łeb na szyję, bo ktoś wyżej przestał ją lubić, a ktoś, kogo uważała za przyjaciela, rzucił kilka niepocholebnych słów o jej aktorstwie w towarzystwie takich, którzy mają wpływ na te sprawy. Wiem, kto jest tym fałszywym przyjacielem, i gdyby spytała, to może bym jej powiedziała. A może nie. Sama nie wiem. Na szczęście nie muszę się nad tym zastanawiać, bo ona raczej nie spyta. Podejrzewa, że to ja jestem wrogiem. Myli się.

Przesunęłam wzrok i spojrzeniem natrafiłam na inną samotną kobietę. Ta przynajmniej nie wyglądała na nieszczęśliwą. Po prostu jadła. Pochłaniała swoje danie systematycznie, kęs za kęsem, ignorując finezyjnie ułożone jarzyny. Równie dobrze mogłaby wpychać w siebie hamburgera. Przeglądała rozłożone obok talerza table. Nonszalancja, z jaką traktowała drogie potrawy, sprawiła, że poczułam irytację.

Byłam już głodna.

Zerknęłam przez okno, a potem na zegarek. Michał jak zwykle się spóźniał.

Telefon w mojej torbie rozdarł się jak opętany. Wszyscy obecni na sali zareagowali automatycznym ruchem. Unieśli głowy znad swoich stolików i spojrzeli w moim kierunku. Potem równie szybko wrócili do własnych spraw. Jedynie w spojrzeniu Olgi wyczytałam złość, że to nie do niej.



— Gdzie jesteś? W centrum, gdzieś przy placu Zawiszy coś się dzieje, jakaś walka uliczna, czy coś takiego...

To Lulu.

Podejrzewając, że mój grafik jest lipny i mając jednocześnie nadzieję, że jestem gdzieś niedaleko, rozkazał mi wrócić do czynnego życia, czyli rzucić wszystko, czymkolwiek się teraz zajmuję, i lecieć natychmiast tam, gdzie on chce. NATYCHMIAST.

Jasne. Już pędzę.

Czy wspominałam, że wszędzie jestem za wcześnie? Oto najlepszy przykład. Byłam na placu dosłownie pół godziny temu i nic nie wskazywało, że cokolwiek może się tam wydarzyć. Gdybym była później albo weszła do biura rzeczy znalezionych czy chociaż usiadła na chwilę, mogłabym znaleźć się w samym środku akcji. Domyślam się nawet, jakiej. Pewnie wrócił kierowca tira i zastał gromadę rozgrzanych do czerwoności kierowców mniejszych samochodów. Rezultat właściwie łatwy do przewidzenia. Miałabym serię zdjęć i relację na żywo. Lulu byłby wniebowzięty. Z drugiej strony, mogłam być albo tam, albo tu, a jeśli tam, to nie siedziałabym tutaj i nie czekała na obiad. A w nosie. Niech na plac pojedzie ktoś inny, ktoś, komu mniej zwisa.

— Kurcze... jestem w drodze do...

Nobel dla wynalazcy telefonu komórkowego.

— No to wracaj!

Jeszcze czego.

— Mam umówiony wywiad... Czekają na mnie... Jestem w połowie drogi. Nie może ktoś inny... Masz tam pod ręką kilku stażystów...

— Pośpiesz się. — Głos mu stwardniał. — Wszyscy mają robotę.

— A ja to niby jestem na plaży?

— Ty jesteś najbliżej.

Akurat. Jestem tak daleko, że dalej od niego już być nie można.

Mogłabym zacząć się wyklócać, ale w porę przypomniałam sobie, że po pierwsze — siedzę w restauracji; po drugie — nadal jest na mnie zły, a po trzecie, piąte i dziesiąte — brak zaangażowania w sprawy redakcji jest w jego mniemaniu czymś niewybaczalnym, grzechem śmiertelnym, bez możliwości zbawienia.

W tej sytuacji nie mogłam sobie pozwolić na awanturę. I tak bym przegrała.

— OK — zgodziłam się potulnie. — Zawracam, ale zajmie mi to trochę czasu.

Szkoda, że nie mogłam poprzeć swoich słów piskiem hamulców.

Poczekalam, aż się rozłączy, i wrzuciłam telefon do torby. Poprosiłam kelnera, zamówiłam kawę i poszłam do toalety.

\* \* \*

Tutaj to jest dopiero fajnie. Siedząc na sedesie, można patrzeć przez weneckie, jednostronnie przyciemniane okno na przechodzących ludzi. Jeśli znacie bardziej porąbane miejsce, to napiszcie mi o tym. Mój e-mail...

Na wprost zatrzymała się stara kobieta. Krótkie, siwe włosy sterczały jej na wszystkie strony. Sikając, patrzyłam, jak rozpruwa przytarganą skądś czarną folię ze śmieciami i wysypuje zawartość na chodnik. Potem rozgrzebała ten syf i coś, co uznała za przydatne, schowała do swojej torby. Dopiero wtedy znieruchomiała. Zupełnie jakby wyczuła, że jest obserwowana. Przez chwilę poruszała głową w lewo i w prawo, jak wróbel, a potem spojrzała wprost na mnie. Wątpię, by z tamtej strony mogła coś widzieć, niemniej patrzyła mi prosto w oczy. Zdumiewająca była moc tego spojrzenia. To jakiś absurd, ale odniosłam wrażenie, że znalazła się

wewnątrz mojej istoty i trzymając za rękę, prowadzi mnie, dokąd zechce. Poczułam się dziwnie naga, niemal bezcielesna. Nie było szyby ani ścian, ani ulicy, po której suną samochody. Wysłała mnie w przyszłość i póki trzymała na uwięzi, wędrowałam po swoim życiu, ale potem lekko popuściła i przeżyłam życie kogoś innego. Czas przyspieszył i dowiedziałam się, że za kwadrans będę stała między ławką a krawędzią jezdni. I stanie się tam coś, co wpłynie na resztę mojego życia. Sekundę potem czas stał się bardziej realny, znów przezroczysty i zobaczyłam siebie, jak siedzę na kłocie, a woda z odkręconego kranu rozpryskuje się i rozprasza nienaturalną ciszę.

Boże, co to było?

Podciągnęłam majtki i wyniosłam się. Zdałam się na instynkt, który kazał mi zwiać, nim baba rzuci na mnie urok. Nawet rąk nie umyłam.

Wracając do stolika, wciąż czułam się głupio.

Najlepiej gdyby był już Michał. Ale ciągle go nie było. Przyznaję, że zaczęło mnie to trochę wkurzać. Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam.

— Nie teraz — odpowiedział elektroniczny głos po pierwszym sygnale.

Moment później oddzwoniła pani Marta.

— Przepraszam, pani Weroniko, mamy przekaz na żywo, a palant, którego nagrywali, nagadał bzdur i w ostatniej chwili kazał wyciąć część wypowiedzi. Właśnie robią cięcia. Dobrze, że nagranie było z dziesięciominutowym wyprzedzeniem.

Spróbowałam wyobrazić sobie, co tam się teraz dzieje. Na antenie trwa blok reklamowy, ale za kilka chwil będą musieli wejść z materiałem nie do końca zmontowanym. Chłopcy z ekipy technicznej bluzgają i montują. Niemal zobaczyłam Michała, jak powstrzymuje wzrokiem sekundową wskazówkę zegara, a za kilka chwil przeżegna się i wystartuje czołówkę. Niech się dzieje wola nieba. Podczas takich nagrań mój facet jest w siódmym niebie. Widziałam go parę razy w akcji, jak biega, rozkazuje, rzuca przekleństwami, ślubuje bogom i demonom, byle tylko się udało. Identyfikator obija mu się o pierś, a on odpływa. Jest w stanie takiej euforii, że nie potrzeba mu żadnych innych przyspieszaczy. Kocha ten syf. Praca jest dla niego jak narkotyk, z przemennym rytmem haju i głodu. Jego organizm, karmiony ciągłym stresem, rozkwita. Michał twierdzi, że nic nie zastąpi takich przeżyć. Trochę mnie boli, gdy tak mówi, bo uważam, że za bardzo angażuje się w swoją pracę. On z kolei jest zdania, że ja za mało przejmuję się swoją. Chyba oboje mamy rację.

— Jeszcze kwadrans i będzie wolny — słyszę i ogarnia mnie fala złości na myśl o palancie, przez którego muszę czekać.

— Dziękuję pani Marto, poczekam.

Znamy się z Martą od paru lat, ale wciąż jesteśmy na pani i obie dokładamy starań, by tego nie zmieniać. Potrzebny nam dystans, bo mamy tego samego faceta. Dzielimy się Michałem pół na pół. Ja mam go w nocy, ona w dzień. Czuję się lekko pokrzywdzona, bo noc mimo jej różnorodnych zalet jest jednak krótsza. Nieraz udaje mi się go wyrwać z jej rąk na parę chwil, tak jak dzisiaj.

— Ile będzie miał dla mnie czasu?

Nawet to muszę z nią uzgodnić.

— Godzinę, najwyżej. Niech się naje i wyciszy, bo do wieczora mamy niezły kocioł.

No proszę. Godzina! Dostanę tylko godzinę i to głównie po to, żebym go nakarmiła. Tym na razie będę się musiała zadowolić. Syty, wróci do niej na resztę dnia. Marta jest jego asystentką, prawą ręką, planuje mu pracę i trzyma Michała na krótkiej smyczy przez cały boży dzień.

No trudno. Niczego nie przyspieszę.

Zakładam więc nogę na nogę i popijam wolno kawę, bo jedno, co mam do roboty, to wyłączyć myślenie i czekając na Michała, ładnie wyglądać.

Ustaliłam z kelnerem menu i znów zajęłam się obserwowaniem cudzego życia. Marzę o tym, by choć raz w mojej obecności jakiś dziwak zrobił coś niezwykłego, coś, co mogłabym zrelacjonować i przynajmniej jeden mój tekst trafiłby na pierwszą stronę.

Niestety, mnie takie rzeczy się nie zdarzają.

\* \* \*

Zerknęłam na kobietę siedzącą obok, a potem nie mogłam się już powstrzymać, by nie spoglądać co chwila w jej stronę. Było w niej coś niepokojącego i przyciągającego wzrok. Może perła. Miała na szyi srebrny łańcuszek z piękną perłą, dużą i lśniącą. Przyłgnęłam spojrzeniem do gładkiej, wypielęgnowanej szyi. Teraz, gdy niezajoma skończyła jeść, biła z niej zmysłowa kobiecość, a jednocześnie coś bezlitośnie męskiego, jakaś twardość. Wyglądała na taką, co żyje w wiecznej pogoni za sukcesem, uznaniem, podziwem i codzienną porcją adrenaliny. Oceeniłam ją na plus minus czterdzieści lat. Przyglądałam się chyba zbyt nachalnie, bo zwróciło to uwagę faceta siedzącego pod ścianą. Na jego stoliku stała tylko szklanka wody. Obserwował mnie chwilę, a gdy już utrwalił sobie w pamięci moją twarz, przeniósł wzrok dalej, omiół salę i wrócił do swojej szklanki. Siedział tak, by mieć w polu widzenia kobietę, mnie i wszystkie drzwi. Leniwie lustrował ulicę. Wyczułam w nim goryla.

Zerknęłam jeszcze raz, by sprawdzić, czy jej nie znam. Jednak nie.

Przestałam się na nią gapić, ale już byłam zaintrygowana. Ciekawią mnie tacy ludzie; jak żyją, jaką drogą doszli do tego, kim są. Czy tak wyobrażali sobie swoje życie, gdy zaczęli?

\* \* \*

Wzrok ochroniarza przesunął się za kimś, kto zmierzał w stronę wejścia i chyba dlatego nie zaskoczył mnie łoskot otwieranych z rozmachem drzwi. Wszyscy obecni poderwali głowy i jednocześnie spojrzeli na wchodzącą Laurę. I o to jej chodziło, bo Laura zawsze i wszędzie oczekuje zainteresowania. Teraz zatrzymała się w drzwiach, odczekała tyle, ile trzeba, i nim obraz świata wrócił na swoje miejsce, ona niczym królowa skinęła wszystkim lekko głową, pozwalając im łaskawie wrócić do swoich spraw. Oto cała kwintesencja Laury, mnóstwo kobiecego wdzięku.

Brawo, brawo, brawo. Tego jej zazdroszczę.

Kelner już ruszył, jednak nie czekała, tylko pobiegła przez środek sali. Ona nigdy nie chodzi, ale biega drobnym truchtem, w dodatku nie patrzy na boki, w ogóle się nie rozgląda. Na dobrą sprawę nie patrzy nawet przed siebie, tylko gna w konkretnym kierunku, pewna, że wszyscy zejdą jej z drogi. Aż dziw, że nigdy na nikogo nie wpada. Równym krokiem prac naprzód, rejestruje wszystkie mijane obiekty i kierowana jakimś szóstym zmysłem, celuje w luki między nimi. Ani na moment nie da się wybić z rytmu ani kierunku, który sobie wybierze. Tego rodzaju umiejętności nie da się wyćwiczyć. Z tym trzeba się urodzić.

Olga Z. zostawiła swoje poskubane ciastko i rzuciła się do usługowych powitań. Nie zwalniając galopu, Laura poklepała ją protekcjonalnie po ramieniu i tylko Olga mogła potraktować ten gest jako wyraz sympatii, dla wszystkich innych był formą odsunięcia z drogi przeszkody. Laura nigdy nie traci czasu tam, gdzie nie widzi dla siebie korzyści.

— Proszę, proszę, kogo my tu mamy... — rzuciła w biegu. — Podobno jesteś za daleko, żeby być tam, gdzie szef chce, żebyś była.

Nie byłaby sobą, gdyby mnie nie zaczepiła.

W odpowiedzi uniosłam górną wargę, odsłaniając zęby. Wrrr. Byłam gotowa do walki. Z nią zawsze. Wyszczrzyłam się do jej pleców, bo już była daleko w przodzie. Nie czekała na moją reakcję. Znała ją. Problem z nami jest taki, że nie za bardzo się lubimy.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie umówiłam się tutaj jedynie dla wygody Michała. Wiedziałam, że i Laura tu będzie. Chciałam, żeby mnie zobaczyła i była świadoma, że stać mnie, by siedzieć przy takim stoliku, ustalać z kelnerem menu i gapić się zza matowych szyb na resztę świata. I że, w przeciwieństwie do niej, mogę zjeść obiad w towarzystwie kogoś, kto mnie kocha.

Chciałam, żeby była przeze mnie zła.

I chyba mi się udało.

\* \* \*

Obserwuję, jak młodzi aktorzy witają ją z entuzjazmem. Boją się narazić czymkolwiek, bo zdają sobie sprawę, że ich pozycja to wynik jej pracy. To ona stworzy ich wizerunki i puści je w świat. Ona sprawi, że będą akceptowani lub nie. Tych, do których teraz ćwierka, może jutro obsmarować w swoim artykule, bo tak naprawdę chodzi jej jedynie o nakład, o sprzedaż, o pieniądze. A najwięcej zyska wtedy, gdy rzuci kogoś na żer. Sposobem nowych redaktorów Laura promuje głównie swoją osobę. Najbardziej pragnie sama być gwiazdą. Wymyśliła dla siebie rolę społecznego arbitra. Chce, by ludzie myśleli to, co ona im powie. I trzeba przyznać, że jej się udaje. Przez ostatnie lata zdobyła spore uznanie, a opinia przez nią wyrażona ma w wielu środowiskach moc wiążącą.

Ci młodzi jeszcze nie wiedzą o Laurze tego, co ja wiem. Że nienawidzi ludzi i czerpie przyjemność ze sprawiania innym kłopotów.

Jeśli chcecie wiedzieć, to ze wszystkich osób, których nienawidzi, mnie stawia zawsze w czołówce. Nie na pierwszym miejscu, ale na tyle wysoko, bym zawsze odczuwała dreszcz, ilekroć zdarzy mi się znaleźć bliżej niż sto metrów od niej.

\* \* \*

Postanowiłam wyjść na taras.

Kobieta sukcesu piła kawę i wciąż przeglądała dokumenty wyciągane z czarnej teczki. Kiedy przechodziłam obok, obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem i wróciła do swoich spraw. Próbowałam zgadnąć, kim jest i co takiego robi, że potrzebuje goryla. Mimowolnie... co ja gadam... wcale nie mimowolne, ale z zawodową ciekawością zerknęłam na logo firmy umieszczone na odłożonym dokumencie i nagle, gdzieś w głębi mojej duszy zrodziła się pewność, że któregoś dnia na pewno będę taka jak ona.

Ta myśl wywołała lekki niepokój.

Znalazłam wolną ławkę.

Wyjęłam z torby aparat fotograficzny, by przejrzeć zdjęcia, które zrobiłam godzinę temu na placu Zawiszy. Tira miałam na kilku, a na jednym tworzący się korek. Czyli, w razie czego, mam dowód, że tam byłam. Szkoda jednak, że nie poczekałam. Ale ze mną tak jest, niestety, że nigdzie nie trafiam na czas, wszędzie jestem albo za wcześnie, albo za późno. I dlatego zajmuję się pisaniem o rzeczach nieważnych.

\* \* \*

Po niebie przeleciał samolot i w tym momencie coś mnie zaniepokoiło. Bo jaki sens miał telefon, który odebrałam w redakcji? Kto już o jedenastej wiedział, że na placu będzie awantura? Problem z przejazdem zaczął się przecież dopiero koło południa, czyli że tir stanął tam niewiele wcześniej. Jaki wniosek? Taki, że byłam tam we właściwej chwili, tylko nie doczekałam końca akcji. Ktoś coś zaplanował i chciał, żeby była przy tym obecna prasa.

A niech to licho.

Taka właśnie ze mnie dziennikarka.

Powiał wiatr i za plecami usłyszałam dzwonienie.

Oderwałam myśli od placu Zawiszy i skupiłam się na dźwiękach. Wiem doskonale, skąd dobiegają. Za restauracją rośnie potężny klon, który osłania przed słońcem niewielki ogródek. Trzeba patrzeć między gałęzie, bo dzwonienie dobiega właśnie stamtąd, z korony drzewa. Uniosłam głowę i zaczęłam wypatrywać źródeł dźwięków. Jest, jeden, drugi, trzeci. Dzwoneczki. Mają ich tu ze sto albo i więcej. Właściciel lokalu w dniu otwarcia fundował darmowe drinki każdemu, kto zawiesi na drzewie blaszany dzwonek. Chłopcy i młodzi mężczyźni wykazywali małpie umiejętności, włączając najwyżej, jak się da. Od tej pory dzwonienie nigdy nie ustaje, narasta lub cichnie w zależności od siły wiatru. Czasami niesie się po wodzie daleko i słychać je u nas w domu. Ale jak każdy dźwięk trwający zbyt długo, tak i ten wtapia się w tło i staje niesłyszalny poza chwilami, gdy czyjś mózg z jakiegoś powodu zaczyna je rejestrować.

Tak jak mój teraz.

Po raz nie wiadomo który pomyślałam, że to wiecznie rozwibrowane miejsce jest niebezpieczne, bo niekończącą się muzyką przyciąga świrów.

\* \* \*

Oparłam się o balustradę.

Niedawno umyta jezdnia jeszcze lśniła wilgocią, w powietrzu czuło się świeżość. Przejeżdżający rower zostawił ślad na asfalcie. Poza dzwoniącym drzewem słyszałam jeszcze stukot obcasów, szum rozmów, strzępy melodii dobiegającej zza uchylonego okna, narastający warkot motoru. Ale gdy wiatr się wzmógł, dzwonienie przypominające zbyt długą sekwencję perkusyjnych uderzeń zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Żeby nie ogłuchnąć, mogłam tylko wejść do środka albo zejść niżej.

Zeszłam do poziomu ulicy, bo wydało mi się, że widzę Michała. To jednak nie był on.

Zatrzymałam się przy ławce.

Wszystko działo się jakby wolniej, ale nie czułam niepokoju, najmniejszego nawet przecucia.

Ryk motoru narastał.

Przed wejściem do restauracji zatrzymał się samochód.

Chodnikiem szedł mężczyzna z dzieckiem. Dziecko trzymało w ręku piłkę. Kierowca wysiadł, stanął przy aucie i czekał na kogoś. Drzwi restauracji otworzyły się i wyszedł goryl. Zlustrował teren, obrzucił spojrzeniem mnie i mężczyznę z dzieckiem, kiwnął dłonią temu przy samochodzie. Potem jednocześnie otworzyli drzwi: goryl wyjściowe z restauracji, kierowca — samochodu. Patrzyłam na nich bez skrępowania. Kobieta z perłą ruszyła do auta, goryl kilka kroków za nią. Gdy mijala mnie, ściągnięta chyba moim wzrokiem, odwróciła się i też spojrzała. Poczulałam lekki dreszcz. Na jej włosy padł promień słońca i wyglądała jak Madonna. Wszystko było w niej wspaniałe. Nie odwróciłam głowy. Zapragnęłam utrwalić w pamięci ten obraz. Zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Takie chwile, które przeżywa się szczególnie intensywnie, są wieczne. Chciałabym ją sfotografować, by móc w spokoju analizować wnętrza skryte pod maską wyniosłości, ale aparat leżał w torbie i chyba bałabym się tych facetów.

Przez kilka chwil zapomniałam o dzwonekach. Może na moment zapanowała cisza albo świadomość zmęczona hałasem wygasła go na moment.

A potem wszystko stało się równocześnie.

Zadzwoił telefon i kobieta, nie zatrzymując się, przyłożyła aparat do ucha.

Dziecku upadła piłka i potoczyła się na jezdnię.

Zza rogu wyjechał samochód z przyczepą.

Dziecko wyrwało się ojcu i pobiegło za piłką, wprost pod samochód.

Kierowca skręcił i ominął dzieciaka, ale siła odśrodkowa postawiła przyczepę na dwóch kołach... przyczepa przez chwilę balansowała, a potem runęła... i wszystko, co na niej było, rozsypało się po jezdni... potoczyły się kartofle, buraki, cebula...

Powinłam była odsunąć się jak najdalej od krawężnika, kiedy tylko zobaczyłam, co się dzieje. Zamiast jednak tak zrobić, stałam jak urzeczona.

Powinłam też była w tym momencie wyciągnąć aparat i pstrykać zdjęcia. Zamiast tego stałam jak słup i gapiłam się na podskakujące warzywa.

Kobieta zatrzymała się zaledwie na ułamek chwili, ale zaraz ruszyła do swojego auta. Wciąż rozmawiała przez telefon i wyglądała na zaaferowaną tym, o czym mówiła.

Przed sobą miałam ławkę i przynajmniej tam powinłam zostać. Sama nie wiem, po co zrobiłam kilka kroków w stronę jezdni. Nie miałam najmniejszego powodu, by się ruszyć. I właśnie wtedy z przeciwnej strony nadjechał motor. To jego ryk słyszałam od dawna. Widząc, co się dzieje, kierowca skręcił gwałtownie w prawo, by uniknąć zderzenia z przewróconą przyczepą, ale wpadł w poślizg na rozsypanych kartoflach. A potem sunął już prosto siłą bezwładu. Od pierwszej chwili wiedziałam, że nie uderzy ani we mnie, ani w dziecko, ani w żadnego z facetów stojących na jezdni, tylko w kobietę. Ona też to wiedziała i stała jak skamieniała.

Wszystko we mnie krzyczało: uciekaj!, ale na jakikolwiek ruch było już za późno.

Nadal nie słyszałam odgłosów zewnętrznego świata. Czaszkę wypełnił mi głośny szum, przypominający dudnienie pary. Schyliłam się i poczułam błysk białego światła w głowie. Nie zdawałam sobie sprawy, że wyciągam rękę i jednym ruchem chwytam rękaw nieznajomej, zaciskam pięść i szarpię w tył.

Każdy inny ruch byłby nieskuteczny.

Kobieta poleciała na trawnik, a ja, pociągnięta jej ciężarem, runęłam na nią.

Motor przefrunął obok nas i wyhamował tuż pod oknem lokalu.

Leżałam na niej i ponownie, już drugi raz w ciągu godziny, odczułam przezroczyłość czasu. Przez chwilę byliśmy tym samym istnieniem. We dwie mogłybyśmy doprowadzić do uporządkowania pobojuwiska. To nie była moja myśl. Pojawiła się znikąd i szukając wyjścia, miotła się wewnątrz mojej czaszki jak mucha w słoju.

Czułam pod sobą miękkie ciało, a gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam tuż przy swojej twarzy lśniąca perłę. Ten widok wyzwolił we mnie chęć posiadania. Zapragnęłam mieć taką samą. I to pragnienie przywróciło mi świadomość.

### 3

Kobieta pode mną poruszyła się ostrożnie.

— Jezu Chryste, uratowała mi pani życie — wychrypiała.

Mój własny oddech, urywany i nierówny, odbijał się echem w uszach.

Zacząłam się gramolić, żeby z niej zleźć, i dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, jak krótko to trwało. Ułamek chwili. Ochroniarz idący tuż z tyłu nie miał szans, by zareagować. Dopiero teraz zaczął ją spode mnie wydobywać. Przeszkadzałam, więc odstaawił mnie na bok jak zawalidrogę. I tak dobrze, że najpierw nie strzelił, bo rękę trzymał pod marynarą, blisko spluwy, którą tam pewnie miał. W ciągu następnej sekundy wykonali we trójkę mnóstwo ruchów. I jej, i facetom oczy latały na wszystkie strony, ale żadne z nich nie zaszczyciło mnie ani jednym słowem, ani nawet spojrzeniem. Nie zwracając na nic uwagi, załadowali się do samochodu i odjechali.

Zostawili mnie na poboczu, opartą o ławkę, odtraconą, porzuconą, zbędną.

Jeszcze nigdy nikogo nie uratowałam, a dziś zdarzyło mi się to dwukrotnie. I za każdym razem wzgardzono moim wysiłkiem. Przypomniałam sobie hasło: „Śmierć bohaterom”. I to ono sprawiło, że poczułam, jak ogarnia mnie zawstydzenie, bliskie upokorzeniu.

— O Boże, o Boże... — To ten młodzik na motorze. Wciąż siedział na swojej maszynie i powtarzał w kółko: o Boże, o Boże...

Zakręciło mi się w głowie, gdy świat na nowo zaczął nabierać barw i dźwięków. Zamrugałam i obca myśl o porządkach na pobojowisku uleciała.

Dobrze, że miałam za sobą ławkę i mogłam się o nią oprzeć. Nogi nadal mi drżały.

Rozejrzałam się wokół siebie.

Większość ludzi nawet nie zauważyła ostatniej odsłony, w której odegrałam główną rolę. Uwaga gapiów skupiona była na przewróconej przyczepie tarasującej przejazd. Ojciec dzieciaka dziękował kierowcy za refleks. Kierowca darł się na ojca, że jest dumnym h... Mężczyźni skrzykiwali się, by postawić przyczepę na kołach. Jakaś staruszka dopiero teraz wpadła w histerię. Większość ludzi przechodziła jednak obojętnie. Niektórzy zatrzymywali się, by popatrzeć jak na scenę z filmu, i odchodzili, by kontynuować własne życie.

Uderzyła mnie ulotność minionej chwili.

Nie mogłam pojąć, skąd się tu wzięłam. Po co tu zesłam? Co mną kierowało? Zupełnie jakbym przez moment należała nie całkiem do siebie. Jakaś siła ustawiła mnie we właściwym miejscu i zmusiła do zrobienia tego, co zrobiłam. Gdybym stała za ławką, nie zdążyłabym i motor uderzyłby w kobietę. Gdybym nie ruszyła się od stolika, mogłabym oglądać wypadek przez szybę i pisać na gorąco relację z masakry, której byłam świadkiem. Ale stałam akurat tu, gdzie trzeba. Intuicja?

Co za nonsens.

Czułam się, jakbym walnęła głową w niewidzialną ścianę. Chyba nadal byłam w szoku. Próbowałam ogarnąć sytuację, ale umysł wciąż trafiał na blokady. Powinnam się cieszyć, że mogę wdychać woń sosny zamiast krwi i słuchać pokrzykiwań pełnych ulgi zamiast wycia karettek, ale zamiast satysfakcji czułam jedynie złość.

Czemu nie miałam takiej wizji kilka lat temu?

\* \* \*

Niespodziewanym punktem odniesienia i powrotu do rzeczywistości stał się brzęczący w torbie telefon. Torbę miałam ciągle przewieszoną przez ramię. Nawet nie spadła. Nacisnęłam przycisk i jak przez mgłę dotarł do mnie głos Lulu pytający o szczegóły incydentu.

— Trzeba szybko dotrzeć do ludzi, którzy byli świadkami, zanim znikną albo zanim odechce im się mówić, albo zanim wszystko zapomną i zaczną zmyślać.

Jestem wzruszona jego zainteresowaniem. Chcę powiedzieć, że niepotrzebny mi rozgłos, że to nic takiego, że każdy na moim miejscu... ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Z pewnością dotarł do niego harmider, jaki podniósł się wokół, i to mu wystarczyło, bo tylko spytał:

— Jesteś tam?

— Tak.

A gdzie niby mam być? Na księżycu?

W tym momencie mój mózg zaczął działać i już wiem, że nie zrozumiałam intencji Lulu. Jemu nie chodziło o mnie. Mówił o placu Zawiszy. Ale odpowiedź już padła, a nie miałam dość sił, by się wycofywać, wyjaśniać, tłumaczyć. Za dużo z tym roboty.

— Jak już się czegoś dowiesz, informuj mnie.

Mignął mi obraz tira i biura rzeczy znalezionych, ale byłam w stanie wydusić z siebie tylko jedno słowo:

— Tak.

Może naprawdę powinnam tam pojechać? To w końcu moja praca. Zdziwiona patrzyłam na trzęsący się telefon. Ręka mi drżała.

— Spokojnie — mówię sobie. — Odpręż się, wyluzuj.

Najbardziej rozsądny wydał mi się odwrót do swojego stolika.

Musiałam ochłonąć.

Wewnątrz niektórzy odwracali się i spoglądali na mnie z zaciekawieniem, ale na szczęście tylko przelotnym. Jedyne Laura zatrzymała na mnie wzrok dłużej. Minęłam ją bez słowa, usiadłam, utkwiliam wzrok w szybie i w tym samym momencie zobaczyłam Michała.

Był jeszcze na tyle daleko, że przez ułamek sekundy wyglądał jak ktoś inny. Patrzyłam, jak idzie w moją stronę. Wyglądał doskonale. Musiałam się skupić, by opanować wewnętrzny dygot.

Aby dać sobie czas, zaczęłam wymyślać, co robią kobiety, by zwrócić na siebie uwagę takiego faceta. Podobał mi się bardzo. I to tak bardzo, że miałam ochotę wstać i pobiec mu naprzeciw, a jedno, co mi przeszkodziło, to fakt, że nogi miałam jeszcze jak z waty. Niemal ujrzałam scenę, jak biegnę, a one się pode mną uginają i padam na kolana, w przejściu, obok stolika Laury, u jej stóp.

No nie. Lepiej jednak poczekam.

W końcu drzwi się otworzyły.

Miałam wrażenie, że wszyscy unieśli głowy i wlepili w niego gały, by odgadnąć, do kogo podejdzie. Uśmiechnął się przyjaźnie do Olgi, a ja, jak głupia, wpadłam w panikę, że mnie nie zobaczy i usiądzie obok niej. Pragnęłam się unieść i pomachać ręką, by zwrócić na siebie uwagę. Tutaj, tutaj!

Tylko ja wiem, ile mnie kosztowało, aby opanować te kretyńskie myśli. Ale Bóg mi świadkiem, że potrzebowałam go już, natychmiast. Chciałam, żeby był przy mnie, żeby mnie objął i powiedział, że bez względu na wszystko, co wyprawiam głupiego, i tak mnie kocha.

— Zastanawiam się, czy nie mógłbym się dosiąść — usłyszałam i odetchnęłam z ulgą, kamień dosłownie spadł mi z serca.

— Czy pan aby nie pomylił mnie z kimś innym? — odparłam swobodnie, jak gdyby nigdy nic.

Odsunął krzesło, przerzucił moją torbę dalej i usiadł blisko, tak jak chciałam. Dotknął dłonią mojej nogi, aż przebiegł przeze mnie prąd. Szybki jest. I naprawdę niezły. Ma tylko jeden defekt, który mimo wszystkich przeciwności każe mu mnie kochać. To mój mąż. Człowiek, z którym od dziesięciu lat dzielę chleb i łoże, piję wino i w wolnych chwilach umawiam się na randki. Takie spotkania w miejscach publicznych niezmiennie sprawiają mi przyjemność i nie chciałabym,



żeby kiedykolwiek to się zmieniło. Pocałował mnie i już sama jego bliskość wystarczyła, by wydarzenia sprzed kilku chwil zaczęły się zacierać.

Niektórzy goście nadal się na nas gapili, a ja nie mogłam nie czuć się świetnie, widząc te spojrzenia. Powoli wszystko wracało na swoje miejsce.

— Cześć, kochanie. Przepraszam, że się spóźniłem. Coś przegapiłem? Był jakiś wypadek?

— Nic takiego — bagatelizuję. — Przyczepa się przewróciła.

Chciałabym mu opowiedzieć o swoim bohaterstwie i aż rozsadza mnie od środka, żeby się poskarżyć na ludzką niewdzięczność, ale jestem dziwnie skrępowana. Czemu? No właśnie nie wiem, coś mnie jednak powstrzymuje. Gorączkowo szukam właściwych słów i nie potrafię znaleźć żadnego, które oddałoby to, co teraz czuję. Obiecuję sobie, że opowiem mu wszystko w domu, gdy będziemy sami. Może wtedy będzie mi łatwiej. Zresztą Michał nie nalega. Jest podekscytowany czym innym.

— W centrum coś się stało. Podobno strzelali. Bałem się, że cię tam wyślą i nie będziemy mogli spokojnie zjeść obiadu.

— Później tam pojedę. Jak skończy im się amunicja.

Strzelanina? Pojedynek kierowców? Może naprawdę powinnam tam być? Ale nie, bez przesady. Dowiem się wszystkiego później. Teraz tylko chcę się czuć dobrze.

— A u ciebie jak było? — pytam.

— Beznadziejnie. — Objął mnie i pocałował delikatnie. A potem szepnął do ucha: — Cały dzień myślałem o tobie. A ty, też tęskniłaś?

— Pozwól, że ujmę to w ten sposób — mówię. — Im szybciej znajdziemy się w jakimś ustronnym miejscu, tym lepiej.

Nasze ręce ocierają się o siebie, a palce splatają. Patrzę na niego z czułością i dziwię się, że po tylu latach można się tak zachwycać sobą nawzajem. Hej, ludzie, patrzcie, oto ja i on. Ciągłe jesteśmy razem.

Cofamy dłonie dopiero, gdy kelner szuka miejsca na talerze.

Boże, to nieprawda, co mówiłam o powodach, dla których umówiłam się z nim tutaj. Tak naprawdę zrobiłam to dla siebie, dla takiej jak ta chwili, żeby wszystkich szlag trafił z zazdrości, żeby widzieli nas razem. Michał sprawia, że czuję się kimś wyjątkowym. Nie to, żebym miała jakieś problemy z samooceną, ale w jego obecności staję się inna. Lepsza. Bardziej wartościowa.

Zamawialiśmy kolejne smakołyki, a Michał opowiadał o realizowanym właśnie programie. Zwykle lubię go słuchać, ale dzisiaj słabo rejestrowałam. Przez głowę znów mi przemykały obce myśli o forsie, seksie, powodzeniu, o przysięgach, których należało dotrzymać, gdziekolwiek i kimkolwiek się było. Ci, którzy zdradzili, przekonywali się, że świat jest zbyt mały, by się gdzieś ukryć, chyba że w dupie rekina.

W głowie mi szumiało i po raz kolejny miałam wrażenie, że rzeczywistość usuwa się poza nawias i żadna sprawa nie jest warta, by pojmować ją dosłownie. Nie mogłam jednak przestać patrzeć na Michała, wciąż sprawdzając, czy aby jest prawdziwy. I czy naprawdę jest tu ze mną. Ale wciąż był.

— ...sprawdzają, czy zadbałem o wszystko jak należy. Nie liczy się, że mimo tysięcy przeszkód wszystko poszło gładko, ale czy planując te tysiąc rzeczy, nie pominąłem czegoś jeszcze. Do licha, co raz bardziej mnie to wkurza. Nie liczy się, że mają to, za co zapłacili. Muszą skontrolować, czy aby na pewno zrobiłem to najlepiej, czy aby na pewno nie można było zrobić lepiej. Zatrudnili mnie, żebym kierował produkcją, to niech mi dadzą kierować, no nie?

— Pewnie.

Mówił do mnie, a ja myślałam o czymś zupełnie innym, o tej chwili, gdy przeczułam, co się stanie, o wszystkich krokach, jakie wykonałam, by znaleźć się w tamtym miejscu, między ławką

a jezdnią, chociaż wcale nie powinno mnie tam być. Ponad ramieniem Michała spoglądałam na sąsiedni stolik. Nikogo tam nie było, ale aura, która pozostała po kobiecie z perłą, wciąż przykuwała moją uwagę.

O matko, ale mam nerwy. Chyba rzucę to w diabły. Tylko czemu tobie to mówię, a nie tym dupkom?

— Bo jestem twoją żoną? — podsuwam prawidłową odpowiedź.

Wpadam mu w słowo, uwalniam się od tamtych myśli i opowiadam o swoich sprawach. Śmiejemy się, gdy odkrywamy, że o tej samej porze dzwoniłiśmy do siebie. Potem oboje milkniemy, bo nie potrzebujemy słów, by prowadzić dalszy ciąg dialogu. W pewnym momencie dostrzegam wzrok Laury wbity w plecy Michała.

Na sekundę wytrąca mnie to z równowagi.

Czas pędzi, jak zwykle, gdy jesteśmy razem.

Kończymy obiad, pijemy kawę.

Z podarowanej mi godziny niewiele już zostało.

Przez okno widzę, że ulica została uprzątnięta. Samochód z przyczepą odjechał, ale kilka buraków nadal leży przy krawężniku. Z pewnym zdziwieniem przypominam sobie tamtą chwilę.

— Dostałem dzisiaj nową propozycję. — W głosie Michała słychać napięcie.

Spojrzałam i zdążyłam zarejestrować cień przemykający mu po twarzy. Nastąpiła chwila dziwnego milczenia. Znam go zbyt długo, by nie wyczuć, że ma mi do przekazania złe wieści i nie wie, jak zacząć. Nie ponaglam. Na złe wieści zawsze jest czas. Czekam cierpliwie, ale nim Michał zdobywa się na coś więcej, podchodzi Laura. A ta tu po co?

— Co to za nowy facet? — pyta konspiracyjnym szeptem.

— Nie znasz — mamrocze, nakazując jej w myślach iść stąd precz.

Michał podnosi się i cmoka ją w policzek. Nie znosi jej prawie tak samo jak ja, ale ma nadzwyczajną cierpliwość do ludzi, których uważa za głupców. Przez kilka chwil kontynuują prawnie sobie grzeczności. Ja na to przyzwalam, lecz bacznie śledzę i nasłuchuję, bo czuję nadszarpnięte niebezpieczeństwo. Wmawiam sobie, że to nic takiego, Laura zaraz sobie pójdzie i wszystkiego się dowiem.

Jazda stąd — mówię do niej w myślach, uśmiechając się uroczo. A ona doskonale wie, co kryje się pod tym uśmiechem i z pewnością nie pozostanie mi dłużna. Nagle słyszę: — Twoja żona to prawdziwy Rambo.

I już jej nie ma. Poza wszystkim, co o niej powiedziałam, zapomniałam nadmienić, że Laura uwielbia wprawiać mnie w zakłopotanie i robi to przy każdej okazji. Jestem na nią tak wściekła, że gdybym miała wystarczająco długą nogę, kopnęłabym ją w tyłek.

Chciałam przemilczeć tę zaczepkę i wrócić do tematu rozpoczętego przez Michała, ale się nie dało. Musiałam marnować czas na relacjonowanie swojej przygody. Dołożyłam wszelkich starań, by zabrzmiało to bardziej śmiesznie niż strasznie, i jeszcze większych, by swój udział sprowadzić do absolutnego minimum. Po minie Michała widziałam jednak, że przejął się znacznie bardziej niż ja. Zbladł, a na przegubach pojawiła mu się gęsia skórka.

— Czemu mi nie powiedziałaś?

— Jezu. Przecież nic się nie stało. To był zwykły zbieg okoliczności. Chciałam ci opowiedzieć w domu, nie tutaj.

— Co za różnica, gdzie?

No właśnie, rzecz w tym, że sama nie wiem.

— Mogłaś zginąć — mówi cicho.

Mogłam. Świadomość tego sprawiła, że poczułam maleńki przypływ dumy, lecz od razu pojawiły się wątpliwości. Prawdę mówiąc, już tysiąc razy mogłam zginąć. Kiedyś na przykład

zdążyłam przejechać dosłownie na sekundę przed nadjeżdżającym pociągiem, bo dróżnik nie zamknął szlabanu na strzeżonym przejeździe. A gdy pośliznęłam się w górach na kamieniach, ocalałam tylko dlatego, że Laura złapała mnie za plecak. W zeszłym roku kawał gzymsu spadł dosłownie dwa metry przede mną, a do kina nie pojechałam z Tomkiem ja, tylko moi rodzice. Dlatego wydaje mi się, że życie i śmierć nie zależą od nas, tylko od jakiejś tajemniczej loterii.

Michał wziął moją rękę i uściśnił ją delikatnie. Jego dłoń była tak wielka, że moja uwięzła pomiędzy jego palcem wskazującym a kciukiem. Poczułam się jak dziecko i zachciało mi się płakać. Wyobraziłam sobie, jakby się czuł, gdyby przyszedł na obiad, a zamiast mnie zastał mojego trupa na trawniku.

— To był tylko krótki napad humanitaryzmu i już się więcej nie powtórzy. Lepiej powiedz, co to za propozycja, o której zacząłeś mówić?

— Aaa tam. Nie ma na razie o czym gadać. Opowiem ci później, jak sprawa się wykrystalizuje.

Coś było nie tak, bo nachmurzył się i wołał nie patrzeć na mnie. Odetchnął z ulgą, gdy zadzwonił telefon. Odezwała się Marta, a jej głos oznaczał koniec sielanki. No i w samą porę, bo powietrze między nami zaczęło się niebezpiecznie elektryzować.

— No to lecę. Czekaaj na mnie. Jak wrócę, będziemy się kochać.

Wyszedł na zewnątrz i pomachał ręką szybko. Pomylił się tylko o pół metra. Ścisnęło mnie w żołądku, jak zawsze, gdy odchodził.

Przez chwilę siedziałam bez ruchu, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął.

Wróci późno w nocy.

Miałam do zapelnienia całe popołudnie, wieczór i pół nocy. Musiałam sobie jakoś poradzić z tą masą wolnego czasu.

\* \* \*

Dopiłam kawę, uregulowałam rachunek, odliczyłam napiwek. Skupiłam się na detalach, by pozwolić sobie na powolne, leniwe przejście do innego świata, do swojej drugiej postaci, kobiety, jaką jestem bez Michała.

Jeszcze moment, jeszcze łyk kawy.

Trochę to trwało, ale w końcu nią się stałam.

Przez resztę dnia będę przedsiębiorcza, agresywna, zaradna, sprytna, napastliwa, zaczepna. Pracując, staję się kimś innym; jednak gdzieś pod skórą hołubić będę wyobrażenie o swej kruchej delikatności. Ale taką siebie odsłonię dopiero w domu, gdy tam w końcu wrócę i włożę kaptcie, ściągnę biustonosz, zrobię kolację i będę cierpliwie wyczekiwać powrotu Michała.

Mam dwa równoległe życia i staram się ich nie mieszać. Gdyby mnie ktoś spytał, to nie umiałabym powiedzieć uczciwie, w którym jestem naprawdę sobą.

No dobra, dosyć tych bzdur. Do roboty.

## 4

Wyszłam na ulicę.

Zrobiłam krok i znów poczułam, jak wszystko odpływa.

*Uprawiamy hazard. Nasze życie jest loterią, ciągłym ryzykiem, bo w grze, w którą się zabawiamy, reguły ustanawia się na bieżąco. I zmienia się je wtedy, gdy wynika taka potrzeba,*

*czyli nieustannie. Z beztruskimi minami rzucamy stawki na stół, choć naprawdę jesteśmy spoceni ze strachu.*

Nie wiem, skąd wzięły się te słowa.

Jakaś fraza piosenki czy fragment czytanego kiedyś artykułu?

Niby nic się nie zmieniło w ciągu ostatnich sekund, ale jakaś mgiełka zasnuła wszystko; samochody, ludzi, domy. Drzewa w południowym słońcu rzucały długie cienie. Miasto wydawało się jakby trochę nierealne.

Pewnie spadło ciśnienie w związku z zapowiadającym deszczem i dlatego tak się poczułam.

Ogarnął mnie dziwny nastrój połączony z dręczącym wrażeniem, że czegoś nie dostrzegłam, czegoś oczywistego, na co powinnam zwrócić uwagę. Przykleiło się na krawędzi świadomości, przeszkadzało jak włos na języku, ale nie potrafiłam tego ani uchwycić, ani się pozbyć. To coś związanego z...

Z czym?

Nie wiem.

Uznałam, że to z przejedzenia.

Niskie ciśnienie i przejedzenie to niezły zestaw. W sam raz, by wskoczyć do łóżka na godzinkę. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus. Miałam sporo pracy.

Musiałam chwilę pomyśleć, by przypomnieć sobie, gdzie zostawiłam samochód.

\* \* \*

Na parkingu podszedł do mnie jakiś facet.

— Masz dzisiaj szczęście, dziewczyno.

— Jak zawsze, chłopcze.

Usiłowałam przypomnieć sobie tę twarz, jednak bezskutecznie. Pewnie to tylko kolejny, któremu się podobam. Wyglądał miło, beztrusko, ale w przeciwieństwie do mnie nie miał szczęścia, bo odkąd znam Michała, inni mężczyźni niewiele mnie interesują.

— My się znamy? — spytałam.

— Jeszcze nie, ale nic straconego. Umówiłem się z Szymonem, a skoro go nie ma, mogę tobie sprzedać to, co dla niego mam. Towar jeszcze ciepły. Daj stówę i znikam.

No, tak. Teraz przypominałam sobie, kim był. To jeden z naszych informatorów. Widziałam go parę razy koło redakcji. Za stówę albo dwie podrzuca ciekawostki, najnowsze plotki, aktualności z miasta. Najczęściej kontaktuje się z Szymonem i pewnie z każdym, kto się nawinie. Ma w całym mieście siatkę oczu i uszu; różnych obszczymurków, co to wystają w bramach całe dnie i niczego konkretnego nie robią poza zabijaniem czasu, ale niech się coś wydarzy, spieszą donieść temu, kto za taką informację da parę groszy na piwo. W mieście nie dzieje się nic, co nie zostałoby przez nich zauważone. Dostają od niego na flaszkę, a on tę informację przekazuje nam. Jego rola jest nie do przecenienia. Dzięki takim nieformalnym informatorom jesteśmy na miejscu wydarzeń wcześniej niż policja, pogotowie, straż i wszyscy święci.

— Pracujesz dla Szymka.

Fuknął przez nos.

— Pracuję dla siebie. Jak spotkam go po drodze, powiem, że zostawiłem wiadomość u ciebie, i skłamię, że wziąłem dwie stowy. Zarobisz tak czy owak. Jak go nie spotkam, informacja jest twoja. Ja się nie przyznam, że ci ją dałem. Dla niego znajdę inną.

Zgodziłam się na tę stówę głównie dlatego, że nie miałam czasu na targi, a nie dlatego że brakowało mi materiału do pracy. Mój problem polega na tym, że nie panuję nad napływającymi

informacjami. Za dużo się dzieje. Czasami myślę, że świat byłby lepszy, gdyby ludzie nie wiedzieli wszystkiego o wszystkich.

Sprzedał mi pognieciony świstek z nagryzmołonym planem sytuacyjnym fragmentu miasta i zaznaczonym literą D czyimś domem.

— Jak ci się nie chce tam jechać, odsprzedaj kontakt Szymonowi albo zrób z tym, co chcesz. Chłopaki wezmą z pocałowaniem ręki, ale nie mam czasu czekać. O jedenastej uprowadzono samochód ciężarowy z portowego parkingu. Podobno z dużą partią nielegalnego towaru. Odstawiono go na plac Zawiszy i tam rozegrała się o niego walka. Pół godziny temu widziałem na miejscu tłum dziennikarzy, ale wątpię, by znaleźli jakichś świadków. Akcja była zrobiona prima sort. Masz tu adres kogoś, kto coś wie. Jak ci się uda, to może to z niego wydusisz, choć wątpię. To już twoja robota, nie moja. Jeśli mogę coś radzić, to jedź tam jeszcze dziś. Jutro może być nieaktualne.

Pomachał do mnie moją stówką i zniknął.

Wrzuciłam świstek do torby. Najbardziej ucieszyła mnie wiadomość, że nawet gdybym czekała na placu na rozwój wypadków i tak nie byłabym mądrzejsza, niż jestem teraz. W tym kontekście informacja warta była forsy, którą straciłam.

\* \* \*

Szef zadzwonił w momencie, gdy wyjeżdżałam z parkingu.

— Dowiedziałas się czegoś? Rozmawiałaś z policją? Znalazłaś jakiegoś świadka? Będzie z tego materiał do jutrzejszego wydania?

Rzuciał we mnie krótkimi, agresywnymi pytaniami i potępiał z góry za wszystko, czego nie zrobiłam. Jasnowidz, kurcze.

— Mm, hm... w zasadzie tak... no, prawie... — bąkałam, próbując w pośpiechu wyobrazić sobie, co powinnam powiedzieć.

Zgoda. Powinnam uczciwie odpowiedzieć, że nie. Nie dowiedziałam się niczego. Nie rozmawiałam z policją. Nie znalazłam żadnego świadka. Nie będzie z tego materiału na jutro. Tak powinnam powiedzieć. Zamiast tego chrząknęłam.

— Masz jakieś problemy? — spytał podejrzliwie.

— Ja? Skąd. Wszystko w porządku. Wiem już sporo.

I powtórzyłam to, czego dowiedziałam się przed sekundą. Moja opowieść brzmiała wiarygodnie, choć prawdziwy był w niej tylko szum znikającego za horyzontem tira. Pewnie, że nie powinnam kłamać. Prawda byłaby dużo lepsza. Ale kto mi zagwarantuje, że Lulu nie odbierze mi tej sprawy i nie da jeszcze gorszej. Nikt. Na razie więc postanowiłam do niczego się nie przyznawać. Trzeba kłamać, żeby przeżyć. Na swoje usprawiedliwienie miałam tylko to, że było mi naprawdę przykro. Przynajmniej przez chwilę.

— To ma być sporo? To tyle co nic. Chcę wiedzieć więcej niż inni. Trochę inwencji, dziewczyno, inwencji. Świat jest wredny. Trzeba pokazać jego okrucieństwo. Chcę mieć materiał do jutrzejszego wydania i to taki, który mi się spodoba. Lepiej wykop informacje spod ziemi albo...

Tak, tak... albo ja cię wykopię...

Tę gadkę słyszałam już setki razy, więc niespecjalnie się przejęłam.

— Jasne. Dzięki tym pogróżkom czuję się głęboko zmotywowana do pracy, szefie.

— Coś mi się zdaje, że lepiej bym zrobił, jakbym dał to Laurze.

Dokładnie tego się spodziewałam.

To jego stały repertuar, szczucie nas przeciwko sobie. Do diabła, za kogo on się uważa? Powołanie się na Laurę jest nie w porządku. Sama myśl o niej otwiera mi nóż w kieszeni i budzi we mnie pragnienie mordy. I on dobrze o tym wie.

Z drugiej strony, jestem pewna, że gdyby to ona dostała ten temat, zrobiłaby wszystko, aby znaleźć się na miejscu pięć minut po zdarzeniu, dorwałaby świadków i wyciągnęła z nich wszystko, co by się tylko dało. Pewnie już by stała pod jego gabinetem z kompletem materiałów w zębach. I to takich materiałów, które bez poprawek nadawałyby się na pierwszą stronę. Laura z każdego tematu potrafi zrobić sensację. Bo w sumie o to w tej robocie chodzi.

W porównaniu z nią czułam się gorsza.

Ale przynajmniej byłam najedzona.

— Nie denerwuj się. Tu nikt niczego więcej nie wie, ale mam zamiar na świadka i dowiem się wszystkiego. Możesz być spokojny.

Chyba przesadziłam z tymi obietnicami. Ale chociaż osiągnęłam tyle, że Lulu odczepił się chwilowo usatysfakcjonowany. Mogłam wreszcie wyjechać z parkingu.

Muzyka dzwoniącego drzewa towarzyszyła mi aż do centrum.

\* \* \*

Na ulicach dojazdowych do placu Zawiszy policja ustawiła zapory. W głębi wypatrzyłam kilka radiowozów, ale panowała jakaś nienaturalna cisza. Żadnych gapiów, żadnych dziennikarzy. Wyglądało na to, że ci, co potrzebowali informacji, już je zdobyli. Tak czy inaczej, jadąc tu i tak, nie spodziewałam się niczego innego.

Policjant, którego złapałam, potraktował mnie lekceważąco.

— Nie wolno tędy przechodzić.

— Jestem z prasy.

— A ja z policji i mówię, że nie wolno. Była już konferencja. Komendant udzielił informacji.

— A jakich?

— Nie wiem. Objąłem służbę dopiero dziesięć minut temu.

— To tak jak ja.

Nie był w nastroju do spierania się. Pewnie kazali mu pilnować pustego placu i nie gadać z dziennikarzami. A może naprawdę nic nie wiedział.

Opowiedziałam mu dowcip o spóźniających się wszędzie blondynkach. Pośmialiśmy się. Przez chwilę byliśmy przyjaciółmi.

— No to mogę?

— Niestety nie i nie ma w tym ani cienia żartu, zapewniam panią.

Powiedział to bardzo poważnie, wpatrzony we mnie w wielkim skupieniu. Potem zrobił lekki ruch dłonią, odsuwając temat jako wyczerpany.

Kicha.

Przelotnie poczułam dziwne, niepokojące pragnienie; odepchnąć go, przeskoczyć przez zaporę i pobiec. Może i są tacy reporterzy, którzy z narażeniem życia przedzierają się przez zaskieki, by zdobyć informacje. Ja do nich nie należę. Ze smętną miną pogapiłam się przez chwilę na pomalowane sprejem mury i tyle. Te same sklepy, te same napisy i biuro rzeczy znalezionych. Nie było tylko tira.

Podziękowałam grzecznie i wycofałam się. Tu nie miałam nic do roboty. Wróciłam do samochodu w głębokim przekonaniu, że jeśli do czegoś się nadaję, to w sam raz do opróżniania koszy na śmiecie. Szef w którymś momencie też to zauważył i wyleje mnie na zbity pysk. Oby jeszcze nie dziś.

Zacęłam rozmyślać nad usprawiedliwieniem.

Włączyłam radio i usłyszałam, jak moja koleżanka, Dorota, mówi, że utrata spontaniczności to objaw starzenia się.

No nie. Ale mi przywalila.

Nie mogę tak się rozklejać. Muszę coś wymyślić.

I nagle przyszło mi do głowy, że jedynym sposobem zdobycia informacji jest ściągnięcie ich od tych, co już je zdobyli. Więc robię to. Przerzucam stacje i, kroczek po kroczeniu, dowiaduję się różnych rzeczy. To się właśnie nazywa spontaniczne działanie. No, cóż. W końcu się zobowiązałam, więc muszę przynajmniej próbować.

Słuchałam, notowałam i po półgodzinie wiedziałam to samo co inni. Czyli w zasadzie nic konkretnego. Tir z ładunkiem uprowadzony z parkingu. Ten sam tir już po kwadransie zlokalizowany przez policję, a raczej przez wściekłych kierowców zablokowanych na placu Zawiszy. Zanim na miejsce przybyli policjanci, tir odjechał w niewiadomym kierunku. I już, koniec bajki. Żadnej strzelaniny. Jedyne wydarzenie wart uwagi to łom, którym kierowca postraszył gapiów. Pewnie musiał się bronić przed linczem. W jego sytuacji sama też wolałabym być uzbrojona.

Nawet jeśli naprawdę doszło tam do czegoś więcej, to nikt tego nie zauważył.

Przysłuchiwałam się częściej gadaninie dziennikarzy. To, co mieli do powiedzenia, było do niczego, same spekulacje, pełna gama propagandowego śmiecia. Tak naprawdę nic istotnego się nie stało i moi koledzy prześcigali się we wzajemnej licytacji, kto zabawniej skomentuje mało znaczący incydent. Do wieczora nikt nie będzie o nim pamiętał i tylko nieliczni podadzą ten fakt w formie żartu między aktualnymi przebojami.

Nie ma się czym przejmować.

Wyciągnęłam ze schowka laptop i zajęłam się dopasowywaniem kawałków informacji. Skleczę z nich coś, co prześlę szefowi, żeby zatkać mu gębę. Do jutrzejszego wydania wystarczy, a może później inni dowiedzą się czegoś więcej.

Wielu moich kolegów pisało lipne artykuły, że niby byli tam, gdzie wcale ich nie było, że rozmawiali z ludźmi, których tak naprawdę na oczy nie widzieli. Ja obiecałam sobie, że nigdy tego nie zrobię. Niestety, okazało się, że przysięganie samej sobie nie należy do moich najmocniejszych stron. Człowiek robi zadziwiająco głupie rzeczy, byle tylko wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

— Przysięgam, że to tylko ten jeden jedyny raz — powiedziałam głośno, żeby lepiej zapamiętać złożoną sobie obietnicę.

Opisałam fragment ulicy na podstawie zdjęć zrobionych wcześniej, wykorzystałam oficjalne oświadczenia oraz wiadomości agencyjne, zlepiłam fragmenty tego, co wiedzieli inni, i napisałam wściekły tekst o nieudolności policji, która nie potrafi przyjechać na czas, by zabezpieczyć jeden głupi samochód... Do kitu. Zmazałam i napisałam inaczej, użalając się nad złym rozplanowaniem wyjazdów z placu Zawiszy, gdzie jedno źle zaparkowane auto może sparaliżować komunikację... Też źle. Ostatecznie zdecydowałam się na tekst błahy, powierzchowny, jak ślizganie się żaby po błocie, bez głębi, bez zastanawiania się, o dumnym kierowcy, który poszedł na obiad i zapomniał, gdzie zaparkował ogromnego tira.

Wiedziałałam, że szefowi się nie spodoba. Wolałby coś bardziej drapieżnego.

W dopisku wyjaśniłam, że na wieczór mam jeszcze umówione spotkanie ze świadkiem i zdjęcia z placu, na chwilę przed awanturą. Przechodnie, których da się zidentyfikować, mogą być kolejnymi świadkami.

Skończyłam.

Rozejrzałam się, zażenowana, czy aby nikt nie widział, co robię. Ciągle biłam się z myślami: wysłać, nie wysłać. Ale w tym odludnym miejscu, gdzie nikt nie patrzył, wysiłek bycia uczciwą okazał się zbyt wielki.

A co mi tam. Inni przecież robią jeszcze gorsze rzeczy.

Ładne usprawiedliwienie, nie uważacie? Jedyne, czym się mogę tłumaczyć, to fakt, że działałam pod presją.

Kiwnęłam głową sama do siebie i w ten sposób przypieczętowałam decyzję.

— Nie wierzę, że to robię — powiedziałam do siebie i nacisnęłam enter.

Tekst poszedł do redakcji, a mnie ciężar spadł z serca. Co za ulga przestać się opierać.

W odpowiedzi dostałam mejl, że, cytuję:

„Twój artykuł jest zbyt konwencjonalny i w sumie banalny, a ma być bardziej emocjonalny, z odpowiednim ładunkiem grozy. Zrób z tym coś”.

I jeszcze:

„Dobra. Do jutrzejszego wydania wystarczy. Dawaj te zdjęcia. Pójdą razem z krótką notką”.

I jeszcze:

„A ty dzisiaj odszukaj świadka, żeby jutro ubrać te banały w konkrety. Podobno to jakaś większa afera. Wysł się trochę, może jak się trochę przyłożysz, uda ci się coś z tego wyciągnąć”.

Czyli, co?

Czyli, udało się. Hura!

Byłam uratowana.

Czułam się przytłoczona własną przebiegłością.

## 5

Miałam jeszcze ten świstek z nagryzmołonym adresem, ale w tej chwili nie był już taki ważny. Nie widziałam potrzeby, żeby się spieszyć. Czekwały mnie trzy umówione rozmowy w trzech częściach miasta. Musiałam pogadać z żebraczką, która upodobała sobie wejście do banku i nie chciała się stamtąd usunąć. Potem spotkanie z kuratorem dziecka mieszkającego na dworcu, a na koniec konferencja z kandydatem na jakiegoś ważniaka.

Tak więc resztę dnia spędziłam w samochodzie, zabiegając o towarzystwo ludzi, którzy nie mieli ochoty ze mną gadać. Żebraczka schowała się na mój widok. Kurator poświęcił mi pięć minut, odczytując paragrafy w odpowiedzi na pytania, jakie mu zadałam. Ale najlepszy był kandydat.

Stał na oświetlonej scenie i bojaźliwie mrużył oczy. Miał przygotowaną mowę i chciał ją wygłosić, jednak na sali nie było takich, którzy zamierzali go wysłuchać. Poza kilkoma dziennikarzami przyszło może z piętnaście osób. Trudno powiedzieć, czy są wśród nich jego zwolennicy — z pewnością większość zgromadzenia stanowili wrogowie. A on nie był typem przywódcy. Wyglądało, jakby znalazł się na mównicy przez pomyłkę. Stał tam jak sierota i po raz kolejny próbował rozpocząć mowę, ale coś go blokowało. Trzeci raz milkł w połowie pierwszego zdania.

— No i co tak stoisz jak dupa? — wrzasnął ktoś z sali.

Wielu się roześmiało.

Biedak zebrał się w sobie i zaczął swoją przemowę. Głos mu drżał. Nie patrząc na ludzi, mówił coś, jednak pochylił się zbyt nisko nad mikrofonem i nie było nic słychać. Pewnie gdyby mu dali szansę, dotarłby jakoś do końcowej kropki. Ale ci, co przyszli, każde jego słowo





Dojechałam do jeziora.

Stałam i nie miałam pojęcia, co dalej.

Nie było kogo spytać, bo od miejsca, gdzie mijałam psa, nie widziałam żywej duszy.

Gorzej, bo nie wiedziałam, jak wrócić stąd, dokąd zajechałam.

Chyba zablądziłam.

Robiło się coraz ciemniej. Wolałam wycofać się już teraz. Jeśli ktoś tu naprawdę mieszka, to i jutro go znajdę.

Zawróciłam, modląc się, bym nie wjechała tylnymi kołami w jakiś rów.

Nie ma się co oszukiwać. Klapa na całej linii. Poza dwoma aktami bohaterstwa niewiele mi się dzisiaj udało. Jeśli się jeszcze nad czymś zastanawiałam, to czy wrócić do redakcji, czy pojechać prosto do domu i stamtąd zadzwonić do szefa z informacją, że nie udało mi się z tym świadkiem. Spróbuję jeszcze jutro rano.

Po krótkim namyśle uznałam, że dom będzie zdecydowanie lepszym wyjściem.

W drodze powrotnej czułam się fatalnie.

Było mi siebie szczerze żal, bo to, czym się zajmuję, to nie jest robota moich marzeń. Czasami, tak jak dziś, drażni mnie myśl, że całe to bieganie za ludźmi w pogoni za sprawami, które nie mają ze mną żadnego związku, jest bez sensu, tym bardziej że efektem wszystkich tych wypraw będzie jedynie krótka notka na dole piątej strony. Kto wie, czy ktoś w ogóle ją przeczyta? A jeśli nawet, to nie zachowa jej w pamięci choćby przez pięć minut. Moja pisanina nie zmieni niczyjego życia ani nie skłoni nikogo do głębszych refleksji. Więcej zaciekawienia wzbudziłoby puste miejsce w gazecie i byłoby lepiej, gdyby moje artykuły ukazywały się w takiej właśnie formie.

\* \* \*

Zatrzymałam się na wzniesieniu.

Wjechałam w zatoczkę i wysiadłam z samochodu. To nie był żaden taras widokowy, a zaledwie nieco szersze pobocze i wiedziałam, że przy braku szczęścia, gdy akurat nadjedzie radiowóz, zapłacę mandat. Ale nie mogłam się powstrzymać, by nie popatrzeć stąd na swój dom. Kilka chwil, jakie mogłam spędzić, wpatrując się w słońce zachodzące za rzeką, potraktowałam jako nagrodę za całodzienny trud. Objęłam wzrokiem większą przestrzeń. Ludzie w ostatnich latach uwielbiają się osiedlać pośród zieleni. Niedługo zajmą cały stok, dolinę i wszystkie polany.

Mój dom stoi zaraz za mostem, przy rozjeździe. Głębokie przedmieście, prawie wieś, a samochodem do centrum jedzie się zaledwie kilkanaście minut. Tylko nie mówcie, że nie marzycie o czymś takim. Moi starzy odziedziczyli działkę po jakimś wujku i przenieśli się do skromnego domku. Przez całe życie rozbudowywali go, przeznaczając większość oszczędności na dostawianie kolejnych pomieszczeń. Nie byliśmy bogaci i przez tę cholerną chałupę nigdy nie pojechaliśmy na wczasy ani nigdzie, bo wszystkie pieniądze szły na remont. Rodzice twierdzili, że jeszcze im za to podziękuję. Przez większość życia szczerze nienawidziłam tego domu. Marzyłam o wielkiej trąbie powietrznej, która go porwie i rozniesie na strzępy.

Trąba nadeszła i wałnęła, tyle że nie w dom, a w samochód, którym jechali rodzice. To stało się już wtedy, gdy miałam syna z Michałem. Samochód spadł ze skarpy, rysując na skale długą krechę. W aucie razem z dziadkami był też mój syn. Przez kilka godzin leżeli na brzegu rzeki, doskonale widoczni z mostu, ale nikt się nie zatrzymał, nie udzielił pomocy. Policję zawiadomił jakiś dzieciak, jednak było już za późno na cokolwiek.

Gdy mam zamiar o kimś źle napisać, lubię myśleć, że jest jedną z osób, które przejeżdżały wtedy drogą A4. To sprawia, że nie mam najmniejszych skrupułów. Walę piąchą między oczy.

Od czasu do czasu chodzę na kanapę do psychoanalityka, by wypowiadać się z pokładów żalu, który przekłada się na agresję. Psychoanalityk radzi za każdym razem to samo, żebym rzuciła tę pracę. Ten psychoanalityk to moja koleżanka i ona po prostu dobrze mi życzy, tyle że nie potrafi zaproponować nic w zamian.

\* \* \*

Po rozświetlonych oknach w sąsiednich domach widać, że mieszkają tam ludzie; nawet stąd dostrzec można rodziny zgromadzone przy stołach, głowy dzieci opuszczone nad lekcjami, mrugające telewizory. Mój wygląda na opuszczony.

Po tym, co się stało, wystawiłam go na sprzedaż. Rodzice budowali go przecież nie tyle dla mnie, ile dla wnuków, których im dam. Wierzyli, że będzie pełen dzieci, śmiechu, wrzawy. Szukałam nabywcy z gromadą dzieci, ale zgłaszali się sami sklepikarze, rzeźnicy, a nawet facet, który chciał tu urządzić zakład pogrzebowy. Oferta tego ostatniego była idealna. W zamian oferował mieszkanie w mieście i mniejsze nad morzem. Umowa była gotowa, notariusz umówiony, wycofałam się jednak w ostatniej chwili. Nie mogłam tego zrobić staruszkom. Ani sobie. Zrozumiałam, że przez resztę życia musiałabym patrzeć na siebie ich rozczarowanymi oczami.

Mieszkamy tu tylko we dwoje z Michałem. Gdybyśmy byli tacy jak inni, mielibyśmy przynajmniej psa. Ale nie mamy nic, poza sobą. A życie zarówno Michała, jak i moje, składa się niemal wyłącznie z pracy. To jedyna siła napędowa naszej codzienności. Cały swój czas oddajemy obcym ludziom. Jest w nas jakiś nadmiar buzującej energii, której nie potrafimy inaczej spożytkować. Coraz częściej przychodzi mi na myśl, że chyba się trochę pogubiliśmy i tak naprawdę nie zmierzamy do żadnego celu, tylko kręcimy się w kółko. I co gorsza, nie wiemy, jak przestać. Wierzę, że któregoś dnia wyjdziemy na prostą.

Modłę się o jakiś kataklizm, który wyrwie nas z tej zwariowanej orbity.

— Boże, ześlij coś na nas.

DOBRA. ZROBI SIĘ. ALE WSZYSTKO W SWOIM CZASIE.

Bóg siedzi w mojej głowie i czasami ze mną gada.

## 6

Wstąpiłam do sklepu po jakieś byle co na kolację, a potem jadąc wolno, patrzyłam na zachód słońca. Wierzchołki drzew wydawały się stać w ogniu, a nad linią horyzontu przesuwały się pasma chmur w nieprawdopodobnych odcieniach różowego i pomarańczowego. Domy oświetlone tym blaskiem wyglądały całkiem inaczej niż w ciągu dnia.

Stara Maciakowa uchyliła furtkę i kiwnęła, żebym stanęła. Jeśli mówię stara, to właśnie to mam na myśli. Ona ma chyba ze sto lat, ale jeśli coś robi, wkłada w to tyle energii, że nie sposób udać, że się tego nie widzi. Jeśli kiwa, że mam się zatrzymać, to noga sama wbija się w hamulec. Wyobraziłam ją sobie na miejscu tego palanta, któremu marzy się władza. Nie mogłam opanować uśmiechu na myśl o awanturze, jaką by urządziła, żeby uspokoić wyjców. Wystarczyłby jeden ruch palca, a byłaby cisza jak makiem zasiał.

Zatrzymałam samochód i odsunęłam szybę.

— Co się stało?

— Jeszcze nic, wyszłam, żeby cię ostrzec, bo jakiś oberwaniec kręci się tu od paru godzin. Jakby co, daj znać, to przyjdę i pomogę ci go przegonić.

Jeśli tak mówisz, niewątpliwie ma na myśli, że przydałoby się go zastrzelić.

— Dobra, naszykuję broń — powiedziałam.

Ta kobieta wzięła na siebie trud chronienia mnie przed złem tego świata. Nie jestem jej za to wdzięczna, ale mój brak wdzięczności jej nie wadzi. To jedyna osoba, która zna moje najskrytsze sekrety. Za późno zorientowałam się, że z jej okna widać wewnątrz mojego pokoju.

Jest też jedyną osobą, która twierdzi, że ten ktoś, kto zepchnął samochód ojca z szosy, jeszcze za to beknie. Dlatego pozwalałam jej się niańczyć. Twierdzi, że miała taki sen. Pytałam, czy nie zapamiętała numerów rejestracyjnych przestępcy. Obiecała, że jak jeszcze raz jej się to samo przyśni, zwróci na nie uwagę. Jestem pewna, że zanim pójdzie spać, sprawdza, czy ołówek i kartka leżą wystarczająco blisko łóżka.

— Może zechciałabyś zjeść ze mną kolację. Trochę mi nudno.

Nie lubię sama jeść. To zabawne. Zawsze lubiłam, a teraz nagle nie lubię. Chyba się starzeję. To jak? Mam polędwiczkę.

Boże, tylko nie to. Jestem wykończona. Marzyłam, by w ciszy i spokoju zjeść swoje byle co.

— Jestem wykończona — mówię po prostu.

Maciakowa się nie upiera.

— No, trudno. Zaproszę psa, a ty pozamykaj się dobrze, póki Michał nie wróci. A jakby co, to wrzeszcz z całej siły, na pewno cię usłyszę.

Nie wątpię.

— Dobrze. — Kiwam uspokajająco głową.

Z ulgą włączam silnik i na dwójce telepię się do swojego podjazdu. Moją furtkę ozdabia gryf ze skrzydłami. Tata pracował nad nim ponad rok. Trochę mu pomagałam. Zamykając bramę, widzę, że Maciakowa jeszcze stoi i sprawdza, czy prawidłowo się okopałam. Niedawno zdałam sobie sprawę, że przy takim trybie życia starzeję się w tempie tak gwałtownym, że niedługo dobiję wiekowo do Maciakowej, a może nawet ją przegonię.

Jakoś ta perspektywa w ogóle mnie nie przeraża.

\* \* \*

Wprowadziłam samochód do garażu, bo nie zamierzałam już dzisiaj nigdzie się ruszać. W planach miałam: po pierwsze — zjeść kolację, po drugie — pogasić światła, po trzecie — wyłączyć telefon i odciąć się od świata. Dopiero Michał mnie odnajdzie i uratuje.

Starzy mieli rację, że bez względu na wszystko, co się dzieje, dom to dom. Lubię tu wracać. Lubię otwierać drzwi i zamykać je za sobą. Lubię długą dębową ławę w holu, na której siadam, gdy przychodzę, i siedzę tak długo, póki nie nabiorę sił, by wejść dalej. Lubię te chwile ciszy, gdy czekam na Michała i nikt mi nie wypomina, że nie załatwiłam wszystkiego, co miałam do załatwienia.

Przekręciłam klucz, licząc, że i dzisiaj będzie tak jak zawsze. Ale nie było.

Tuż za drzwiami czekała mnie niespodzianka, choć w pierwszej chwili jej nie dostrzegłam. Zdażyłam położyć torbę z zakupami na ławie, zrzucić buty i schylić się po kaptcie. Bosą stopą wdepnęłam w smugę piasku. Odruchowo ułożyłam wycieraczkę na właściwym miejscu i w tym momencie znieruchomiałam, bo nagle wszystko dookoła wydało się dziwnie obce. Każda rzecz znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna, nawet gazeta leżała tak, jak Michał zostawił ją rano, tylko ta smuga piasku na posadzce...

Ktoś tu był i przejechał się na słomiance.

Wdepnięcie na naszą wycieraczkę każdorazowo kończy się poślizgiem i upadkiem. Taki wybryk natury. Ci, którzy o tym wiedzą, omijają ją dużym krokiem i nigdy, przenigdy na niej nie stają. Prawie wszyscy nasi znajomi wywinęli już orła w holu, ale ciągle nie możemy się zdecydować, by ją wyrzucić. Tomek uwielbiał na niej jeździć.

Był tu ktoś obcy. Może nadal jest.

Myśli przelatowały mi przez głowę jak błyskawice. Zamarłam w bezruchu z żołądkiem skręconym w supeł. Wyteżyłam słuch, by pochwycić choćby najlżejszy odgłos i usłyszałam...

Nic nie usłyszałam.

Zapodziały się gdzieś nawet znajome odgłosy.

Odczekałam jeszcze chwilę, starając się uspokoić oddech. Ostrożnie nacisnęłam kontakt.

Wiedziałam, że jak pozwolę sobie na chwilę wahania, stracę całą odwagę.

Rzut oka na sprzęt... Wszystko wydaje się na miejscu.

Szłam na miękkich nogach. Systematycznie zapalałam światła w całym domu i przechodziłam z pokoju do pokoju, jak detektyw w poszukiwaniu śladów. Patrzyłam na meble i obrazy, które dawniej mnie raziły, a potem, kiedy mogłam wszystko zmienić, razić przestały. Rozglądałam się wokół, po raz kolejny zastanawiając się, po co mi taki wielki dom? Sześć sypialni, a tylko jedna używana, dwie łazienki, kuchnia, salon. Na kominku w salonie zdjęcie rodziców i Tomka. Zatrzymałam wzrok na fotografii. Mama z tatą uśmiechali się do mnie uspokajająco i pomyślałam bez sensu, że skoro się uśmiechają, to wszystko będzie dobrze. Tomek patrzył poważnie, obserwując, co robię. Zrobiłam sobie szybkiego drinka. Pociągnęłam łyk i poczułam, jak alkohol wędruje po organizmie, rozpraszając ciepło. Otworzyłam drzwi sypialni i znajoma woń sprawiła, że zatęskniłam gwałtownie za Michałem. Pomyślałam, że powinnam zadzwonić do niego, lecz zdałam sobie sprawę, że odbierze pani Marta, a przecież to nie za nią tęsknię.

Nie miałam zamiaru robić niepotrzebnego zamieszania.

Ktokolwiek tu był, już na progu się wywalił. I dobrze mu tak.

Postanowiłam nic nie robić.

\* \* \*

Bez energii, bez apetytu przejrzałam zawartość lodówki. Nie znalazłam nic ciekawego, ale nie chciało mi się jeszcze siadać do komputera, więc włączyłam telewizor. Na jednym z programów, w wiadomościach lokalnych mignęła trzysekundowa relacja z placu Zawiszy. Na ekranie widać było paru zde gustowanych przechodniów. Epizod niewart uwagi. Policja chyba nawet nie usiłowała odnaleźć kierowcy. Bo i po co? Do jutra wszyscy zapomną. Zaraz potem pojawiła się gadająca głowa, jedna z tych tryskających witalnością i pchających się do rządu krajem. W chwili, gdy go rozpoznałam, aż usiadłam z wrażenia. Ten sam, na którego konferencji byłam kilka godzin wcześniej. Zdążyłam już wysłać relację o jego kompromitacji, a tu niespodzianka. Telewizja pokazała go jako bohatera wieczoru. Stał na podwyższeniu i wypowiadał się godnie, z pewnością siebie kogoś, kto wierzy w to, co mówi. Poniżej tłumy wsłuchane z nabożną czcią w wygłaszane mądrości. Co prawda inne tłumy, inna sala, ale gdy nastąpiło zbliżenie na twarze dziennikarzy, kogo zobaczyłam? Nas wszystkich, którzy byliśmy dzisiaj, a wśród innych i siebie.

Patrzyłam na to ze zdumieniem i zastanawiałam się, jak, na Boga, mogłam tak źle zinterpretować to, co przecież na własne oczy widziałam. Może coś przeoczyłam, za wcześnie wyszłam albo co?

— Tutejsze władze pierdzą... — usłyszałam głos komentatora.

Pewnie powiedział coś innego, jednak komentarz w tej formie wydał mi się zdecydowanie na miejscu. Niczego lepszego bym nie wymyśliła. Łyknęłam jeszcze trochę koniaku, żeby to jakoś przetrwać, i zadzwoniłam do koleżanki z redakcji telewizyjnej. Też tam była, ale może widziała coś innego.

— Anka, o co chodzi z tym...

— To nie wiesz? Są naciski odgórne.

— Czyli czyje?

— Czyli tych, którzy są na górze i trzymają prawdziwą władzę. Chodzą słuchy, że Czernik likwiduje konkurencję i pcha w górę swoich ludzi. Z tego, co słyszałam, chce tego palanta wystawić do Rady... szuka sposobu, by go wypromować. Podobno nie może znaleźć nikogo, kto wzięłby na siebie tę dziadowską robotę, wszyscy odmawiają, więc wymusił wyemitowanie czegoś takiego. Nie pytaj, bo więcej nie wiem i nie chcę wiedzieć.

— Ciekawe, w jakiej formie pójdzie moja notatka o kompromitacji tego pypcia?

— Zdziwisz się.

Ciągle się dziwię. Taki mam zawód. W zasadzie powinnam przywyknąć do wszelkich nienormalności, ale świat bez ustanku mnie zdumiewa. W pewnym sensie rozumiem, że jedni ludzie są bardziej wpływowi od innych i w związku z tym idee przez nich propagowane mają większą siłę przebicia, bo tylko one zagwarantują dostęp do PRAWDY. Swojej prawdy. A prawda to bóstwo, któremu służymy, i dlatego aprobujemy naginanie faktów, aby tę prawdziwszą prawdę wyeksponować. Ale żeby aż tak?

Czasami zaczynam wątpić, czy w ogóle istnieje coś takiego jak prawda. Z tego, co już zrozumiałam, wiem, że istnieją pieniądze i one są wyznacznikiem tego, co w danej chwili jest bardziej lub mniej prawdziwe. Taki, powiedzmy, Czernik ma pieniądze i dzięki nim trzyma telewizję i prasę krótko przy nodze. Jego widzenie świata jest w związku z tym najprawdziwsze.

Zaparzyłam sobie kawę.

Z dachu skapywały krople i rozpryskiwały się na kuchennym parapecie. W pograżonym w ciszy domu te dźwięki brzmiały jak uderzenia dzwonu. Wpatrując się w buczący ekspres, wyczekiwałam kolejnego uderzenia. Trzeba będzie naprawić rynnę. Z kawą podeszłam do okna. Było już ciemno, ale w świetle lampy zobaczyłam pod ścianą garażu postać. Obcy na moim podwórku. A więc jednak.

Siedział w kucki, opierając się plecami o ścianę garażu. Z miejsca uświadomiłam sobie, że zapasowy klucz wisi przecież na gwoździu, przy drzwiach kuchennych. Zostawiamy go tam na wszelki wypadek i dla przyjaciół. Tamten spod garażu nie wyglądał na niczyjego przyjaciela. Ale klucz znalazł i wlaź do domu. Jak śmiał?

Otworzyłam szerzej okno, żeby wiedział, że został zauważony.

Nie przejął się ani trochę.

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Spod naciągniętego na głowę kaptura widać było tylko oczy i usta. To prawie dzieciak, mógł mieć z siedemnaście, osiemnaście lat. Może nawet nie tyle. Palił papierosa i gapił się beczelnie. Ognik wędrował tam i z powrotem. Powinnam wrzasnąć, by zjeżdżał stąd, nim coś podpali, ale może wtedy naprawdę by coś podpalił. Z takimi gnojkami nigdy nic nie wiadomo. Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że należy do gatunku, który wszędzie, gdzie się pojawi, narobi szkód. Pytanie tylko, jak poważnych.

Piłam kawę i patrzyłam na niego właściwie bez specjalnego gniewu. I bez żadnego konkretnego powodu wyobraziłam sobie, że to mój syn. Odrobił lekcje i siedzi w ogrodzie, popalając po kryjomu. Owa myśl przyszła instynktownie i nappełniła mnie radością, dlatego pozwoliłam jej trwać i rozwijać się w historyjkę, jak to rozstaliśmy się na chwilę w parku, przy rozdzielających się alejkach wokół fontanny; on pobiegł jedną, ja poszłam drugą i spotkaliśmy

się teraz, zdziwieni, że czas płynął inaczej dla każdego z nas. Mnie przybyło lat i jemu też, tyle że jemu nieco więcej. Powinien mieć osiem, a wyglądał na starszego. Może przez te papierosy. Gdzie się nauczył palić?

Mój Boże, co za niedorzeczność.

Dotknęłam czołem do chłodnej szyby, ale to on pierwszy się ocknął i odrzucił gwałtownie niedopałek, aż posypał się snop iskier. Pomyślałam, że odczuł tę chwilę tak, jak byśmy się znali i od dawna wpływali nawzajem na swoje życie.

\* \* \*

Wycofałam się w głąb pokoju i drżącymi palcami włączyłam komputer. Dzień już się kończył, a ja nie zrobiłam nawet połowy tego, co miałam do zrobienia. Musiałam się skoncentrować, by napisać kilka notatek i pomyśleć, gdzie zadzwonić, by sprawdzić parę faktów. Lubię planować pracę w spokoju i pisać w nocy, czekając na powrót Michała. Odgłosy nocnego życia ogrodu i cisza pustego domu pozwalają mi się skupić. Po godzinie został mi tylko tir z placu Zawiszy. Przeszukałam wiadomości internetowe, niczego jednak nie znalazłam. Pewnie nie ma czym sobie głowy zawracać. Jutro sprawa okaże się nieaktualna. Ale gdy zajrzałam do swojej poczty, znalazłam pytanie szefa, czy mam coś więcej na temat tira, bo na placu Zawiszy niemal na pewno doszło do jakiejś rozgrywki między gangami.

„Numer rejestracyjny odczytany z twojego zdjęcia okazał się fałszywy. Ten twój świadek może okazać się cenny. Znalazłaś go?”

Nabrałam powietrza w płuca, powiedziałam sobie, że to nic takiego, i wysłałam mejlem wiadomość o swojej porażce:

„Jestem z nim umówiona na jutro rano”.

Kłamczucha, kłamczucha, kłamczucha, nagadałam sobie, a potem, już wyluzowana, usadowiłam się wygodnie w fotelu. Nie miałam zamiaru spać, ale sufit zaczął wirować, oczy same się zamknęły, więc pozwoliłam sobie na chwilę drzemki.

*Poubierani w firmowe ciuchy spotykamy się na bankietach, a z rąk do rąk przechodzą czeki na tysiące dolarów. Rozciągamy macki i ryczymy ze śmiechu, że to takie łatwe.*

Obudziłam się zaplątana w koc, z poduszką na twarzy.

W pierwszej chwili po złapaniu oddechu pomyślałam, że zasnęłam. Na zegarze dochodziła dwunasta. Wstałam i wyjrzałam przez okno. Ciemno, pusto, nic, żywego ducha w zasięgu wzroku. Gnojka też nie było. Spojrzałam na dom Maciakowej po drugiej stronie drogi. Wszystkie okna u niej były szczelnie pozamykane, żaluzje opuszczone. Gdy umrze, będzie mi jej brakowało.

I to wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, że napiszę coś w rodzaju opowiadania o tirze z placu Zawiszy. Nie do gazety, ale dla siebie. Czułam, jakby mnie w tym kierunku coś popychało. Pokusa stworzenia własnej wersji wydarzeń była tak silna, że pozwoliłam myślom swobodnie biec i penetrować zakamarki dusz obcych ludzi. W mojej opowieści tir wyładowany cennym ładunkiem został doprowadzony konkurencyjnemu gangowi i odstawiony pod biuro rzeczy znalezionych. Zabawna historyjka o niebezpiecznych grach dorosłych mężczyzn.

Zacząłam wypełniać ekran swoimi wyobrażeniami o tej sprawie. Pisałam w pierwszej osobie, wcielając się w postać kogoś, kto uczestniczył w wydarzeniach, kto je sprowokował. Aby spotęgować emocje, negatywnym bohaterem uczyniłam kobietę. Opowieść sama się snuła, jakbym ją miała w głowie. Byłam tą osobą, znałam jej życie, prześliznęłam się przez nie.

*To nie była dziecinna zabawa, tylko wojna. Wyznaczaliśmy cele, zastawialiśmy pułapki, niszczyliśmy przeciwnika, walczyliśmy o fragmenty miasta. Żeby nie tracić ludzi, na pierwszą*

*linię wysyłaliśmy nieopierzonych małolatów, bo utrata takich żołnierzy najmniej nas kosztowała. Potem odbywały się rokowania. Gadałam z facetami i przedstawiałam im swoje warunki.*

Słowa same się splatały.

Pograżyłam się w pracy, która sprawiała mi przyjemność.

Tak naprawdę tym właśnie powinnam się zajmować — pisaniem powieści. Lubię powoli, szczegół po szczególe, wyjaśniać sobie ludzkie historie i przenikać granice czyjejs osobności.

Bohaterka opowiadania, aby ochronić kogoś bliskiego, złamała zasady obowiązujące w jej świecie i naprowadziła policję na swoich wrogów. Została informatorką.

A gdy historyjka była gotowa, umieściłam ją w sieci internetowej, gdzie każdy mógł na nią trafić, wystukując hasło: plac Zawiszy. To fajny sposób kontaktu. Ktoś przeczyta, doda swoje, pośle dalej. Opowieść zacznie żyć własnym życiem. Jutro okaże się, co z tego wyniknie, czy moje zmyślenia spotkają się z zainteresowaniem. Jeśli tak, potraktuję je jako grę wstępną do rozdziału książki, którą kiedyś naprawdę napiszę.

Klik. Opowiadanie poszło w świat.

Chwilę później przyjechał Michał.

— Nie będę nic jadł. Byłem na kolacji ze sponsorem nowego cyklu programów.

No i dobrze, po co mielibyśmy tracić czas na rzeczy nieistotne.

Objął mnie ramieniem, co zabrzmiało jak pytanie, a ja odpowiedziałam twierdząco, przesuując ręką po jego plecach. Koszula, suwak, guziki, szczegóły, które niepotrzebnie nas wstrzymują.

— Cieszę się, że cię wreszcie widzę — szepnęła, całując mnie w szyję. — Tęskniłaś za mną?

— Bez przerwy za tobą tęsknię.

Potem już nic nie mówimy. Bo o czym tu gadać? Zamiast tego kochamy się. Jest jak zawsze. Cudnie. To prawda, co powiedziałam. Bez względu na to, czym się zajmuję, przez cały dzień tęsknię za nim każdą cząstką ciała.

Przez otwarte na oścież okno wpada do pokoju chłodne powietrze. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że nie zgasiliśmy światła. Jeśli ten chłopak nadal jest gdzieś w ogrodzie, to widzi nas jak na dłoni. W żaden sposób ta myśl nie zakłóciła mi spokoju, choć przecież powinna. A potem, już na pograniczu snu usłyszałam, że Michał mówi do mnie o czymś ważnym, o sprawach dla nas istotnych, na których powinnam się skupić całą duszą, bo dotyczą bezpośrednio i mojej przyszłości.

— Otrzymałem propozycję programu, który w większości będzie realizowany za granicą.

Szukał w moich oczach akceptacji, a ja, zamiast należycie skupić się na jego ustach i wpływających z nich słowach, myślałam, wpół śpiąc, o czymś innym, też ważnym, ale całkowicie odmiennym. Że nie potrafię dać mu tego, czego naprawdę pragnie. Nie krwawię od lat, od tamtej chwili pięć lat temu. Lekarz mówi, że to wynik stresu. A ja wiem, że to raczej forma żałoby, z której nie potrafię się otrząsnąć. Początkowo było mi z tym nawet wygodnie, bo nie chciałam dziecka i nie musiałam się zastanawiać, co będzie, jeśli zajdę w ciążę. Dziecko w moim ciele. Sama myśl sprawia, że słyszę huk spadającego samochodu... zgrzyt metalu... pisk... Nadal nie radzę sobie ze wspomnieniami. Jednocześnie wiem, że przez resztę życia będę myśleć tylko o tym. I tak długo, dopóki nie przestanę, krwawienie nie powróci. Pewnie nigdy. Nie czuję się przez to mniej wartościowa, ale żal mi Michała. Za każdym razem, gdy się kochamy, słyszę myśli któregoś z nas: „Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Ja tonę. Leże tu obok ciebie i tonę. Pragnę dziecka, którego nie będę mieć” Dla każdego z nas jest to przeżycie intymne, z którym się kryjemy, ale ono tkwi w nas i sprawia, że nie ufamy sobie do końca i podświadomie nawzajem oskarżamy.

Westchnęłam mimo woli.



Michał potraktował to jako komentarz do swoich słów. Z trudem pojęłam, że zadał jakieś pytanie. Pewnie spytał o coś ważnego, dla niego ważnego. Dla mnie pewnie też, bo skoro on tego chce, to i ja powinnam.

— Tak, kochanie — mruczę przez sen. — Dobrze. Jeśli tak chcesz.

I już w tym momencie wiem, że nie o to mu chodziło, ale jest mi wszystko jedno. Michał usiłuje protestować, chce mnie rozbudzić, by mi o czymś powiedzieć, jednak już go nie słucham. Nie mam siły. Jutro się dowiem. Przecież do jutra nic się nie zmienia.

Zasnęłam odprężona i zadowolona, ze świadomością, że coś się dzisiaj w moim życiu zmieniło. Jeszcze tylko nie wiedziałam co.

## 7

Rano otworzyłam drzwi po wschodniej stronie domu i wyszłam do ogrodu.

Było jeszcze na tyle ciemno, że wydawało się, jakby niewidoczne nogi nie należały całkiem do mnie. Szłam przez ogród na pamięć. Tyle razy to robiłam, że stopy same trafiały tam, gdzie trzeba. Obserwowałam, jak światło wysącza się gdzieś spod ziemi. Powoli mogłam dostrzec swoje dłonie, kurtkę, drzewa. Za ostatnim świerkiem zaczynały się schody.

Schody są jedną z fajniejszych rzeczy, jaką zostawili mi rodzice. Sześćdziesiąt stopni ze skarpy aż nad sam brzeg rzeki. Tata układał je przez całe lata, traktując tę pracę jako formę relaksu. Gdy już nie miał nic innego do roboty, przywoził blok piaskowca, przycinał go, szlifował, szykował odpowiednie miejsce, wzmacniał je i kładł kolejny stopień. Każdy kwitowaliśmy wyprawą do kina i na lody. Teraz schody służą mi do biegania, sześćdziesiąt w dół, sześćdziesiąt w górę, i jeszcze raz, i jeszcze, aż łydki i uda zamieniają się w kisiel.

Chłopaka dostrzegłam dopiero wtedy, gdy zbiegłam na sam dół. Siedział na ostatnim stopniu. Ledwo wyhamowałam. Uniósł głowę, gdy się przy nim zatrzymałam. Może spał, a ja wtargnęłam w jego sen. Spojrzał na mnie z miną typowego łobuza, arogancką i pogardliwą, jakby już w tym momencie czuł się znudzony tym, co mógłby mi ewentualnie zrobić. Ciekawe, czy wyrazy twarzy tych chłopaków są naturalne, wynikłe z genów, czy raczej to cecha nabyta, przejęta od starszych kumpli. Przyznam, że trochę się przestraszyłam. Z duszą na ramieniu zdobyłam się jednak na odwagę i spytałam:

— Czego tu właściwie szukasz?

Nie odpowiedział.

Wykonał nieokreślony ruch, jakby się kłaniał albo przeproszał, a potem wstał i wycofał się bez słowa. Sekunda i zniknął w ciemności. Uznałam, że to wszystko, jeśli chodzi o tę znajomość. Pewnie pokręci się tu jeszcze jakiś czas, tak dla fasonu, a potem pójdzie dalej, gdzieś, gdzie jest miejsce dla takich włóczęgów.

Wbiegłam na górę.

Co prawda planowałam pięć nawrotów, ale myśl, że on tam nadal jest, wytrąciła mnie nieco z równowagi. Zresztą miałam tego dnia sporo do zrobienia, więc uznałam, że taki rozruch wystarczy. Zanim jednak wróciłam do domu, chciałam jeszcze coś sprawdzić. Poszłam w głąb ogrodu. Za szopą, w rogu siatka była przecięta i odchylona. Tamtędy wchodził i wychodził. Dlatego Maciakowa go nie namierzyła. Tak jak podejrzewałam, w krzakach leżał materac; stary materac wyciągnięty z naszej szopy. Ale nie o to mi chodziło. Sprawdziłam, czy widać stąd wewnątrz sypialni. Owszem.

W mroku potknęłam się o reklamówkę opartą o ścianę szopy. A więc jeszcze tu wróci.

Zostawiłam wszystko na swoim miejscu.

\* \* \*

Nastawiłam ekspres, zrobiłam sobie kanapkę, sięgnęłam po kubek i trafiłam ręką w próżnię. Kubek był, jednak nie tam, gdzie zawsze. Niespodziewanie przypomniałam sobie, jak w nocy, w jakimś półśnie dotarł do mnie szelest otwieranych drzwi, później usłyszałam skrzypnięcie schodów, lekkie szurnięcie na podeście i dźwięk dywanu. A potem już cisza. Może jeszcze szum wody, ale to już chyba był sen. Pewnie Michał wstawał w nocy. Tak, na pewno on, no bo kto inny? Spytałam go o to, jak się obudzi.

I spytałam jeszcze, o co chodziło z tym nowym programem, o którym mi opowiadał wtedy, gdy zasypiałam.

Stałam pod prysznicem, dopóki skóra nie zaczęła mi rozmiękać, a kiedy już byłam całkowicie rozbudzona, włączyłam Internet i zajrzałam na wczorajszą stronę z opowiadaniem. Aż straciłam dech. Wprost roilo się od komentarzy. Zaczęły przychodzić jeszcze w nocy. Ktoś podał numer rejestracyjny tira, inny informację o rodzaju ładunku, a jeszcze ktoś, nazwisko kobiety, którą wymyśliłam. Nie do wiary. Nie przypuszczałam, że aż tylu świrów poświęci noc, by ożywić moją historię.

Zjadłam śniadanie i ruszyłam szosą na południe.

Zanim wyszłam, zajrzałam do Michała, ale jeszcze spał, z dłonią pod policzkiem i ramieniem zarzuconym na tę część łóżka, z której niedawno się wygrzebałam. Oparłam się o framugę i wpatrywałam w niego przez kilka chwil, w sam raz tyle, by nabrać sił do pokonania przeszkód, które napotkam dziś na swojej drodze. Ilekroć na niego patrzę, zdaje mi się, że głębiej oddycham, że wchłaniam więcej tlenu.

Nie budziłam go, niech się wyśpi.

I tak zamierzałam jeszcze wrócić, zanim oboje pójdziemy do pracy.

\* \* \*

Na drodze było niemal pusto. Jechałam swoim dziesięcioletnim citroenem. Michał namawia mnie na kupno nowego auta, stać nas na to, wiem, ale nie chcę. W tym silnik dobrze chodzi i mogę dojechać wszędzie, gdzie potrzebuję. Po co mi inny wóz?

Było wcześniej, ale ludzie, których mijałam, już teraz wyglądali na utrudzonych. Może gdy wszędzie słońce, będzie im lżej. Szerokim łukiem objechałam miasto i dopiero za rozwidleniem zatrzymałam się, by przestudiować mapkę wyrysowaną na pogniecionej kartce. Jedynym znakiem rozpoznawczym, który zapamiętałam, był pies leżący na poboczu. Leżał tam nadal. Może zdechł? No cóż, przynajmniej wiedziałam, gdzie skręcić, i tym razem zrobiłam to dobrze.

Gęsta zabudowa ustąpiła miejsca rozległym przestrzeniom. Słońce wzniosło się wystarczająco wysoko, by rozproszyć cienie. Po kilkunastu minutach bez problemu trafiłam pod zapisany na kartce adres. Przyjemne miejsce z ładnym widokiem na jezioro. Woda lśniła bielą. Wjechałam w cichą, wąską uliczkę, brukowaną kocimi łbami sprzed wieków. Jadąc wolno wzdłuż rzędu staroświeckich domów, przyglądałam się kamiennym rzeźbom nad drzwiami frontowymi i na ścianach między oknami. Głowy ludzkie, głowy lwów i jeszcze jakichś dziwacznych stworzeń. Ładne. Takie detale urzekają mnie niezmiennie. Postanowiłam, że sfotografuję je, poszukam źródeł dotyczących ich przeszłości i będę miała temat na kolejny artykuł. Może nie sensacyjny, ale takie właśnie lubię.

Bez względu na efekt, ta wyprawa nie była już czasem straconym. Doskonale.

Dom stał dokładnie tam, gdzie na kartce wyrysowano literę D. Znad drzwi spoglądał na mnie mały gryf z odłupanym skrzydłem. Zapukałam, ale wewnątrz nie było nikogo.

Przespacerowałam się uliczką od końca do końca. Zrobiłam kilkadziesiąt zdjęć. Podziwiałam zadbanie ogródki przed domami pełne malw, róż i całej masy nieznanymi mi kwiatów. Jeszcze raz zastukałam, ale bez odzewu. Nie było sensu czekać dłużej, trzeba wziąć się do pracy.

Młoda kobieta, pierwsza, z którą próbowałam porozmawiać, spojrzała na mnie i zatrzasnęła drzwi, nie czekając nawet na pytanie. Drugi sąsiad przez szczelinę obejrzał mnie jak intruza. Mężczyzna zaczepiony na ulicy powiedział, że nie mieszka tutaj i o niczym nie wie. Pukałam metodycznie do kolejnych drzwi. W większości mieszkań nie było nikogo, a kiedy już ktoś się odezwał, twierdził, że nie zna człowieka, o którego pytam. Nie, no wiecie co!

Dopiero na samym końcu uliczki natknęłam się na kobietę, na której zrobiło wrażenie, że jestem z gazety.

— Z jakiej gazety? — dopytywała się nerwowo. Pewnie wolałaby taką z obrazkami. To, co miała mi do przekazania, nie było pierwszej jakości, ale przynajmniej nie musiałam jej namawiać do rozmowy. Dowiedziałam się, na co jest chora i na co cierpi jej córka, ile kosztują lekarstwa. Mówiła i uśmiechała się niepewnie. A kiedy już miałam sięgnąć po torebkę na wymioty, uśmiech, dotąd rozświetlający twarz, ustąpił miejsca zmarszczce na czole.

Wczoraj samochód przywiózł grupę łobuzów z bejsbolami, wyciągnęli go na podwórko, stłukli i odjechali. Psa mi któryś kopnął.

— Zabili go?

— Nie, żyje, łązi tam. — Wskazała palcem.

— Nie pies, tylko facet spod szóstki.

A diabli go wiedzą. Pewnie zebrał się i uciekł.

— Nikt mu nie pomógł?

— A h... z nim.

Przyznaję, że to najbardziej mną wstrząsnęło.

Wreszcie zadałam pytanie, które chciałam zadać od początku.

— Sądzi pani, że go gdzieś znajdę?

Chwilę się namyślała, by w końcu powiedzieć mądrą rzecz:

— Kto to wie.

Czyli zostałam z ręką w nocniku. Nawet nie chciało mi się myśleć, czego dowiem się o sobie od szefa.

— Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

Chciałam, żeby już sobie poszła, ale ona na coś czekała. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nie rozmawiała ze mną za darmo. Wyciągnęłam piątkę, bo tyle miałam w portfelu, i zastanawiam się, ile będę musiała dołożyć, ale kobieta chuchnęła na monetę i odeszła.

Mimo wszystko postanowiłam jeszcze trochę poczekać. Pierwsza zasada pracy reportera jest prosta. Trzeba uzbroić się w cierpliwość. Reszta to tylko praktykowanie trudnej sztuki czekania.

Weszłam w gęstwinę brzoź za domem. Szurałam nogami po szeleszczących, pachnących kurzem liściach. Usiadłam na ustawionym pod ścianą krześle i śledziłam migotliwy blask słońca na jeziorze, trzepot liści na gałęziach... Powietrze było zamglone, a migoczące zielone światło padające na mnie przez drzewa przywiodło na myśl dno oceanu. Myślałam o szalejących sztormach, o falach przemierzających się w górze, wysoko nade mną.

Rzeczywistość zaczęła się wsączać najpierw przez uszy. Huk sztormu przemienił się w dźwięk dzwonu, a ten w szum rozmów.

*Mówiliśmy po rusku, po czesku, po niemiecku, po hiszpańsku, po angielsku, a jak trzeba było to i w suahili też potrafiliśmy się dogadać. O czym mówiliśmy? O wszystkim, o tym, co trzeba, o interesach.*

Poprzez szum rozmów dotarło do mnie brzęczenie telefonu.

Ocknęłam się.

To z redakcji. O Boże. Już dziesiąta. Usnęłam w tych krzakach.

Na szczęście to nie szef, tylko kolega.

— Obudziłem cię?

— Nie, nie, nie, nie.

Ostatnio często łapię się na chwilach zamyślenia, a po otrząśnięciu z nich rozglądam się wokół z poczuciem, że odkleiłam się od świata.

— To świetnie, choć doskonale naśladujesz głos kogoś, kto się właśnie obudził. Lepiej przyjedź tu jak najprędzej. Szef pytał, gdzie jesteś. I bynajmniej nie wyglądał na zaintrygowanego, raczej na wkurzonego.

— Już jadę. Jakby mnie nadal szukał, powiedz, że mam spotkanie ze świadkiem.

— Mam nadzieję, że to nie z nim spałaś.

\* \* \*

W drodze powrotnej czułam niepokój, którego źródła nie potrafiłam dokładnie określić. Miałam nadzieję, że to tylko z powodu czekającej mnie rozmowy z szefem redakcji, któremu będę musiała powiedzieć, że niestety, ale nie zdobyłam żadnego nowego materiału i znów będziemy skazani na popłuczyny po innych. No cóż, dostanę opieprz. Jakoś to przeżyję, w końcu nie jestem bez winy.

Ale to nie było to. Niepokój dotyczył czegoś innego, lecz nie umiałam określić, czego.

Pomiędzy wjazdem do miasta a centrum byłam gotowa od razu zameldować, że nawaliłam, ukorzyć się i przyjąć gromy. Zanim przedarłam się przez centrum, nabrałam przekonania, że brak materiału nie oznacza jeszcze końca świata. Parkując, już wcale nie byłam pewna, czy to aby na pewno moja wina, w końcu nie jestem psem policyjnym.

Dałam złotówkę parkingowemu żebrakowi, który udaje, że pilnuje samochodów. Zawsze mam monetę w kieszeni i wrzucam mu ją do kapelusza, zanim pojawi się myśl, że to zwykły pijak. Codzienną jałmużnę traktuję jako zabieg magiczny, formę zrównoważenia własnych słabości.

Zapłata, którą uiściłam, dodała mi wiary.

Dziarskim krokiem przemaszerowałam przez hol.

— Dzień dobry, panie Janku.

Portier popatrzył, jak gdyby widział mnie pierwszy raz w życiu. Miał minę, jakby chciał spytać: o co chodzi? A widuje mnie przecież codziennie od pięciu lat.

Dobrze chociaż, że winda była pusta. Poczulałabym się jeszcze głupiej, gdyby ktoś patrzył na moje zakurzone buty. Ale nim drzwi się zamknęły, wbiegła Laura. Obejrzała mnie od góry do dołu i z prawdziwą przyjemnością zatrzymała wzrok na butach. A niech się gapi. Prychnęła, dając do zrozumienia, że powinnam skorzystać ze schodów, bo ona czuje się źle w moim towarzystwie.

— Cześć — burknęła i spojrzała tak, jakby to „cześć” było najlepszą rzeczą, jaką mogę dzisiaj usłyszeć, i powinnam się cieszyć, że w ogóle zostałam zauważona.

Wszystko się we mnie zagotowało. Mogłabym wysiąść i poczekać na windę jeszcze raz, ale już było za późno. Ruszyliśmy. Znalazłam się w strefie zagrożenia, powiedziałabym nawet w

strefie frontu. Teraz wszystko mogło się stać, jeśli nie będę wystarczająco ostrożna. Musiałam być czujna. Zawsze jestem czujna, jeśli chodzi o Laurę.

— No i jak poszło z tirem? — spytała.

Patrzyła na mnie w ten szczególny sposób, sugerujący, że wie więcej, niż mi się wydaje; sugestia denerwująca i jednocześnie trudna do zdementowania.

— Bo co?

Zdażyłam dostrzec cień uśmiechu na jej twarzy. Uśmiech zaraz znikł, tak że mogłam pomyśleć, że to tylko urojenie.

Zawsze była lepsza. Odnosiła sukcesy. Każdy jej temat był trafiony, podnosił nakład i raz za razem ratował pismo przed zatonięciem między dziesiątkami podobnych tytułów. To dzięki niej nakład się podwoił i stale wzrastała liczba reklam. To dzięki niej w kraju często mówiło się o gazecie. Nie było dnia, żeby nie dała mi do zrozumienia, że jest lepsza. I niezmiennie wkurzało ją, że nic sobie z tego nie robię. No cóż, nawet wielcy tego świata miewają fobie. Ja jestem jej fobią. Byle ta winda dojechała.

— Mogę ci coś podpowiedzieć. Mam dojsście do wielu osób — odezwała się w końcu.

— Chrzań się!

— Jak sobie życzysz — odparła z wyraźną irytacją. — Nie będę ci przeszkadzała. Ale jakbyś miała problemy, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Obejdzie się.

Wzruszyła ramionami i wysiadła. Ktoś przytrzymał jej drzwi. Za każdym razem, gdy patrzę, jak odchodzi, odczuwam dziwną ulgę.

Udałam, że nie słyszę głosu, który radził mi, bym wysiadła z windy, skierowała się prosto do pokoju szefa redakcji i zameldowała, że nic nie mam i nie zamierzam się tym więcej zajmować. Koniec, kropka. Niech Laura bierze ten temat, skoro i tak wie więcej.

Winda ruszyła i chwila, gdy mogłam to zrobić, minęła.

Mój pokój jest na ostatnim piętrze.

## 8

Uchyliłam drzwi.

— Chodź, chodź — usłyszałam.

W jednej chwili znalazłam się w innym świecie. Pokój redakcyjny wypełniały odgłosy nakładających się na siebie rozmów telefonicznych. Co chwila ktoś unosił głowę i wrzeszczał nad głowami innych, pytając o numer telefonu, nazwisko, adres albo wyjaśnienie trudnego słowa, na które natrafił. Wszyscy, jak tu siedzieli, zatrudnili się do zbierania i spisywania ludzkich historii, a tego nie da się robić w ciszy. Kiedyś było spokojniej, ale ostatnio pełno tu młodzieży, chłopaków i dziewczyn prosto po studiach, a często nawet w trakcie. Są zaledwie parę lat ode mnie młodszy, a wydają się pochodzić z innej planety. Aż rwą się do roboty, są jacyś tacy gorliwi, trochę szaleni. Ich witalność sprawia, że czuję się staro.

— Cześć! — zawołałam, ale nie doczekałam się żadnej reakcji.

Tak są zaabsorbowani tym, co robią, że nawet nie dostrzegli mojego wejścia.

Też lubię tę pracę, chociaż inaczej. Wolę obserwować, słuchać i być trochę z boku tego, o czym piszę. Krępuje mnie bezpośredniość, z jaką pakujemy się w prywatne życie ludzi. Tych małałatów to bawi. Nie mają jeszcze doświadczeń z własnymi zgryzotami, takimi, które

chcieliby ukryć, przemilczeć, dlatego nie rozumieją skrępowania, rozzalenia i wściekłości innych.

Skorzystałam z szumu, by przedostać się do swojego pokoju.

Nazywamy to pokojem, choć bardziej przypomina odgałęzienie w labiryncie dla szczurów. Przepierzenie z trzema ściankami wysokimi do ramion dzielę z dwoma chłopakami; Szymonem i Jaśkiem. Miejsca jest tu akurat na dwa biurka, gnieźdzymy się jednak we trójkę. Chłopcy woleliby mieć cały lokal dla siebie i z początku robili, co mogli, żeby mnie przegnać. Mieli przy tym niezłą zabawę. A gdy już gotowa byłam się przenieść do sąsiedniego boksu, sprzątaczką szepnęła mi, że jak raz dam się wygryźć, to tak będzie zawsze. Przyjęłam jej naukę i zostałam.

— Jeśli mam się czegoś nauczyć, muszę przebywać z najlepszymi — oznajmiłam, a oni łyknęli. Skończyło się na tym, że dostawili jedno krzesło z boku biurka i siada tam ten, kto przyjdzie ostatni.

Jaśka nie było, a Szymon, z nogami na parapecie, odchyłony z krzesłem do tyłu, czytał książkę. Obok monitora piętrzyła się sterta kubków, talerzyków i styropianowych opakowań po jakimś barowym jedzeniu. Chłopcy już zjedli śniadanie. Ciekawe, czy dla mnie coś zostawili?

— No, nareszcie, bo już nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. A teraz siadaj i kombinuj, bo ja się zmywam. Nie chcę być świadkiem tego, co się będzie działo.

Z ulgą opadłam na krzesło i przejrzałam się w lusterku.

Matko Boska.

Wyszczrzyłam do siebie zęby i wzięłam głęboki oddech, aż zakręciło mi się w głowie.

— Wiesz, ten wypadek, o którym pisaliśmy kilka dni temu, wcale nie był wypadkiem, tylko zabójstwem. Zrobimy z tego materiał na pierwszą stronę. Jasiek już pojechał. Masz tutaj kawałek pizzy z salami.

To nie są chłopcy, o jakich marzą dziewczyny, ale przynajmniej okazali się dobrymi przyjaciółmi. Nauczyli mnie reguł obowiązujących w tym fachu i pozwolili, by całe ich doświadczenie spłynęło na mnie.

— Idź, idź. Dzięki. Dam sobie radę.

Założę się, że pozwoli Jaśkowi działać samodzielnie w sprawie wypadku, który okazał się czymś innym, a sam wykorzysta wolny czas, by iść na siłownię. Chce utrzymać ciało w dobrej formie fizycznej na wypadek, gdyby doczekał się etatu w telewizyjnej redakcji sportowej. Nigdy go tam nie wezmą, bo jest za stary, on jednak nie przyjmuje tego do wiadomości.

Podniosłam słuchawkę i przystawiłam ją do ucha, żeby wyglądać, jakbym już od dawna tu była i sumiennie pracowała.

Szymon zdążył dojść do drzwi i zaraz wrócił.

— Wolę zostać.

— Świetnie, bo zdążyłam się za tobą stęsknić.

Sygnal w słuchawce działał na mnie kojąco. Mogłam słuchać tego pisku jeszcze długo. Jednocześnie przeglądałam dzisiejsze wydanie gazety. Moje artykuły umieszczane są z reguły na odległych stronach, dlatego rozpoczęłam wyszukiwanie od końca. Zajęło mi trochę czasu, nim znalazłam. Notatkę o tirze, okrojoną do minimum, w dodatku drobnym drukiem, znalazłam na dole czwartej strony. Za to informacja z wczorajszej konferencji była całkiem blisko, zaledwie na drugiej. I to nie kilka zdań. Przeczytałam i dosłownie mnie zatkało.

— No nie! To nie mój tekst. Wspaniały mówca? Pozytywny odbiór? Brawa na stojąco? Rzygi.

Szymek wzruszył ramionami. Już to widział, ale to nie była jego sprawa.

— Walcz — mruknął.

Lulu chyba specjalnie gdzieś się przyczaił, bo pojawił się akurat w tej właśnie chwili. Skrzyżował ręce na piersi, oparł się o ściankę i w takiej pozie świdrował mnie oczami, żebym

wiedziała, jaki jest groźny. Niepotrzebnie tracił czas. Już dawno się zorientowałam, że wredny z niego typ. Wystająca mu spod kurtki koszula była bielusiańka, prana w proszku wydobywającym najczystszy odcień bieli. Przy kieszonce dyndał mu identyfikator. Miał tam napisane, jak się nazywa. Przeczytałam. Nie spytał o nic, więc dałam sobie jeszcze czas, by przyjrzeć się jego zdjęciu. Wyglądał tam na zmęczonego życiem. Przettrzymałam go jeszcze chwilę, nim pożegnałam się z rozmówcą i odłożyłam słuchawkę. Musiałam stawić czoło i swojemu, i jego niezadowoleniu. Zdecydowałam się na atak.

— Co to jest? — Stuknęłam palcem w otwartą stronę z tym czymś podpisanym moim nazwiskiem. — Dlaczego moim nazwiskiem podpisane jest twoje kłamstwo? Trzeba było użyć własnego.

Wzruszył ramionami.

— Ty tam byłaś.

Drań.

Teraz zrozumiałam, dlaczego nie wysłał wczoraj Laury. Ona nie pozwoliłaby na zmianę bodaj jednego słowa w swoim tekście. Gdyby spotkało ją coś takiego, jak mnie w tej chwili, zwinęłaby gazetę w kulę, w środek włożyłaby kamień i walnęła tym w niego. Celowałaby między oczy. A ja? Co ja robię? No cóż. Ja się zastanawiam, co by tu jeszcze dodać, a że niczego przez najbliższe sekundy nie wymyślę, więc prawdopodobnie sobie odpuszczę. I on doskonale o tym wie.

Przegrałam walkę, zanim w ogóle się rozpoczęła.

Szymek przewracał tylko oczami w podziwie dla mojej odwagi.

Tymczasem za naszymi plecami natężenie hałasu rosło. Młodzież miotła się ze zdwojoną energią. Taka pokazówka na użytek szefa, by widział, jacy to z nich przykładni pracownicy, że nie musi wcale przypominać, co należy do ich obowiązków.

— Lepiej pokaż, co dla mnie masz. Do dzisiejszego wydania dałaś tyle co nic, więc może przynajmniej do jutrzejszego? Obiecałaś, że będzie coś interesującego — warczał na mnie Lulu.

— Doprawdy? — bąknęłam, starając się, by zabrzmiało to z możliwie największą obojętnością, choć jednocześnie myślałam intensywnie, co dalej.

Powinam mu zacząć tłumaczyć, dlaczego niczego nie mam. To była ostatnia chwila, aby do wszystkiego się przyznać. No dalej, przełam się i wyduś to z siebie.

— Właściwie...

Gdy już byłam gotowa udzielić wyjaśnień i wykonać spokojny odwrót, zobaczyłam zbliżającą się Laurę. Jej widok sprawił, że mnie zablokowało. Zanim zdążyłam się dokładniej zastanowić, usłyszałam własny głos:

— Za moment będzie gotowe, jeszcze tylko czekam na jeden telefon... góra pół godziny i kończę.

— Żartujesz? To jedyna rzecz, jaką kazałem ci zrobić, niczego więcej od ciebie nie wymagałem, tylko tego, żebyś...

No, nie. Facet przegina.

Czułam, jak odżywają wszystkie stare urazy.

— Wydawało mi się, że wymagasz ode mnie jeszcze wielu innych rzeczy; żebym pojechała pod bank, żebym przycisnęła kuratora, żebym wysłuchała tego durnego polityka...

Mówiąc to, czułam się głupio, bo nader boleśnie rozumiem, że bez względu na to, co zrobię, w jego oczach i tak będę nikim.

— No i co z tego? Potrzebni mi ludzie kompetentni — powiedział dobitnie, chcąc prawdopodobnie wywołać we mnie poczucie winy z racji niespełnionego obowiązku.

Wzruszyłam ramionami.

Nie znoszę, jak Lulu robi mi publicznie wyrzuty i krytykuje przy wszystkich. Czuję się wtedy taka skołowana, że nie znajduję argumentów na swoją obronę. Ale najlepsze jest to, że niezależnie od całego chaosu, jaki mam w głowie, robię minę wprowadzającą rozmówców w błąd. Myślą, że mam w nosie całe to ich gadanie. To ich deprymuje, wybija z rytmu i w efekcie wycisza.

— Pół godziny — powtórzyłam hardo.

Przez jego twarz przemknął niechętny grymas, który po chwili ustąpił miejsca wyrazowi rezygnacji.

— Lepiej, żeby tak było. I żeby to był lepszy materiał niż tamte poprzednie.

Chciało mi się wyć, ale nerwy niewiele mogły pomóc, wprost przeciwnie, mogły postawić mnie w jeszcze gorszej sytuacji. Zignorowałam go, nie odpowiedziałam i nie opuściłam wzroku.

Zamierzał coś dodać i miał to na końcu języka, ale ostatecznie tylko westchnął i bez dalszych komentarzy odmaszerował. Patrzyłam na jego wielkie pośladki przelewające się w opiętych portkach. Dopiero kiedy skrył się za załomem korytarza, wypuściłam z płuc powietrze. Wewnątrz drżałam jeszcze z napięcia, ale ogólnie byłam z siebie zadowolona.

Wygrałam.

Tylko po co? I tak nie miałam żadnego pomysłu na ten artykuł. Nie miałam nic, co mogłabym napisać. Zero. Pustka. Nul.

Pół godziny? Cholera. Czemu nie przyszła mi do głowy godzina albo dwie, albo jeszcze lepiej cały rok. Szkoda, że dobre odpowiedzi pojawiają się zawsze z opóźnieniem. Chociaż i tak dobrze, że dał mi trochę czasu. Miałam pół godziny na zastanowienie się, jak mu powiedzieć, żeby się cmoknął.

Szymek zaczął opowiadać nieprzyzwoite kawały. Starał się mnie rozbawić, ale słuchałam tylko jednym uchem, gdyż poczucie humoru zawiodło mnie zupełnie. Zajrzałam do Internetu na stronę ze swoim opowiadaniem i znalazłam kilkadziesiąt różnych informacji oraz komentarzy. Historyjka wzbudziła w sieci żywy odzew. Po raz kolejny przekonałam się, że wieści internetowe rozchodzą się szybciej niż gazeta. Ktoś podał prawdopodobne miejsce ukrycia tira w lasach za Rogowem. I że samochód jeszcze dzisiaj spłonie. A magazyny, w których ukryto towar, są niedaleko, po drugiej stronie szosy.

Ludzie mają niezłą wyobraźnię. Wystarczy podrzucić temat, a bawią się, dopisując ciąg dalszy.

Myśl wyskoczyła jak diabeł z pudełka.

Była tak niesamowita, że serce zabiło mi w przyspieszonym rytmie i musiałam użyć niemal całej siły woli, by zachować niezmienny wyraz twarzy. Przecież mam całą historię, łącznie z komentarzami. Zdam relację z rozprzestrzeniania się opowieści w sieci.

W ciągu ułamka sekundy powstał w mojej głowie szczegółowy plan artykułu. Był tak prosty, że w ciągu tych dwudziestu minut, które zostały, mogło mi się udać go napisać. Tyle że będzie oparty na bujdzie wyssanej z palca. Ale czy to pierwszy przypadek, gdy opisane przez nas wydarzenia okażą się niezgodne z prawdą? Chociażby sprawa, nad którą pracują chłopaki. Trzy dni temu wyglądała na wypadek, dziś wiadomo, że to zabójstwo. W razie czego będę się tłumaczyć, że informator wprowadził mnie w błąd. Zamieścimy sprostowanie i po krzyku. Jednak na samą myśl o ryzyku trzęsły mi się ręce. Z drugiej strony, nie miałam innego pomysłu na wybrnięcie z błota, w które sama się wpakowałam.

Mogłam ewentualnie iść do szefa, paść na kolana i przyznać mu rację w sprawie mojej niekompetencji.

Albo zaryzykować.

Nagle zapragnęłam tych emocji.



No cóż, po prostu zrób to, pomyślałam. Albo rybka, albo....

\* \* \*

Napisałam artykuł. „Tir w biurze rzeczy znalezionych”. Fajny tytuł, nie uważacie? Stworzenie postaci kobiety, która przekazała mi informacje, zajęło dokładnie czternaście i pół minuty. W tekście umieściłam dane o ładunku tira, miejscu jego ukrycia i planowanym pożarze. Z furią wklepywałam słowa, łamiąc przy tym wszystkie reguły, jakich mnie uczono. Jedynym źródłem informacji była moja fantazja. Jeśli twierdzicie, że tak nie wolno, macie absolutną rację. Wiem o tym doskonale i czułam się jak oszustka.

Miałam wrażenie, że w każdej chwili grozi mi dekonspiracja. Ukradkiem rozglądałam się wokół, czy któryś z tych zajętych, rozgadanych, przejętych, zabieganych, rozgniewanych chłopaków lada moment nie wykrzyknie zza moich pleców:

— Patrzcie, co ona robi!

Napięcie rozładowywał tylko Szymon, rozmawiając przez telefon i sypiąc durnymi żartami, bardziej na użytek mój niż rozmówcy.

Wydrukowałam i przejrzałam swoje dzieło.

Przez kolejne dwie minuty zastanawiałam się, czy jednak nie wyrzucić tego do kosza. W połowie trzeciej minuty zobaczyłam szefa pukającego w zegarek. W głowę się puknij, baranie. Mam jeszcze pełną minutę.

Najważniejsze to przestać myśleć i wyzbyć się wątpliwości. No tak, ale jak się wyda, wywalą mnie z roboty.

Ta praca miała być jedynie krótkim epizodem, wypełniaczem czasu. Michał mi ją załatwił, a ja się zgodziłam. Na parę tygodni. Zrobiłam to dla niego, żeby nie musiał myśleć przez cały dzień o tym, jak się zadreczam. Tygodnie przeszły w miesiące, miesiące w lata, aż pisanie wiadomości stało się nieodłącznym elementem mojego, nadal nieuporządkowanego życia. Początkowo nie byłam dobra w roli dziennikarza. Właściwie dotąd nie jestem w tym dobra. Zawsze czuję się dość głupio, rozmawiając z ludźmi, ale w sumie nie narzekam.

A teraz ryzykowałam utratę tego wszystkiego.

Jestem przekonana, że gdybym miała więcej czasu na przemyślenie konsekwencji, dałabym sobie spokój. Wielka rzecz, jeszcze jedna awantura. Tyle że nie miałam ani czasu, ani dość wyobraźni, by przewidzieć przyszłość. Ale któż ma taką wyobraźnię? Powinam była przynajmniej poczuć jakiś niepokój, coś, co uprzedziłoby mnie, że robię głupio, tymczasem nic. Moja intuicja zawiodła.

Chciałam tylko mieć to jak najszybciej za sobą.

Odczekałam jeszcze chwilę i odniosłam materiał. Na zegarze właśnie mijало równe pół godziny.

Położyłam artykuł na biurku i zamierzałam umknąć niczym dziki królik do dziury. Byłam głęboko zawstydzona.

— Zaczekaj. — Zatrzymał mnie.

Czytał z zaciekawieniem, a ja przestępowałam z nogi na nogę, z trudem opanowując chęć ucieczki, gdzie pieprz rośnie. Czułam mdłości. Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Jeszcze mogłam się wycofać. Mogłam mu to zabrać, wydrzeć z rąk i uciec. Zdawałam sobie sprawę, że postępuję niewłaściwie, a wstyd był znakiem, że zbłądziłam. Oto smutna prawda: jestem tchórzliwą kłamczucha. Ze wszystkich stron otaczała mnie czerwona mgła.

Spokojnie, mówię sobie, odpręż się, wyluzuj. Panujesz nad sytuacją. To stres, tylko stres. On się na tym nie pozna.

Lulu wyglądał na zaintrygowanego.

— Czy to wiarygodna informatorka?

Moje szare komórki zamarły. Prawie zgłupiałam. Gorączkowo szukałam w głowie odpowiedzi na to oczywiste pytanie.

— Jasne — przytaknęłam z wdzięcznym uśmiechem.

Tym razem wstydomi zaczęła towarzyszyć szczypta satysfakcji, że znowu udało mi się ocyganić szefa.

— Ona dużo ryzykuje — zmartwił się nagle.

Rzeczywiście. Gdyby naprawdę istniała, naraziłaby się wielu. Na szczęście, ten problem miała z głowy. Bo nie istniała. Była zjawą.

— To w końcu jej sprawa, no nie?

— Dobra. Omówimy to na posiedzeniu zespołu.

Na drewnianych nogach wróciłam do swojego biurka.

Żeby nie spanikować i nie zmarnować pasji, która we mnie buzowała, napisałam zaległe notatki zjadliwym, pełnym agresji tonem. Będę miała zapas, na wypadek gdyby Lulu znowu zechciał mi zagrozić zwolnieniem. Wystarczyło parę lat, by z mojej świadomości zniknął obraz dziennikarki, który wyniosłam z telewizji, filmów i wyobraźni. Wątpliwości towarzyszą mi na każdym kroku, nawet wtedy, gdy piszę szczerą prawdę. A najbardziej przeraża mnie cynizm, z jakim od pewnego czasu spoglądam na świat. Kiedyś wszystko wyglądało inaczej. Rozpierał mnie entuzjazm, a moim jedynym celem było...

No właśnie, już zapomniałam co.

Nigdy jednak nie sądziłam, że mogłabym zrobić coś takiego jak dziś.

*Niby dlaczego? W końcu wszyscy jesteśmy, w taki czy inny sposób, zepsuci do szpiku kości. A teraz nastał czas bez zasad, gdy każdy robi, co chce. Nie czepiaj się, tylko korzystaj ze złotej wolności. Ja z niej korzystam. Zarabiam kupę szmalu, a kiedyś zapomnę o wszystkim, co złe, i znów będę dobra. Ale przynajmniej będę miała za co.*

Boże, co się dzieje?

Z kim ja gadam?

\* \* \*

Na przedpołudniowym posiedzeniu zespołu odbyła się krótka dyskusja, formalna, niemal wymuszona, podczas której wszyscy czekali na zatwierdzenie swojej dłubaniny. Przedstawiając mój artykuł, Lulu oświadczył, że widzi w nim „ewidentną ikrę”, cokolwiek to określenie miało oznaczać. Ledwo skończył, poderwałam się, przepelniona pragnieniem opuszczenia sali. Liczyłam, że zrobią to wszyscy, jak w kinie po skończonym seansie. Ten odruch był skutkiem frustracji. Już dłużej nie mogłam wysiedzieć.

Nikt poza mną nie wstał. Wyglądało, jakbym chciała coś oświadczyć. Coś ważnego. Wszyscy mieli to gdzieś. Tylko Laura patrzyła na mnie spod oka i miała minę, jak gdyby coś podejrzewała. Ona jedna mnie znała. Zdałam sobie sprawę, że nikt nie ruszy się z miejsca, póki tego nie powiem. Musiałam powiedzieć.

— Niedobrze mi.

Uciekłam z gorącą modlitwą na ustach:

— Boże, żeby to się nie wydało... Obiecuję, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię, będę zmywała naczynia, w wolnym cza— sie popracuję w hospicjum, dam jeść głodnemu, będę bardziej kochała Michała, pójdę na spacer z Maciakową, będę...

OBIECANKI CACANKI.

Wróciłam do swojego boksu.

W głowie miałam istny mętlik. Gdy przyszli chłopcy, zwolniłam im przedział. Wypełniłam grafik i pojechałam do domu. Miałam zamiar przespać się z tym, co zrobiłam.

## 9

Na podjeździe stał samochód Michała. Coś się stało!

Jego samego znalazłam w kuchni. W zlewie piętrzyły się miski i szklanki, na blacie była rozsypana mąka i powystawiane z szafek przyprawy. Uwaga, mężczyzna w domu!

— Boże, Michał, co się dzieje?

Zabrzmiało to okropnie, jakbym wcale nie cieszyła się z jego obecności. I chyba rzeczywiście tak było. Miałam inne plany.

— Wypadł z grafiku jeden program, scenarzyści mają coś przygotować do wieczora, więc zrobiłem sobie wolne. Nie cieszysz się?

Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Michał nie robi pewnych rzeczy bez potrzeby. A już nigdy nie zostawia swojej pracy bez nadzoru.

— Od dawna nie spotykałam cię w domu o tak wczesnej porze. Odwykłam.

— Wiesz co, lepiej usiądź, a ja zaparzę kawy — powiedział i zrobił pauzę, jakby po niej miał nastąpić ciąg dalszy, ale zrezygnował i zostawiając mnie w niepewności, wyszedł do kuchni.

— Wkrótce będzie coś do zjedzenia. Pieczeń już w piecyku — zawołał.

Jego dobroć wzbudziła we mnie podejrzenia i jednocześnie poczucie winy, że jestem podła, bo zamiast się cieszyć, szukam dziury w całym. Może naprawdę miał trochę luzu i wpadł do domu właśnie po to, by ugotować obiad.

A może nie.

Przetrząsałam pamięć w poszukiwaniu powodu, dla którego dzisiejszy dzień powinien być bardziej wyjątkowy niż inne. Znalazłam tylko jeden. To, o czym zaczął mówić wczoraj przy obiedzie, a potem w nocy, zanim usnęłam. Próbowalam przypomnieć sobie, co to było, ale miałam w tym miejscu czarną dziurę. Pewnie już za chwilę się okaże, że to jakaś miła niespodzianka. Poczulałam się jak w Wigilię. Postanowiłam przedłużyć tę chwilę i cierpliwie czekać. Tak czy owak, z Michałem życie nigdy nie jest nudne.

Poszłam za nim do kuchni, objęłam go i pocałowałam w policzek.

— Jak ty to robisz, że wszystko jest brudne? — spytałam.

Roześmiał się i postawił przede mną kawę.

Piliśmy ją, czekając na pieczeń. Leniwe odprężenie uspokajało. Wahałam się, czy opowiedzieć, co głupiego zrobiłam. Nie chciałam psuć nastroju. Michał też zachowywał się nienormalnie cicho. Nie lubię, gdy za dużo mówi, ale bardziej nie lubię, kiedy tak milczy. Wyraźnie coś go niepokoiło. Tym czymś była pewnie moja reakcja na to, co mi za chwilę oznajmi.

Zadałabym jakieś pytanie nawiązujące łączność, powstrzymała mnie jednak pionowa zmarszczka na jego czole. Był skoncentrowany. Może z moją pomocą poszłoby szybciej, ale jeśli swoim pytaniem nie trafiłabym w sedno, mógłby z jakiegoś powodu ukryć przede mną to, czego powinnam się dowiedzieć.

Policzyłam w myślach do stu i w chwili, gdy wydawało się, że dłużej nie wytrzymam tej ciszy, Michał nagle przemówił.

— Chyba... chyba... — powiedział i zamilkł.

Wyglądał przy tym, jakby wyjawiał mi coś niezwykle istotnego. No tak, to wiele wyjaśnia.

— Misiu, skoncentruj się i powiedz, o co chodzi? — popędziłam go, bo ciśnienie mi rosło.

— Dostałem tę propozycję, pamiętasz, wspominałem o niej wczoraj. Musimy o tym pogadać.

— No to gadajmy.

Nie była to jednak, tak jak zapowiedział, rozmowa.

W moim rozumieniu rozmowa to słuchanie i mówienie, na przemian, a Michał tak bardzo nie chciał usłyszeć sprzeciwu, że gdy nawet próbowałam coś wtrącić, zaczynał emocjonować się kolejnym szczegółem, byle tylko nie dać mi dojść do głosu. W tej sytuacji mogłam tylko czekać.

Opowiadał o nowym programie, a właściwie o jego projekcie. Twarz mu jaśniała, słowa płynęły gładko. Bardzo się starał, by brzmiały przekonująco, ekscytująco nawet. Było coś nieodparcie przyjemnego w jego opowieści, jak obietnica niespodzianki, którą z góry zaakceptowałam. Mówił, a mnie ogarnęła przyjemna ulga na myśl o tym, jak to problemy same się rozwiązują. Zawsze na takie wyprawy wyjeżdżaliśmy razem. Teraz też zostawię wszystko i wyjadę. Świetnie. Gdy wrócę, sprawa tira i mojego kłamstwa straci aktualność. Wszyscy zapomną. Nie muszę się już martwić artykułem, redakcją. Nie rozumiałam tylko, czemu Michał tak długo kluczy, zamiast powiedzieć wprost: zabieram cię na koniec świata.

Jedno od początku wydawało się jasne — że zdecydował beze mnie. Istotna była jeszcze kwestia, jak się do tego odniosę. Radośnie czy bardzo radośnie. I to nad tym pracował.

Obserwowałam jego profil. Michał ma bardzo ładny nos i usta. Jego twarz jest przyjazna. Uwielbiam na niego patrzeć, gdy z taką pasją do czegoś mnie przekonuje.

— Uciechom nie będzie końca — powiedziałam, by wytrącić go z rytmu.

Chciałam, by przeszedł do sedna sprawy, bo moja cierpliwość była już na wyczerpaniu. Miałam ochotę go pocałować.

Przerwał na moment i uśmiechnął się, ale w jego oczach dostrzegłam niechęć. Do mnie. Poczulałam się zmieszana własnym zaskoczeniem. Nie wiedziałam, jak zareagować. Przynależało mi sobie nie odzywać się więcej. Coś było nie w porządku, on sam wydawał się jakiś odmieniony, ale nie potrafiłam określić, na czym ta odmiana polegała. Ciągle czekałam na moment, gdy przystopuje i powie: a kuku, niespodzianka, jedziesz ze mną! Ale mijały minuty i nic takiego nie następowało.

W mojej głowie rozbrzmiewał dzwonek alarmowy: on coś przede mną ukrywa. Zdziwiło mnie to, bo powinien był wiedzieć, że znam go aż za dobrze, by tego nie wyczuć. I raptem zobaczyłam, że to ktoś obcy. Niby on, ale nie całkiem już tutaj, ze mną. Jego piękne oczy mrużyły się, strzegąc jakiegoś sekretu. Teraz naprawdę skupiłam się na monologu, by usłyszeć wszystko. I choć mózg buntował się i wysyłał sygnały, nie przerywałam. Niech się męczy.

Pociągnęłam łyk kawy i kiwnęłam głową, by mówił dalej. Chciałam wyciągnąć z niego więcej szczegółów.

— Jak długo to potrwa? — spytałam.

Dał się na to złapać.

— Realizacja programu może potrwać ze dwa miesiące, nie dłużej — odrzekł lekko, ale gdzieś w połowie zdania usłyszałam ledwo dostrzegalne wahanie.

Zapadłam się w fotel, bo już wiedziałam, czemu tak długo kluczył. Po prostu chce wyjechać beze mnie. Byłam oszołomiona tym odkryciem i przerażona myślą, że zostanę sama. Przeszył mnie dreszcz. Czulałam, jak język mi sztywnieje, a w ustach pojawił się chemiczny smak strachu. Chciałam przerwać Michałowi i powiedzieć, że nie może mnie tak zostawić, że tego nie zniosę, że to za ciężka próba, że jej nie podołam, że mnie zmiażdży. Od śmierci Tomka nigdy nie byłam sama. Nie rozstawaliśmy się. Powinnam mu wytłumaczyć, jak bardzo mi to nie odpowiada, ale nie mogłam, bo zamiast języka miałam kołek.

Ulicą przejeżdżały samochody. Opel sąsiada zahamował przed przejściem i przepuścił kobietę z dzieckiem. Dwie staruszki dreptały wolno w stronę kościoła. Jedna z nich to Maciakowa. Ta w kapeluszu.

*Ostatnio interesy idą marniutko. Na granicy straty. Zupełnie inaczej niż w poprzednich latach, gdy trzeba było współpracować z innymi grupami, by nadążyć z upłynnianiem towaru. Niektóre sprawiały potem trochę kłopotu i trzeba je było eliminować, ale to nieuniknione. W pierwszym rządzie musieliśmy mieć na uwadze terminowe opłaty dla odpowiednich władz, żeby tamci żyli i pozwolili żyć nam. Dzięki temu nasze firmy mogą działać legalnie, bo wszelkie zezwolenia są w porządku.*

Chyba na moment odpłynęłam.

Nie wytrzymałam napięcia.

Przymknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, Michał powiedział wreszcie, o co chodzi.

— Będę realizował program dla Czernika.

W pierwszej chwili odebrało mi mowę.

O Boże, to nie może być prawda. Tylko nie to. Miałam w pamięci rozmowę o Czerniku, o jego brudnej forsie i ludziach, których pcha wyżej, żeby jego władza była jeszcze większa. Myślałam o wczorajszej konferencji i telewizyjnym fotomontażu, o dzisiejszym artykule, w którym nie było ani jednego mojego słowa o tym, że wszyscy odmówili współpracy, a mój mąż...

— I co o tym sądzisz? — spytał, unosząc brwi.

Miał takie piękne oczy i gotowa byłam powiedzieć, że cieszę się jego sukcesem. Patrzył z nadzieją, że to właśnie powiem, i jeszcze dodam, że jestem już wystarczająco silna, by sobie poradzić, gdy zostanę sama. Czekał, że to ja podejmę decyzję. A ja czułam się urażona, choć nie byłam pewna, czy bardziej tym, że to Czernik, czy raczej, że nie zostałam uwzględniona w tych planach. Ale zamiast wszystkiego, co chciałam powiedzieć, wydukałam:

— Naprawdę chcesz brnąć w ten nonsens? To przecież bandzior i złodziej. Wszyscy mu odmówili. Dlaczego ty?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Patrzył w okno, ale jakoś nie mógł tam znaleźć właściwych słów. Wreszcie wrzucił ramionami:

— Właściwie dlaczego nie? Swoim artykułem już utorowałam drogę jednemu z jego ludzi.

No nie. To nie tak.

Wyjaśniłam, jak było.

— Och, nie przesadzaj. Ten akurat nie jest z nich wszystkich najgorszy. Potrzebny mu tylko określony wizerunek. Jak dostanie się do Rady albo nawet do sejmu, nikt nie będzie wymagał od niego mądrości. Dwa miesiące pracy i zrobię z niego idola. Wszyscy go pokochają.

Powiedział to z przekonaniem i akurat to byłam gotowa zaakceptować.

Michał patrzył na ludzi okiem filmowca, artysty. Jest w końcu specjalistą od reklamy i może z mydła zrobić gwiazdę, jeśli tylko się do tego przyłoży. Dlaczego jednak zajął się polityką? Dotąd się nią nie interesował, w każdym razie nie bardziej niż inni w naszym kraju. Miał, tak jak wszyscy, umiejętność klasyfikowania; ten mądry, ten głupi, ten uczciwy, ten złodziej.

— Przecież nie znasz się na polityce.

— Gdzieś mam politykę. Chodzi o okazję, a taka nieczęsto się trafia. Wiesz przecież, jak ten rynek działa. Jak odmówię, pomyślą, że boję się takiej odpowiedzialności. A jak wszystko pójdzie po mojej myśli, pojedziemy latem do Afryki albo kupimy jacht i poześlujemy.

Chciałabym mu powiedzieć, że wszyscy uczciwi dziennikarze i filmowcy odmówili, ale wiedziałam, że nie przejdzie mi to przez gardło. Michał też jest uczciwy, wiem o tym lepiej niż inni. Tyle że coś w niego wstąpiło, jakieś szaleństwo, i to moja wina.

Afryka, jacht, po co nam to?

Zauważyłam, że moje dłonie, należące jakby do kogoś obcego, choć umocowane do moich przedramion, nerwowo obracają obrączkę ślubną. Przypomniałam sobie chwilę, gdy wkładał mi ją na palec. Kochaliśmy się i pewnie nadal kochamy, ale śmierć syna zburzyła coś między nami; zapoczątkowała szalony wyścig z czasem, który doprowadził nas do tej właśnie chwili. I gdyby Michał nie patrzył z taką nadzieją, że go zrozumie, pewnie bym próbowała walczyć, klócić się, płakać. Ale patrzył i zapragnęłam wymazać z pamięci ostatnią godzinę. Chciałam mieć go blisko, kochać się z nim i zapomnieć o tym, co mówił.

— Cieszę się — powiedziałam.

Zesztywniał wewnątrz. Wiedział, że skłamałam.

Więc od razu dodałam:

— Jak zrobisz ten program tak dobrze, jak potrafisz, oszukasz wielu ludzi.

Był tak zaaferowany, że minęła chwila, nim chwycił, co miałam na myśli.

— Chcesz, żebyśmy czuli się winni.

Tak, tego właśnie chciałam. Byłam nastawiona wrogo do jego decyzji, ale nie zamierzałam sztydzić ani go przekonywać. Wiedział lepiej ode mnie, na co się porywa. A wyraźnie miał na to ochotę.

Przez okno widzę, jak chłopak przełazi przez dziurę w płocie i zerkając na dom, chowa się w krzakach na tyłach ogrodu. Jego postać rysuje się tak wyraziście, jakby był tu pierwszoplanowym bohaterem. Pod pachą trzymał jakiś pakunek, może chleb. Skupiłam się na tej scenie, a rola, jaką odgrywał, wydała mi się nagle jak najbardziej naturalna. Ucieszyłam się, że nie odszedł. Powinnam zwrócić na niego uwagę Michała, ale nie zrobiłam tego.

Chłopak dał nura w krzaki, a mój mąż był zbyt pochłonięty sobą, by zauważyć cokolwiek.

Pieczeń dała znać, że jest gotowa. Przenieśliśmy się do jadalni i spoglądaliśmy na siebie z dwóch odległych krańców stołu.

— Popatrz na to — powiedział, rozkładając scenariusze.

W jego oczach dostrzegłam to, czego zawsze obawiałam się zobaczyć, niedostatek. Nudził się, więc szukał czegoś bardziej ekscytującego. Czegoś mu nie zapewniałam i uciekał ode mnie w poszukiwaniu tego czegoś. Oszołomiona owym odkryciem zerknęłam na zegar ścienny w nadziei, że znajdę w nim sojusznika, ale w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że nie mam na co liczyć.

*W pasażach, przejściach podziemnych i bramach poruszaliśmy się szybko i zręcznie, jak zające. Trzeba było patrzeć i w lewo, i w prawo, i mieć oczy z tyłu głowy. Wyruszyliśmy tak, by biegnąc od punktu a do punktu b, zdążyć akurat na czas. Kto nie miał zegara i azymutu w głowie, ten wcześniej czy później wpadał w sidła.*

Klik.

Wskazówka przeskoczyła i w tej samej chwili pogodziłam się z losem. Sekundę wcześniej gotowa byłam się rozpłakać, a jedno uderzenie później uznałam, że tak właśnie miało być.

— Naprawdę sądzisz, że Czernik wart jest tego? — spytałam, patrząc Michałowi wyzywająco w oczy.

Chciał coś odpowiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami. Wyczułam kłamstwo. Mogłabym przynajmniej wywołać małą kłótnię, bo przecież ciągle klóćmy się o różne rzeczy, ale pieczeń stygła. Podczas gdy jadłam, on dokonywał wnikliwej analizy swej decyzji.

Niepotrzebnie.

— Nie wycofasz się, prawda?

Nie odpowiedział, a ja nie miałam więcej pytań. Zamiast robić mu wyrzuty, przysunęłam się bliżej i położyłam rękę na jego dłoni. Chciałam, żeby skończył gadać. Nie miałam wątpliwości,

że mnie kocha, tyle że ostatnio przestał mnie zauważać. Przez dłuższą chwilę patrzył zdziwiony, że tak łatwo dałam się przekonać. A ja po prostu przestałam się bać. Skoro chce, niech jedzie. Mam dom, pracę, przyjaciół i znajomych, z którymi mogę spędzać tyle czasu, ile zechcę. Mogłabym nawet więcej, ale potrzebowałam go trochę dla siebie.

I jeszcze ten chłopak. Przyrzekłam dziś Bogu, że nakarmię głodnego w zamian...

JUŻ JA TAM WIEM, W ZAMIAN ZA CO.

— I tak cię nigdy nie ma — powiedziałam, ograniczając się do łagodnego sprzeciwu.

Uśmiechnął się, ale mój żartobliwy ton dotknął go boleśnie. Po zmarszczce na czole poznałam, że wcale mu nie do śmiechu. Ten widok wywołał we mnie odruch czułości i teraz to ja miałam ochotę go pocieszać. To nieprawda, że go nie ma. Jest zawsze. Zjawia się, gdy samochód zepsuje mi się na skrzyżowaniu, gdy brzuch mnie boli, gdy mam ochotę iść do kina albo zjeść obiad w restauracji. Cierpliwie znosi chwile, kiedy budzi mnie obezwładniający, porażający lęk.

— Jesteś pewna, że dasz sobie przez ten czas radę? — spytał.

W jego oczach widać było wahanie. Wiedziałam, o co jeszcze zapyta, zanim jeszcze otworzył usta: — Nie będziesz się bała?

Świadoma, że i tak już po wszystkim, postanowiłam trochę się podroczyć. Żeby było mu jednak przykro zostawiać mnie samą, żeby miał wątpliwości, czy powinien.

— Wiesz, że będę.

Miał minę psa, który coś przeszkobał. Zdałam sobie sprawę, że to podłe, ale cieszyło mnie, gdy po jego twarzy przemknęła fala paniki.

— Nie przejmuj się tak. Przecież nie opuszczasz mnie na wieki.

— Chyba, że tak? Przyznaj się od razu.

Tym razem mu ulżyło. Roześmiał się i natychmiast zrobiło się swobodniej. Zaczął jeść swoją zimną pieczeń.

Cóż by mi z tego przyszło, gdybym zaczęła histeryzować. Pewnie nawet zdołałabym zmusić go do zmiany decyzji, ale pozostałby w nim żal za czymś, czego z mojej winy nie zaznał. Zbyt go kocham, bym mogła pozwolić sobie na taki egoizm.

— Skoro masz jechać, to jedź i nie komplikuj tego.

Wytrzymałam kilka chwil, patrząc mu prosto w oczy. Był to niemały wyczyn. I nagle pojęłam coś, co mnie naprawdę przeraziło. On chciał, żebym histeryzowała, rozpaczala, prosiła, by zabrał mnie ze sobą. O to mu chodziło. Wystarczyło, abym zaakceptowała jego pomysł, a uruchomiłby środki i załatwił wszystko tak, żebyśmy pojechali i robili ten program razem. Tak to sobie wykombinował. Stało się dla mnie jasne, że go zawiodłam. Teraz zastanawiał się, co schrzanił. Nie wiedział, czy źle rozegrał swoją partię, czy to ze mną jest coś nie tak.

— Nie gniewaj się — powiedziałam — ale naprawdę nie mam ochoty brać w tym udziału. Jedź i baw się dobrze. Mną się nie przejmuj. Przecież to tylko dwa miesiące.

Nie złościł się, był tylko smutny.

— Nie dbam o ciebie wystarczająco dobrze.

— Nie. Wprost przeciwnie. Robisz wszystko tak, jak trzeba. To ja jestem toksyczna i chyba potrzebuję takiej przerwy, żebym mogła za tobą zatęsknić.

Uśmiechnął się dzielnie, lecz oczy mu zwilgotniały i pomyślałam, że czas kończyć tę rozmowę, bo jak zaproponuje, żebym z nim jednak pojechała, to mogłabym się zgodzić.

Z ostatniej imprezy mieliśmy jeszcze pół butelki czerwonego wina. Przyniosłam ją. Ręce odnalazły się na stole. Przez chwilę uśmiechaliśmy się niepewnie jak na pierwszej randce. Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę, a potem się nachylaliśmy i zaczęliśmy całować. Zupełnie jak byśmy odgrywali określone role. On swoją, ja swoją. W scenariuszu było teraz miejsce na miłość, więc zrobiliśmy to. Cholera.

Od wypadku staliśmy się inni. Mimo wszystkiego, co razem przeszliśmy, nie potrafimy na nowo otworzyć się przed sobą. Jakąś część siebie trzymamy w ukryciu i tej rezerwy nie potrafimy przełamać.

Kochaliśmy się z furją, jakbyśmy mieli zamiar sobie udowodnić, że to nie żaden serial, nie teatr. Było w tym pogodzenie, ale i smutek, coś w rodzaju pożegnania. A później, gdy leżeliśmy obok siebie, spytał:

— Nie jesteś na mnie zła?

— Jestem — skłamałam.

Przynajmniej poczuł się usatysfakcjonowany. A potem musiał wracać do pracy, by dopilnować przygotowań do wieczornego nagrania. Jest najlepszym reżyserem i kierownikiem produkcji, jakiego tam mają. Kiedyś, jak zgromadzi wystarczająco dużo własnych pieniędzy, zostanie producentem. To jego marzenie.

— No, dobra, idź. Tylko wróć prędko.

Dziś, za miesiąc, zawsze.

W dzisiejszych czasach obowiązkiem każdego człowieka jest żyć tak, jak mu się podoba. Niech to diabli.

## 10

Przez jakiś czas spoglądałam w sufit.

Czułam się zdołowana. Gdybym sobie na to pozwoliła, zaczęłabym płakać. Wolałam zejść do kuchni i napić się kawy. Ale gdy mieszałam cukier, łyżeczka wyleciała mi z ręki, upadła na spodek, a on pękł. Tak po prostu, od jednego uderzenia. Teraz już nie mogłam się powstrzymać. Łałam łzy nad głupim, nikomu niepotrzebnym spodkiem, który powędruje na wysypisko.

— Czernik zostanie sławnym politykiem, a co będzie ze mną?

Wciąż płacząc, zabrałam się do sprzątania skorup. Kilka kawałków spadło pod stół. Schylona, kątem oka zobaczyłam w oknie twarz chłopaka. Wyglądał mizernie. Spod kaptura wystawał bandaż czy coś takiego. Nie dałam po sobie poznać, że go widzę.

Skończyłam sprzątanie.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem cały czas obserwowana.

Pomyślałam, że widział, jak Michał odjeżdża. Wiedział, że jestem sama, dlatego podszedł tak blisko.

Do głowy mi jednak nie przyszło, że może mi coś grozić.

Wyjęłam chleb, kiełbasę, pomidora i zostawiłam na blacie przy otwartym oknie. Wystarczy, że sięgnie.

Nie chciałam go wystraszyć jakimś niepotrzebnym ruchem, bo wtedy mógłby się rozmyślić i odejść, a ja zostałabym całkiem sama. Takich jak on nie można poganiać. Zrobi, co zechce. Jak będzie miał ochotę, sam przyjdzie i wytłumaczy, o co mu chodzi.

Frontowymi drzwiami wyszłam przed dom.

Maciakowa pomachała do mnie ze swojej werandy. Nie miałam dokąd umknąć. Pozdrowiłam ją tym samym gestem w nadziei, że to wystarczy, ale machnęła gwałtowniej, dając do zrozumienia, że mam się stawić natychmiast, bo u niej się pali, złamała nogę, ma atak serca i w ogóle jestem tam niezbędna. Możecie mi wierzyć lub nie, ale jej despotyzm sprawia mi frajdę. Wypełnia lukę, jaką pozostawili po sobie rodzice i syn.



Przeszłam na drugą stronę ulicy i już w połowie drogi słyszałam każde słowo z rozkręconego na ful telewizora.

— Wiesz, gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie zgodziłabym się na wyjazd Michała. Przecież mąż i żona...

Nie wiem, jak ona to robi, że wie o wszystkim, co się u nas dzieje. Może ma zainstalowany podsłuch?

— Pani Maciakowa, nie ma pani nic innego do roboty? — spytałam.

— Nie, nie mam — stwierdziła i to prawda.

Nie miała nikogo i żeby nie czuć się samotna, przywłaszczyła mnie sobie. Tak jak bierze się kociaka, żeby się nim opiekować. Oboje z Michałem jesteśmy jej kociętami. Podgląda, podsłuchuje i musi mieć z nas niezły ubaw. Michał na szczęście nie ma o tym pojęcia. Przez te wszystkie lata nigdy nic się jej przy nim nie wymysknęło. Nie dałby wiary, gdybym mu powiedziała, że ta miła starsza pani z sąsiedztwa jest zdrowo stuknięta. Głos z telewizora darł się na cały regulator.

— Wiesz, nie jest dobrze, gdy mąż... — wciąż trajkotała, a ja nie zaprzeczałam, bo ogólnie rzecz biorąc miała rację.

Nagle stanęłam jak wryta.

Moim zdaniem akurat w tym momencie usłyszałam wiadomość o eksplozji tira i płonących magazynach na obrzeżach miasta. Maciakowa jeszcze gadała, a ja czekałam, kiedy się wreszcie zamknie, bo chciałam usłyszeć resztę wiadomości. Ona twierdzi, że zdążyłam jej jeszcze coś odpyskować. Tego akurat nie pamiętam. Pochłonięta byłam nasłuchem. Aż do tej chwili świadomie starałam się nie pamiętać o swoim artykule, ale od tego, co usłyszałam, zalała mnie fala gorąca, jakby tamten ogień dotarł aż tutaj. Poczulałam się dziwnie, jak jakiś jasnovidz i przez moment nawet czułam się z siebie dumna. Ale to był tylko ułamek chwili, bo jednocześnie owładnął mną strach. Nie miałam przecież zamiaru wtrącać się w losy świata. Niech świat idzie sobie własną drogą i zostawi mnie w spokoju.

W każdym razie w tamtej chwili, gdy w lesie płonął tir, stałam na podwórku Maciakowej i słuchałam monologu na temat mojej głupoty. Komentowała moje życie i nie miała pojęcia, że właśnie zdarzył się cud. Przewidziałam przyszłość, opisałam to wydarzenie w artykule, który dopiero się ukáže. Jak to wytłumaczę?

— Co się stało? Czemu tak na mnie patrzysz? Źle mówię?

— Dobrze, aż głowa mnie od tych mądrości boli.

— Wcale się nie dziwię, skoro masz tam samo siano. Idź się położyć. Przyjdę do ciebie z ziółkami.

Wróciłam biegiem do domu.

W kuchni unosił się cierpki odór brudnego ubóstwa.

Był tutaj i wziął jedzenie. Wydzielał niemiły zapach. Potrzebował kąpieli.

Włączyłam telewizor i przerzucałam kanały, żeby obejrzeć relację na żywo. Pożar wyglądał jak pokaz fajerwerków i kojarzył się z zabawą, z przyjęciem, na które zostałam zaproszona. Jakaś część mózgu zmuszała mnie do zachowania spokoju, do wyciszenia, ale czułam, jak wszystko we mnie wrze, a obłoki pary wydobywają się uszami. Byłam oszołomiona.

Jak, na Boga, mogło stać się to, co wymyśliłam?

*Jesteśmy jak żołnierze, zawsze gotowi bronić swoich pozycji. Raz powiewamy flagami, innym razem tracimy pozycje. Jutro usiądziemy na tarasie nowego domu, podliczymy straty, wskażemy winnych bawimy się na czyjejs stypie i na nowo rozdamy karty.*

Coś się działo niedobrego w mojej głowie.

— Jesteś tam?

Maciakowa przysłała z ziółkami. Były gorzkie. Nie wiem, po co je piłam, ale skoro przyniosła, to nie mogłam odmówić, a w dodatku chciałam wierzyć, że przywrócą mi spokój. Krzywiłam się, żeby odwrócić jej i swoją uwagę od prawdziwych przyczyn bólu, a ona, by zająć mnie czymś innym, zaczęła opowiadać o czasach, gdy była młoda. Chyba chciała mnie rozśmieszyć. Gdybym ja jej opowiedziała, co narozrabiałam, dopiero by się śmiała!

Spojrzałam na zegarek. Zaraz będą zamykać jutrzejszy numer.

W głowie miałam istny mętlik.

Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że posunęłam się za daleko. A już myślałam, że się uda. Cóż, niestety, nie zapanowałam nad sytuacją. Ten artykuł nie mógł się ukazać.

Zmusiłam się do pośpiesznego przeanalizowania kilku wyjść. Jak się przyznam do oszustwa, dostanę naganę, ale ostatecznie każdy ma prawo zrobić z siebie od czasu do czasu idiotę. Gorzej, gdy te rewelacje jutro się ukążą, wtedy mogę zostać oskarżona o jakiś ukryty motyw, może nawet o współudział.

Powinna jechać do redakcji i przyznać się do kłamstwa.

To właśnie musiałam zrobić.

Dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie, gdy wyobraziłam sobie reakcję szefa. A jaki wszyscy będą mieli ubaw! Po pachy.

Boże, co za wstyd!

**NO CÓŻ, KAŻDY JEST KOWALEM CZY JAKOŚ TAK.**

Ale skąd mogłam wiedzieć, że sprawy tak się potoczą? Gdyby to był zwykły tir, zgubiony i odebrany przez zwykłego, roztargnionego kierowcę, historyjka rozbawiłaby czytelników, a po godzinie nikt by o niej nie pamiętał.

Gdzie są kluczyki?

Warkot pracującego silnika przywrócił mi wiarę w możliwość godnego wybrnięcia z tej sytuacji. Jadąc, przywołałam w pamięci moment pisania internetowej historyjki, a potem artykułu. Myśli krążyły wokół chwil, gdy czekałam na powrót Michała, w ogrodzie chłopak palił papierosa, szef darł się na mnie, a ja byłam zła na Laurę. Tak na dobrą sprawę nie mogłam przypomnieć sobie, co mną kierowało, gdy powoływałam do życia nieistniejących ludzi. Ale w żadnym razie manipulowanie przez kogoś moją wyobraźnią nie wchodziło w rachubę.

Chyba nie.

Przez całą drogę rozmyślałam nad usprawiedliwieniem, nad tym, co powiem, gdy stanę przed szefem.

Miałam mroczki przed oczami, gdy wreszcie dotarłam pod jego drzwi. Zapukałam. Jeszcze nie wiedziałam, co powiem.

W szklanej klatce nie było nikogo.

Niedobrze.

Zeszłam na półpiętro. Z paczki zostawionej przez kogoś na parapecie wyjęłam papierosa i zapaliłam. Najchętniej zwiłabym stąd, korzystając z bocznego wyjścia, ale nie mogłam. Czekaając, wyglądałam przez okno i słuchałam rozmowy, jaka toczyła się obok.

— Słuchajcie, ale jaja...

— A pamiętacie, jak...

— Nie, to nie była ona, tylko...

Młodzież relacjonowała co ciekawsze sytuacje, do których doszło podczas imprezy, jaka odbyła się wczoraj u Laury. Nie po raz pierwszy uderzyła mnie myśl, że w naszej redakcji istnieje kółko towarzyskie, do którego nie mam wstępu. Gdybym wczoraj z nimi była, nie miałabym czasu na robienie głupot. Żeby tę Laurę pokręciło!

Lew właśnie wrócił do klatki. Nadszedł moment, by rzucić się na pożarcie.

Z największym trudem opanowałam mdłości. Dałam sobie jeszcze czas na wypalenie papierosa do końca w nadziei, że nikotyna wpłynie kojąco na mój rozedrgany żołądek. Lulu i tak był zajęty. Przeglądał materiały, dzwonił, kłócił się z kimś przez telefon. Przez cały czas doskonaliłam w głowie komunikat, jaki zamierzałam wygłosić. Że podparłam się informacjami z Internetu, że moja rola sprowadziła się do puszczenia w ruch plotki krążącej już w sieci, a artykuł miał być w zamysle prowokacją dziennikarską w celu sprawdzenia, ile w tej wiadomości jest prawdy, ale jeśli miałyby wynikać z tego afera, jestem gotowa publicznie odszczekać wszystko, co napisałam. Wiem, że postąpiłam głupio, i jestem gotowa ponieść konsekwencje.

Minął kolejny kwadrans. Przynęłam sobie, że poczekam tylko, aż porozdziela stażystom zadania, a potem niech będzie, co ma być.

Ktoś potrącił moje krzesło, a ja podskoczyłam pewna, że już się wydało i właśnie po mnie przyszli. Ale to był tylko jeden z małałów.

— Czego? — warknęłam, zawstydzona własnym strachem.

— Zrobiłaś już ten materiał o medycynie naturalnej?

— Nie.

Wzdrygnął się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego.

— No, to rób szybko! — rozkazał.

Biedak. Jest jeszcze na tyle zielony w tym zawodzie, że podnieca go fakt pełnienia obowiązków dyżurnego klasy. Parę lat temu ja też taka byłam. Sumiennie łąpałam okazje, jeździłam w każde dziwne miejsce, o którym usłyszałam, zasuwałam jako salowa, pracownik oczyszczania kanałów miejskich, stałam na poboczach z tirówkami, spędzałam całe dni na sali sądowej, dałam się zamknąć w więzieniu... no, może przesadzam... ale jeśli nie zrobiłam tego wszystkiego dosłownie, to równie dobrze mogłam robić. A wszystko po to, by zdobyć informacje. Z całego tego z trudem zdobytego materiału pisałam reportaże, ale po ingerencji zastępców naczelnego ukazywały się tylko krótkie notki, sygnowane znaczkiem WZ, sek albo cg. Po paru latach czegoś takiego człowiekowi odechciewa się starać. I zaczyna kombinować.

— A potrafisz czytać z ruchu warg? — spytałam.

— Chyba tak.

— No to czytaj.

Mały skoncentrował się całą duszą. W końcu byłam z pięć lat starsza, a to dla niego jak całe pokolenie.

— Sp...j.

Chyba mu się udało, bo zniknął z obrażoną miną. Pewnie pójdzie się poskarżyć.

No, dobra. Wyładowałam się na młodym, więc czas załatwić sprawę ze starym. Naprawdę chciałam wszystko odszczekać. Nie będę się usprawiedliwiać, wyznam prawdę jak na spowiedzi i przyjmę karę.

I wtedy wrócił obrażony małał.

— Szef cię wzywa.

Kurczę. Naszła mnie ochota, by złapać go za krawat, przycisnąć do biurka i powiedzieć...

Dobra. Nakręciłam się wystarczająco. Idę.

\* \* \*

Gdy pojawiłam się w drzwiach, Lulu uniósł głowę i skinął, że mam wejść.

Chciałam zacząć pierwsza. Wiedziałam z doświadczenia, że poczuje się lepiej, gdy wyrzucę to z siebie. I wołałam go uprzedzić, cokolwiek miał mi do powiedzenia.

— Chciałam... — powiedziała grzecznie, aż słowa zakłuły mnie w gardle.

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku. Szef skinął jeszcze raz, żebym usiadła, bo to trochę potrwa. Przyciskał słuchawkę do ucha i tylko słuchał. Nadal słuchając, włączył komputer i coś zapisał. Potem powiedział: dobrze, i odłożył słuchawkę. Przez długą chwilę siedział nieruchomo, z niezycziwym grymasem na twarzy patrząc w głąb ulicy.

— Posłuchaj... — we własnym głosie usłyszałam ton narastającej niecierpliwości.

Uniósł rękę, że jeszcze nie teraz. Za moment.

Powoli uchodziło ze mnie powietrze. Wprawdzie na zewnątrz byłam spokojna, jednak w środku wszystko już we mnie dygotało. Jeszcze jakoś nad sobą panowałam, ale byle co mogło zachwiać tę równowagę. Może i miał swoje kłopoty, ale był szefem i powinien wyczuć moją determinację. Powoli zapominałam, z jakimi argumentami na swoją obronę tu przyszłam.

Nie. Dłużej nie mogę zwlekać. No już, gadaj i miej to z głowy.

— Chciałam wycofać swój artykuł... — wyrzuciłam z siebie, choć w głębi duszy nie czułam nawet połowy tej pewności siebie, jaką starałam się okazać.

Lulu uniósł brwi i tylko dlatego wiedziałam, że w ogóle mnie usłyszał.

— No to wściekniesz się jak diabli — powiedział.

Może gdybym miała chwilę, wyciągnęłabym z niego, czemu tak sądzi, ale drzwi się otworzyły i wszedł naczelny.

Zamarłam.

Teraz to już poważna sprawa.

Niepokój, który narastał we mnie od wczoraj, okazał się niebezpieczny.

## 11

Nawet po pięciu latach pracy w redakcji wciąż odczuwam dreszcz emocji, gdy muszę rozmawiać z naczelnym. Za każdym razem, niezmiennie, denerwuję się i sama nie wiem, skąd mi się to bierze. Może stąd, że on nigdy nie patrzy na mnie, tylko przeze mnie. Jego oczy niczym rentgen prześwietlają na wylot moje ciało, wrzody, jajniki, umysł. To okropnie stresujące. Boję się, że któregoś dnia po takim prześwietleniu oznajmi, że mam raka piersi.

I teraz musiałam przy naczelnym wyznać swój grzech. Będzie o nim pewnie wiedział, zanim cokolwiek wydukam. No cóż, zasłużyłam sobie na to.

— Gratuluję, trafiłaś w dziesiątkę — usłyszałam. — Świetna robota.

Poczułam się nieswojo, jakby jego słowa skierowane były do kogoś za moimi plecami, a ja tylko stoję między dwoma rozmówcami. Z trudem opanowałam się, żeby nie zerknąć za siebie.

— Właśnie dostaliśmy informację, że policja zrobiła nalot na magazyny i znalazła stopy przemyconych towarów. Nikt nie zna szczegółów i jutro będziemy jedyną gazetą w kraju, która o tym napisze.

Naczelnym był ogromnie podniecony. Miałam wrażenie, że zaraz podniesie nogę i obsika mnie z tej radości.

Sytuacja wydawała się groteskowa. Nie tego się spodziewałam.

— Brawo, doskonale, Weroniko — entuzjazmował się. — Jesteś świetna.

Nie wiedziałam, czy powinnam czuć się bardziej przestraszona, czy raczej rozbawiona. W ogóle nie wiedziałam, jak się zachować. A on ciągnął swoje pochwały, wyraźnie mnie przeszacowując. Nie przerywałam, bo niby jak miałabym to zrobić. Stałam oszołomiona, jakbym oberwała kijem w głowę.

Kroczek po kroczku dowiedziałam się różnych rzeczy, o których nie miałam wcześniej pojęcia. Słuchałam i wszystkimi zmysłami badałam, czy przypadnie mi do gustu to, co mówił.

Nie przypadło.

Wszystko działo się jakby obok, bez mojego udziału. Wiedziałam, że przyjdzie mi odchorować tę rozmowę.

— A co, jeśli się okaże, że to jakaś lipa? — spróbowałam.

Nic nie było w stanie ostudzić jego podekscytowania.

— Wszystko jest tak jak trzeba. Sprawdziliśmy. Nie wiem, jak na to trafiłaś, ale wiadomość wydała mi się na tyle niesamowita, że przed podaniem jej do publicznej wiadomości musiałem skonsultować się z kilkoma osobami. I okazało się, że właśnie mają tę grupę na oku. Czekali tylko na kogoś, kto się wyłamie z ich grona i zacznie gadać. Ta twoja informatorka spadła jak z nieba. Artykuł jest bomba. Trafiony, zatopiony. Kapitalnie. Jutro idzie na pierwszą stronę. Będziemy jedyni...

Nie wątpię. Ale gdy tak do mnie mówił, czułam się jak kupa gówna. Usiłowałam nie myśleć o kobiecie, którą stworzyłam. Odesłałam ją sto razy w nicość. Naczelnym przeżyłby wstrząs, gdyby wiedział, skąd ją wzięłam.

— Ta kobieta, ta twoja informatorka...

Łaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Poczułam, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

— ...skontaktowała się z nami. Pozwoliła na umieszczenie w twoim materiale swoich inicjałów. Wprost nalegała. I jest gotowa na dalszą współpracę, ale chce rozmawiać tylko z tobą.

Opadła mi szczęka.

Nie. Nie wierzę.

Nie może być.

To jakaś paranoja. Czy on zwariował?

Teraz naprawdę zebrało mi się na wymioty. Przełknęłam ślinę i zacisnęłam zęby. Uświadomiłam sobie, że jestem mokra od potu. I chce mi się siku. Czy wypada zostawić ich i wyjść?

Zadzwoił telefon. Odebrał naczelnym. Rozmawiał przez chwilę, nim powiedział:

— Tak, oczywiście, tak, jest tutaj, proszę.

Podał mi słuchawkę.

— Do ciebie.

Lulu zmierzył mnie surowym spojrzeniem. Zrozumiałam, że ostrzega przed popełnieniem błędu. Serce zamarło mi w piersi. Czyżby to jakaś podpucha? Wzięłam słuchawkę i usłyszałam głos nieznanym kobiecie. No i jestem. Poczułam przebiegający przez skórę dreszcz. Sprawy toczyły się zbyt szybko. Świadomość, że to farsa, napęliła mnie i lękiem, i podnieceniem.

Telefon został przestawiony na głośny odbiór. Wszystko, co tamta mówiła, słychać było wyraźnie.

— Chciałabym z panią jeszcze raz porozmawiać.

Jeszcze raz? Boże. Przestałam ufać własnym zmysłom. To było jak wyzwanie. O mało nie upuściłam słuchawki. Odsunęłam ją od ucha i spojrzałam na nią jak na pająka. Krew odpłynęła mi z twarzy, a potem spłynęła w dół i rozlała się po ziemi. Skóra zrobiła się zimna. Na czoło wystąpił pot. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie umieram. Przecież w taki sposób zaczynają się ataki serca, czytałam o tym. Byłam ciekawa, czy ci dwaj faceci znają się na reanimacji.

Tamta coś do mnie mówiła. Jej głos był zaskakująco uprzejmy. Chciała się ze mną spotkać. Jutro o czternastej. Trochę trwało, zanim uwierzyłam, że to nie żarty, że to naprawdę się dzieje. Podała termin i miejsce, a ja tylko odpowiadałam:

— Tak.

— Tak.

— Tak.

Dopiero, gdy odłożyłam słuchawkę, zdałam sobie sprawę, że jestem zupełnie odrętwiała. Przed moimi oczami wirowały czerwone plamy. Zdarza mi się to od czasu do czasu w chwilach skrajnego zdenerwowania.

Racjonalna część umysłu nie mogła uwolnić się od przekonania, że to jakaś lipa, ktoś robi mi dowcip. Chłopaki albo Laura. Może siedzą teraz za drzwiami i zaśmiewają się z mojej miny? Nie.

Niemożliwe. Nie wciągaliby w to naczelnego. No i tamten pożar Powinnam zachować rozsądek i myśleć, myśleć, myśleć, szukać logicznego wyjaśnienia. Niewykluczone że to jakaś prowokacja konkurencji. Ktoś uważa, że coś wiem, i chce mnie sprawdzić. Zaczęłam też brać pod uwagę możliwość, że moja, powiedzmy, inicjatywa, uruchomiła realne wydarzenia, że naprawdę trafiłam na coś niechcący. W takiej sytuacji rzeczywistość mogła okazać się bardziej skomplikowana niż wszystko, co mogłabym sobie wyobrazić.

Naczelnny ciągle nie mógł ochłonąć.

— Sprawa jest śliska, jednak warta zachodu. Takiego kontaktu nie można stracić.

Patrzyłam na jego poruszające się usta, nie słysząc ani słowa.

Powoli zaczęło docierać do mnie, że znowu mi się udało. Nie wiem jak, ale kłamstwo uszło mi płazem. Przynajmniej na razie. Nie musiałam się do niczego przyznawać. Miałam ochotę sobie gratulować, zerwać z siebie marynarę i wiwatować.

Jeśli jedno mi się upiekło, to musiał też istnieć jakiś sposób, by wycofać się z dalszego ciągu tej awantury. Zaczęłam błądzić wzrokiem po ścianach, trafiłam na potężne drzewo za oknem. Jakiś ptak schował się między liśćmi i wyśpiewywał trele, nieświadomy sceny, która się tutaj rozgrywała. Moje dylematy to dla niego inny świat, dokąd nie ma dostępu. Zaczęłam się zastanawiać, czy i my istniejemy równolegle z jakimiś bytami, które są od nas potężniejsze, i chociaż żyją tuż obok, nie dostrzegamy ich, nie pojmujemy, tak jak ten wróbel mnie.

— Pociągniemy tę sprawę dalej. Dotrzemy do struktur bandy. Rozpracujemy ich... — Naczelnny kontynuował z ożywieniem, jak by dostrzegał w mojej twarzy zachętę. — Zrobisz to?

Nie zastanawiałam się nad odpowiedzią, tylko nad tym, jak powiedzieć „nie”. Istniał tylko jeden sposób, ale słowo NIE utknęło mi w gardle.

Boże, dopomóż.

A CO W ZAMIAN DOSTANĘ?

— Muszę się zastanowić — słyszę, jak wypowiadam te niewiarygodne słowa.

— No, naturalnie. Masz dziesięć minut.

Kiwam głową i wycofuję się rakiem. Na zewnątrz czeka na mnie Szymon.

— Co jest? Co się dzieje?

— Nie uwierzysz. Zadzwoił do mnie duch.

— Duch?

— Tak jakby.

Szymek puka się w głowę.

— Mnie też wydaje się to nieprawdopodobne. Dziwnie się czuję. Co powinnam zrobić? Zadzwoić do Michała i poprosić, żeby mnie stąd zabrał? No, bez przesady. Jedno, co przyszło mi do głowy, to modlitwa o pomoc.

Boże, jeśli mi pomożesz, to bierz w zamian, co chcesz.

OK. TYLKO ŻEBYŚ SIĘ NIE ZDZIWIŁA.

\* \* \*

Poszłam do łazienki. W lustrze zobaczyłam swoją przestraszoną twarz i zamarłam w bezruchu.

— I co teraz? — spytałam tamtą siebie.

Daj spokój, idiotko, przecież tego chcesz. Przestań sama siebie oszukiwać. To szansa, zupełnie jakby anioł stróż kopem w tyłek wybił cię ponad innych. Czemu się wahasz?

Co racja, to racja. Od dłuższego czasu płaczę się po omacku, od tematu do tematu, bez ładu i składu. W redakcji tną mi materiały i układają, jak chcą, dodają komentarze wypaczające to, co zamierzałam powiedzieć. Teraz będę mogła zrobić coś własnego. Czemu się waham?

— No i proszę! — Usłyszałam za plecami.

W drzwiach stała Laura i mierzyła mnie ponurym spojrzeniem. Znam ten wyraz twarzy. Wystarczy, że zagryzie wargę, a już wiem, co myśli.

— Słuchaj Weronika, wiesz chociaż, kim naprawdę ona jest? — spytała.

— Nie całkiem.

Dobre sobie: „nie całkiem”. Od tego się zaczyna, że w ogóle nie wiem, kim ona jest.

— Tak myślałam. Nie chcę cię urazić, ale jeśli nie czujesz się na siłach, ja to wezmę — powiedziała.

Zaśmiałam się. Nie mogłam sobie pozwolić na okazanie słabości przy Laurze.

— Dlaczego uważasz, że sama nie dam rady?

Przez chwilę milczała, marszcząc w skupieniu czoło. Patrzyłam na jej zaróżowione z emocji policzki i włosy opadające na czoło. Ilekroć z nią rozmawiam, przypomina mi się dzieciństwo, wycieczki w góry, biwaki pod gołym niebem, ekscytacja ciałem i wiara we własne siły. Miałam pięć lat, gdy Laura nauczyła mnie pływać. Nasi rodzice byli przyjaciółmi i często zostawiali mnie pod jej opieką. Była wtedy ode mnie dwa razy starsza i musiałam jej słuchać. Zrzucała mnie z brzegu do rzeki, a gdy się wynurzałam, podawała mi rękę i wyciągała z wody. Nie pamiętam, żebym się bała. To raczej ona była przerażona.

— Mogłybyśmy przynajmniej razem zrobić to — warknęła i wlepiała we mnie wzrok.

Już były rzeczy, które robiłyśmy razem. Nie chciałabym do tego wracać.

— Nie.

Parsknęła tylko i coś mruknęła. Nie była nawet zła, wyglądała raczej na nieszczęśliwą. Wyraźnie bolała nad tym, że jej władza nade mną jest mniejsza, niżby sobie tego życzyła. I to sprawiło, że po raz kolejny, pod wpływem jej pełnego wątpliwości spojrzenia podjęłam szybką decyzję.

— Zrobię to sama.

Przyszło mi co prawda na myśl, że po raz drugi popełniam dzisiaj błąd, ale chodziło mi głównie o to, by jak najszybciej się od niej uwolnić.

Nadal stała w drzwiach i blokowała wyjście na korytarz. Stałyśmy naprzeciwko, usiłując jedna drugą zmusić do zejścia z drogi. Z bliska zobaczyłam w jej spojrzeniu to samo co kiedyś na brzegu rzeki. Strach. Bała się czegoś, a gdy się zorientowała, że to zauważyłam, ruszyła do przodu i dosłownie mnie staranowała. Zważywszy na okoliczności, nie powinnam być zdziwiona. A jednak byłam.

Cofnęłam się, przepuściłam ją, a potem ominęłam i pomaszerowałam prosto do gabinetu szefa.

— OK — powiedziałam.

Bo niby czemu nie.

Naczelnny rozpostarł ramiona jak ksiądz błogosławiący tłumy.

— No to bierz się do roboty. Inne sprawy możesz na razie zostawić. Zajmij się tylko tą.  
Euforia minęła, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi. Oślepiąca ostrym słońcem poczułam, jak do mojego mózgu przedziera się straszna wieść, że zjawą rzuciła mi rękawicę.

## 12

Ledwo wróciłam do biurka, dostałam z recepcji wiadomość, że ktoś coś dla mnie zostawił. Koperta, a w niej kartka. Zaledwie kilka słów, zmiana terminu spotkania z jutra na dzisiaj, w tym samym miejscu. O piątej. Zerknęłam na zegar. Za kwadrans siedemnasta. Nie było żadnego podpisu.

— Kto to przyniósł?

Recepcjonista nie miał pojęcia, kto położył mu to na kontuarze. Ktoś.

— Mało to ludzi się tu kręci? Nie znam wszystkich. Jak bym miał wszystkich znać, głowa by mi pękła.

— No, dobrze, dobrze. Przecież nie mam pretensji.

Tracę czas na uspokajanie dziada.

Właśnie, że mam pretensje. Po to tu siedzi, żeby widzieć tych, co się kręcą. No trudno. Spojrzałam na zegarek i doszłam do wniosku, że w takim razie pora się zbierać. Jeśli miałam zamiar dowiedzieć się, o co chodzi, musiałam iść. Ktokolwiek wyznaczył mi spotkanie, nie dał czasu na uniki. Powiedziałam Szymonowi, że wychodzę, a w recepcji zanotowałam czas wyjścia.

Jadę tam, gdzie mam być. Tam, gdzie wyznaczyła mi spotkanie kobieta, którą wymyśliłam. W głowie się nie mieści.

Znalazłam parking, zostawiłam samochód i wyszłam na ulicę. Wokół przetaczał się tłum spieszących dokądś ludzi. Chłonęłam chciwie szczegóły w nadziei, że okażą się wystarczająco spozstrzegawcza, by rozpoznać fantoma.

Nie rozpoznałam.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, że ktoś mnie obserwuje. Ledwo o tym pomyślałam, a podszedł i poprosił, żebym się nie odwracała, tylko szła dalej. Adrenalina przetoczyła się przeze mnie gwałtowną falą.

— Proszę iść, będę mówił dokąd.

Czyja naprawdę to robię? — przemknęło mi przez myśl.

Krew pulsowała mi w żyłach z podniecenia. Dziwnie się czułam, jakbym nie była sobą. Jak to jest, że czasami jest się sobą, a innym razem niezupełnie. Tak jak na przykład teraz.

Droga wydawała się długa, chociaż znałam ją doskonale. Wychowałam się przecież tutaj. Kamienice były jednak chyba wyższe, górą pochylone ku sobie. Szłam, jakbym wcale nie odrywała nóg od ziemi. Cały czas zadawałam sobie pytanie, czy jest się czego bać. I natychmiast odpowiadałam twierdząco. Czemu więc idę?

— Daleko jeszcze?

— Nie. Teraz skręcamy.

A potem nagłe zdziwienie, że to już. I żal, bo droga dawała wystarczająco dużo wrażeń. Weszliśmy na podwórko starej kamienicy. Na zaplecze restauracji. Przewodnik poprowadził mnie przez dziedziniec i ciemny hol. Trzeba być naprawdę głupią, żeby się na to zgodzić. Aż chciało mi się zapalić z emocji. Gdy otwierał przede mną drzwi, zdążyłam mu się przyjrzeć. Przystojniak. Jak filmowy bandyta.



Wprowadzał mnie do eleganckiego salonu ze sztukateriami, antykami, kominkiem, stojącym zegarem, perskim dywanem na podłodze i wazonem świeżych kwiatów na stole. Brakowało tylko zgiętego w pół lokaja.

— Proszę zaczekać.

Zostawił mnie samą. Nawet drzwi nie zamknął. Usiadłam, potem wstałam. Wyrzałam na zewnątrz. Pusto.

Patrzyłam, jak koty buszują w śmietniku, i powtarzałam w kółko: będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze. Chciałam sprawiać wrażenie osoby rozsądnej, odpowiedzialnej i pewnej siebie. Musiałam tylko wyłączyć wyobraźnię, bo napędzała mi stracha. Tłumaczyłam sobie, że nie powinnam niczego się obawiać, i czułam zarazem, jak ogarnia mnie panika na myśl, że właśnie wplątuję się w coś, nad czym nie mam kontroli.

Dobra, bałam się i to wcale nie trochę. Byłam zdrowo przestraszona. Gdybym miała choć odrobinę rozsądku, już by mnie tu nie widzieli. Tym bardziej że nikt się mną nie interesował przez pół godziny.

Mogłam jeszcze wyjść.

Nie, nie mogłam. Musiałam cierpliwie czekać, by zobaczyć, kto to jest i czego chce. Kimkolwiek była ta kobieta, wyratowała mnie z opresji, ale tak samo mogła mnie w każdej chwili zdemaskować. Więc czekałam i jak skończona kretyńka nastawiałam się na jakieś proste, może nawet humorystyczne wyjaśnienie.

Kiedy się w końcu zjawiała, z trudem powstrzymałam pełne podziwu westchnienie. Prezentowała się tak samo elegancko jak wczoraj. Chociaż coś się zmieniło w jej wyglądzie. Może więcej makijażu albo inna fryzura? Perła w każdym razie była ta sama.

Kobieta, którą uratowałam.

Ciekawe, czy mnie poznała?

Ależ tak.

Strach momentalnie minął. W jednej chwili poczułam się szlachetnie, gotowa przyjąć spóźnione podziękowanie.

Taksowała mnie oczami w milczeniu. Miała ten opanowany wyraz twarzy, który każe się natychmiast zastanowić, czy wszystko jest w porządku z makijażem, czy nie mam lukru z pączka na brodzie albo gila w nosie. Dokładnie oceniała każdy detal mojego niedbałego stroju. To mnie zbiło z tropu. Niemal żałowałam, że nie ubrałam się przyzwoiciej.

— Przepraszam, że kazałam pani czekać — odezwała się w końcu. Głos miała niski, wibrujący, trochę groźny.

Skinęła głową i wyciągnęła rękę. Uścisk jej dłoni był mocny jak ściśnięcie imadłem. Ledwo wstrzymałam nerwowy chichot. Jeszcze wydawało mi się to zabawne.

— Prawda, jak dziwnie układa się życie? Ratujesz kogoś po to tylko, by jeszcze tego samego dnia wystawić go na cel.

Mówiąc to, obdarzyła mnie przyjaznym uśmiechem. Nie zrozumiałam jej intencji, bo słowa nie współgrały z mimiką. Tak czy inaczej, nie brzmiały jak podziękowanie. Odpowiedziałam zdziwionym spojrzeniem, usiłując zapanować nad powracającym niepokojem, ale od razu wiedziałam, że nie dałam rady. Czułam się głupio, wiedząc, że na mojej twarzy uwidocznili się lęk. Na dodatek gdzieś z głębi trzewi wyrwało mi się głębokie westchnienie. Omal nie beknęłam. Najchętniej bym stąd związała. Coś w jej zachowaniu ostrzegło mnie jednak, że to nie jest miła, łagodna kobietka i lepiej, żebym się nie ruszała, zanim sama mi nie powie, że można.

— Siadaj!

Słowo jak kamień powstrzymało mnie od ucieczki. Bałam się jej.

Usiadłam na wskazanym miejscu niczym posłuszna uczennica i czekam na rozwój akcji. Zapadło niezręczne milczenie. Udawałam, że w razie czego wstanę i odejdę. Ale krzesło przyssało moje pośladki i czułam, że siedzę na bombie, która wybuchnie, gdy tylko zwolnię nacisk. Słyszałam wyraźne tykanie, ale to tylko jej zegarek. Tylko? Może już odmierzał moje ostatnie godziny? Niepokoił mnie też facet, który wszedł razem z nią. Ten sam, który i wczoraj jej towarzyszył. Teraz stał pod oknem i obserwował każdy mój ruch, jakbym to ja była niebezpieczna. Ale jazda. Co w takich sytuacjach robią bohaterki filmów? Proszą o coś do picia?

— Coś do picia? — spytała. To ona była bohaterką tego filmu.

Nie czekając na moją odpowiedź, zdecydowała sama:

— Weźmiemy tylko mineralną.

Przerażała mnie jej niedbała pewność siebie. Staralam się zachować kamienną twarz i uporządkować napływające myśli. W dalszym ciągu nie miałam pojęcia, jaki jest cel tego spotkania, ani kim ona jest, ani tym bardziej czego chce. Zacisnęłam dłonie w pięści i wpatrując się w perłę, spytałam wprost:

— Kim pani jest? I czego pani ode mnie oczekuje?

Chciałam dodać coś jeszcze, ale podniosła rękę jak policjant z drogówki i uciszyła mnie w jednej chwili.

— To ja chcę się dowiedzieć, co o mnie wiesz? — spytała, przejmując inicjatywę. — Co jeszcze wiesz?

Rety!

Szybko dokonałam kalkulacji. Wiedziałam tylko, że jadła wczoraj obiad w restauracji na skarpie i zaraz po tym obiedzie omal nie zabił jej motor. Ma piękną perłę i goryla, a gdyby nie ja, nie byłoby jej dzisiaj tutaj. Poza tym nie mam pojęcia, kim jest. No i jeszcze jeden drobiazg, o który prawdopodobnie jej chodzi. Wczoraj w nocy, pisząc opowiadanie, miałam w pamięci jej obraz. Dlaczego? Trudno to wytłumaczyć, ale posłużyłam się jej wizerunkiem w zmyślonej historyjce. Przecież to nie powinno mieć żadnego znaczenia. Chyba że ma?

Poczułam się jak idiotka.

Nie wiedząc, jak z tego wybrnąć, opowiedziałam prosto z mostu, jak było. Wierzcie, że brzmiało to jeszcze głupiej niż w myślach.

Słuchała. Nie spieszyła się. Nie poganiała. Siedziała idealnie nieruchomo i czekała, aż skończę. Wreszcie dobrnęłam do momentu, w którym zadzwoniła do redakcji, i zamilkłam. Jakiś czas trwała cisza, a potem kobieta zaczęła chichotać. Po prostu się śmiała! Towarzyszyłam jej przez chwilę, ale że tak naprawdę nie wiedziałam, z czego się śmieje, więc zamilkłam i czekałam, aż i ona się uspokoi.

— To najgłupsza historia, jaką w życiu słyszałam. A wiesz, co jest najzabawniejsze? Że to akurat ty wystawiłaś mnie na cel. Koło się zamknęło.

Wychwyciłam powiew niebezpieczeństwa. Lekki, niemniej wyraźny. Zrozumiałam tylko tyle, że niechcący narobiłam jej kłopotów. W dalszym ciągu nie bardzo pojmowałam, jak moje opowiadanie ma się do jej spraw, ale już czułam się winna. Uzmysłowiłam sobie właśnie popełnioną gafę, bo rzeczywiście posłużyłam się jej wizerunkiem. Co prawda bez żadnych podtekstów, a tylko dlatego, że jej postać utkwiła mi w pamięci po wczorajszym wydarzeniu. Niemniej jednak na końcu opowiadania powinnam zamieścić notkę, że za podobieństwo do ludzi i zdarzeń autor nie ponosi odpowiedzialności.

Przecież to była czysta fantazja. Gra wyobraźni. Nic więcej.

Czułam zakłopotanie.

— Nie wiem, jak to się stało. Normalnie nie zdarzają mi się takie rzeczy... — odezwałam się bez sensu.

Nadal wydawała się bardziej rozbawiona niż zirytowana.

— Więc to taka historyczna chwila, tak?

Wzięłam głęboki oddech. Najchętniej obróciłabym to wszystko w żart, tylko że nie potrafiłam przewidzieć jej reakcji, a przecież potrzebowałam wybaczenia, życzliwego potraktowania mojego błędu. Bez jej wyrozumiałości mogłam mieć spore kłopoty.

— Czego pani oczekuje? Mam wycofać artykuł? Napisać sprostowanie? Poda mnie pani do sądu?

Nie fatygowała się, by odpowiedzieć.

Nagle rozpaczliwie zapragnęłam sobie wyobrazić, co się wkrótce wydarzy, choćby nie wiadomo co to miało być. Podobno wyobrazenie sobie najgorszej wersji sprawia, że wszystkie inne stają się do przyjęcia. Mogą mnie tu na przykład zastrzelić i ugotować. Podadzą gościom w formie mielonego i w ten sposób pozbędą się ciała. Jeszcze na mnie zarobią.

No rzeczywiście. Od razu poczułam się lepiej.

— Nie patrz na mnie takim tragicznym wzrokiem — powiedziała. Nie dodała: idiotko, ale niemal usłyszałam to słowo.

W gardle rosła mi gula na myśl, że w jej głowie zapada właśnie decyzja o moim losie. Zagryzłam wargę świadoma, że facet spod okna też wyczekuje końca tej ciszy.

— Czy wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?

Nie miałam pojęcia. Ale już się nie śmiała, więc chyba przestała żartować.

— Bo wczoraj panią uratowałam?

— Bo jestem ci coś winna.

Czyli to taka forma podziękowania? No i dobrze. Jak dla mnie, wystarczy. Szczerze mówiąc, miałam dość tej rozmowy. Zerknęłam na zegarek, licząc, że pojmie, iż mój czas jest ograniczony i nie stać mnie na pogaduszki z wariatką. Narozrabiałam, zostało mi wybaczone, więc spadam.

— Będę musiała kończyć — mówię.

Puściła moją uwagę mimo uszu. Pomilczałyśmy jeszcze trochę, a potem zdecydowałam, że wstaję. Lecz nim wykonałam jakikolwiek ruch, ona uniosła się błyskawicznie i położyła mi rękę na ramieniu. Wbiła mnie z powrotem w krzesło. Łapę miała jak niedźwiedź.

Niech ją szlag.

— Kiedy ze mną gadasz, nie rób gwałtownych ruchów — powiedziała. — Będę miała mniej powodów, żeby zrobić ci krzywdę. To, że porządnie wyglądam, nie znaczy, że jestem porządnym człowiekiem. Nie jestem, więc lepiej mnie nie prowokuj. Tamten facet zastrzelił cię na jeden mój znak, więc lepiej czekaj spokojnie, aż skończę. Rozumiesz?

Uśmiechnęła się, jakby chciała dodać: Bez obrazy, nie bierz sobie tego do serca, dobra?

Zrobiło mi się gorąco. Poczułam podmuch pocisku przelatującego tuż nad głową. Tak działa moja wyobraźnia. Przez głowę przemknęły mi tysiące myśli o tym, jak będą pozbywać się ciała. Nikt nie wie, że tu jestem. Dałam się unieść fali pulsującej energii i oczyma wyobraźni zobaczyłam liczne zbrodnie, ograbione banki, sponiewierane zwłoki, zakneblowanych świadków, rozpaczliwy ból ofiar.

Skinęłam głową, że rozumiem.

Byle tylko zachować spokój.

Ciągle mam do czynienia z różnymi wariatami. W takich sytuacjach trzeba pamiętać o podstawowej zasadzie, by nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. To denerwuje świrów.

— Pogadamy jeszcze chwilę. Wyobraź sobie, że jestem twoją przyjaciółką i opowiadam ci najnowsze plotki. Okej?

Jasne. Moja wyobraźnia, jak się okazało, nie ma granic, więc i z tym dam sobie radę. W końcu nie mam wyboru. Jeszcze raz kiwnęłam głową i rozsiadłam się wygodniej, by pokazać, że inicjatywa należy do niej.

— Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale swoimi zmyśleniami trafiłaś w dziesiątkę. Nie da się niczego odwołać, bo to były fakty, o których wiedziałam tylko ja, nikt więcej. Nikt. Dlatego sprostowanie niczego nie ułatwi. Stało się. Policja przejęła ładunek i magazyny, ale to drobiazg w porównaniu z tym, że wszystko wskazuje, że to ja ci przekazałam informacje. Wykonałaś pierwszy ruch, drugi należy już do kogoś innego.

Zaczęła analizować mój artykuł. Mówiła, w czym się pomyliłam, a gdzie miałam rację. W ogromnej części moje zmyślenia pokryły się z rzeczywistością, co stanowiło dla mnie prawdziwą zagadkę.

Słuchałam, zupełnie nie rozumiejąc, do czego zmierzała.

Nie miałam jednak odwagi, by przerwać. Po chwili stało się dla mnie jasne, że opowiada o potężnej grupie przestępczej, którą kieruje. Serce podeszło mi do gardła, gdy uświadomiłam sobie, kim ona jest. Możliwe, że czekała na ów moment rozpoznania i gdy dostrzegła go na mojej twarzy, skinęła głową na znak, że dobrze kombinuję. Uczyniła to w najwłaściwszym momencie, zupełnie jakby czytała mi w myślach. Królowa przemytu we własnej osobie.

Mówiła o rzeczach, o których wiedzieć nie powinnam. Bo i po co mi taka wiedza? Nie chciałam słuchać, ale siedziałam cicho, zszokowana sama sobą. Złapałam się bowiem na tym, że zamiast czuć do niej obrzydzenie, zastanawiałam się, jak taka elegancka kobieta może kierować mafią? To okropne jak my, kobiety, jesteśmy nauczone męskiego pojmowania świata. Nie pomyślałam o jej sile charakteru, tylko o cyckach, które czułam, gdy na niej leżałam, i o perle na szyi, której jej zazdrościłam. Kobieta szefem mafii! Zdumiewające, prawda? Przed oczami przesuwały mi się szeregi bandziorów z łysymi pałami i sznytami na twarzy i to głupie, co teraz powiem, ale był taki ułamek chwili, gdy czułam dumę, że wykiwała wystarczająco wielu łysych facetów, by znaleźć się na szczycie.

A potem wrócił rozsądek. Zaczęłam intensywnie się zastanawiać, do czego ta rozmowa prowadzi, bo jeśli ktoś komuś przedstawia takie informacje, można być pewnym, że wynikną z tego określone zobowiązania. Poczulałam, jak włosy stają mi dęba.

— Nie zna mnie pani na tyle, by powierzać mi...

— Mylisz się, znam cię. Nie rozmawiam z nieznajomymi. Wiem tyle, ile trzeba. Właściwie wiem o tobie wszystko. Mam wobec ciebie dług i chcę go spłacić najlepiej, jak umiem. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Byłam zażenowana jej słowami i nie wiedziałam, jak się zachować. Nie chciałam niczego dla niej robić. Spięłam się wewnętrznie, by dobrze zrozumieć, o co jej chodzi. Zaraz się tego dowiem. Muszę z miejsca dać jasno do zrozumienia, że na żadne szwindle się nie godzę.

Jednak, chociaż wstyd się do tego przyznać, czułam się zaintrygowana.

— Tak? — spytałam ostrożnie.

— Chcę, żebyś napisała o mnie książkę.

Zaproponowała cenę, dziesięć groszy od znaku. Fakt, że jestem dziennikarką, powinien ułatwić mi pracę. Zresztą początek już zrobiłam. Dostarczy mi materiały. Zamierzała je spalić, ale skoro tak się stało, jak się stało, widocznie tak miało być.

— Zostało mi jeszcze dość czasu, by po sobie posprzątać, ale mogę nie mieć szansy wyjaśnić wszystkiego mojemu synowi.

Przełknęłam ślinę. W ciągu ułamka sekundy dziesiątki myśli przegalopowały przez mój umysł. Ma syna. Jakkolwiek by na to patrzeć, ma więcej niż ja. I wyszło jednak na to, że jestem

winna, bo wtrąciłam się w jej życie, przyspieszyłam je i dlatego powinnam zrobić dla niej coś, czego sama nie zdążyła. No, nie wiem.

Zwolnij trochę, mówię do niej w duchu. Pogubiłam się.

Umilkła.

Odezwała się po chwili, ale już bez pośpiechu.

— Nie ma nikogo innego, kto mógłby mi pomóc w tej sprawie. Ciebie o to proszę. Jeśli odmówisz, spalę wszystko jeszcze dzisiaj.

No, skoro taka jest cena za możliwość uniknięcia kłopotów w związku z tym fatalnym artykułem, to czemu nie. Jestem jednak trochę spięta, gdy mówię:

— Nawet jeśli się zdecyduję, to być może nie zrobię tego tak, jakbyś sobie życzyła.

Przez ułamek sekundy wydaje się zaskoczona, jak gdyby dostrzegła we mnie coś, czego się nie spodziewała. Nie zauważyłam nawet, od którego momentu przeszłam z nią na ty.

— Wiem i zaryzykuję. Zrobisz, co zechcesz.

Mówiąc to, wykonała dłonią lekki, elegancki ruch sugerujący, że w tej kwestii ja rządzę. Cóż za niespodziewana zamiana ról? Przez mgnienie oka wydała mi się jedną z najbardziej wspaniałomyślnych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam.

Spytała, ile czasu potrzebuję do namysłu. Godzinę, dwie?

— Do wieczora.

Godzimy się na dziesiątą.

Na wypadek, gdybym się zdecydowała, ustaliła zasady wymiany. Za każdy kolejny fragment jej biografii zamieszczony na konkretnej stronie internetowej będę dostawała materiał na nowy artykuł. I odwrotnie, zapłatą za dostarczony do redakcji artykuł będzie kolejny kontakt. Wszystkie informacje dotyczyć będą tylko i wyłącznie jej biznesu, którego likwidację właśnie rozpoczęła. Gazeta robi furorę, publikując informację o upadku imperium królowej, a ja na opisanie jej życia swój czas poświęcę. Dostanę adresy, jednak sama muszę wyciągnąć od tych ludzi to, co mają do powiedzenia.

— To będzie opowieść o mnie, ale dotrzesz tą drogą i do własnych spraw — stwierdziła nagle.

Zaskoczyła mnie tą uwagą. Najeżyłam się.

— Sugerujesz, że mam z tobą jakiś związek? — spytałam zdumiona, a ona zawahała się, jakby chciała rozstrzygnąć, ile jeszcze może ujawnić.

Ostatecznie uznała, że tyle wystarczy. Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że chciała mi coś dać do zrozumienia. Może gdybym inaczej postawiła pytanie, dowiedziałabym się więcej, ale teraz już patrzyła na mnie obojętnym wzrokiem. Znowu była zimna i opanowana, spoglądając na mnie ze szczytu drabiny społecznej.

Wstała. Położyła na stole kartkę z numerem telefonu, pod który mam zadzwonić, jeśli się zdecyduję.

Na chwilę przymknęła oczy, głośno wypuściła powietrze i ponownie obdarzyła mnie tym dziwnym, posępnym spojrzeniem.

— Kwadrans po dziesiątej niszcę wszystko i więcej do tego nie wrócę. Szczerze mówiąc, nie potrafię stwierdzić, czy twoja zgoda oznaczać będzie dobrą czy złą wiadomość. Tak czy inaczej, przyjmij moje przeprosiny.

Ja narozrabiałam, a ona przeprasza? Rozumiem, że ma na myśli dyskomfort, jaki tu przeżyłam. Wydawała się teraz słabsza niż na początku rozmowy i tak jakby starsza niż przed pięcioma minutami. Pomyślałam, że to najbardziej pokiereszowana osoba, jaką w życiu spotkałam.

Wyszła. Facet krok za nią.

Odczekałam trzy sekundy, zabrałam ze stołu kartkę i wybiegłam za nimi.

Przystanęłam w bramie i patrzyłam, jak idzie. Poruszała się z wyzywającą pewnością siebie.  
*Nie przeraża mnie myśl, że umrę. Oczywiście, że umrę, tak jak każdy, i może się to stać w każdej chwili. Specjalnie nie ubolewam z tego powodu.*

Przechodnie starannie omijali ją wzrokiem. Dopiero gdy się oddaliła, zerkali na nią przez ramię. Była zauważalna w tłumie. Nie wiedząc nawet kim jest, ludzie jej się bali.

Nerwy puściły mi dopiero, gdy wsiadłam do samochodu. Z jakiegoś powodu poczułam do niej trudną do wytłumaczenia wrogość. Nie podobało mi się, że tyle o mnie wiedziała, a przynajmniej sugerowała, że wie. Nawet jeśli nie chciała, to porządnie mnie wystraszyła.

Dobrze, że przeżyłam.

Dzięki Ci, Boże.

JESZCZE NIE MA ZA CO.

Zerknęłam na kartkę. To było zdjęcie z numerem telefonu na odwrocie. Przyjrzałam się sfotografowanemu widokowi. W oddali las, a bliżej skała. Na pierwszym planie, tuż przy dolnej krawędzi coś w rodzaju poręczy. Na skale ledwo widoczna rysa. I już sama myśl, że wiem, co to, była jak skok z zamkniętymi oczami, w nieznaną, bez zabezpieczającej liny. Dotarło do mnie, że rozmowa, którą prowadziłyśmy, dotyczyła bardziej mnie niż jej.

Zaczęłam się trząść jak galareta.

Omiał nie wjechałam w kubeł na śmieci.

Spokój, zachowaj spokój. Może to tylko błąd? Przecież takie zdjęcie każdy może zdobyć bez trudu. Wszyscy wiedzą, gdzie zginęła moja rodzina.

Musiałam dostać się do domu.

Przez chwilę zastanawiam się, na jakiej podstawie wysunęłam wniosek, że tam będę bezpieczniejsza, ale odrzuciłam tę myśl. Gdyby chciała zrobić mi coś złego, już byłoby po mnie.

Chcę do domu. Tam sobie wszystko spokojnie przemyślę.

Zofia. Tak się przedstawiła.

## 13

Zamiast mózgu miałam watę.

Wszystko mnie swędziało. Musiałam jak najszybciej dostać się do domu, wziąć prysznic, zmyć z siebie ten syf. Potem pojedę do redakcji i sprawdzę kilka rzeczy. Zanim artykuł pójdzie do druku, wprowadzę jeszcze kilka zmian. Nie zamierzałam mówić szefowi o dzisiejszej rozmowie ani tym bardziej o otrzymanej propozycji. Musiałam spokojnie rozważyć wszystkie możliwości. A przynajmniej sprawdzić, na ile się da, czy to nie jakaś manipulacja. Wcale nie byłam pewna, czy Zofia, kimkolwiek jest, nie bawi się moim kosztem. I musiałam pomyśleć, jak znaleźć inne, niezależne źródło informacji.

Włączyłam się w strumień pojazdów i prowadziłam na pamięć, pozwalając myślom krążyć swobodnie. Nie powiem, miałam o czym medytować. Wejść w to czy dać spokój? Próbowałam sobie wyobrazić, jak potoczy się moje życie po wyborze każdej z tych opcji, ale jak zwykle, życie mnie zaskoczyło. I to akurat w połowie drogi.

Aż drgnęłam i wyprostowałam się, gdy zadzwonił telefon. Musiałam jedną ręką go poszukać, bo leżał luzem w torbie. Dzwonił Michał.

— Jeśli możesz, to przyjedź, pomożesz mi się spakować...

Z tego, co usłyszałam, dotarło do mnie, że wyjeżdża nie za tydzień, ale jeszcze dzisiaj w nocy. Dzisiaj? O kurcze.

Omial nie wjechałam w tył niebieskiego forda. Dałam ostro po hamulcu, aż telefon wypadł mi z ręki i musiałam znowu go szukać, tym razem między fotelami. Jeszcze przed minutą byłam przekonana, że tego dnia nic nie może mnie już zaskoczyć. A tu proszę. Myliłam się.

— ...terminy były już wcześniej ustalone. Wszystko jest na miejscu, tylko nie mają kierownika produkcji, bo ktoś... zrezygnował, a ja wszedłem na jego miejsce i muszę się dostosować... Weronika, przyjeźdź, proszę.

Czuję, że jest zdenerwowany, więc mówię tylko:

— Jadę.

Ale w głowie mi buzuje. No bo jak to tak. Za miesiąc, za tydzień, za trzy dni, to rozumiem, ale już??? I on o tym nie wiedział? Nie chce mi się wierzyć. Zaczynam go podejrzewać o celowe ukrywanie informacji. Naprawdę chce wjechać? I to akurat w takiej chwili! W sytuacji, gdy jest mi potrzebny? No nie. No nie. No nie.

Grało radio i nie usłyszał, jak weszłam.

Stałam w holu i gapiłam się tępo na sterty ubrań powyciągane z szaf, na walizki ściągnięte z pawlacza. Musiał urzędować tu od dłuższego czasu, bo tylko tornado mogłoby zrobić coś takiego w krótszym czasie. Jeszcze mnie nie zauważył, więc wykorzystałam tę chwilę, by sobie na niego popatrzeć. Już teraz wiem, że będzie mi brakowało jego widoku.

— Ale zrobiłeś bałagan — mówię, by pozbyć się tego wrażenia. — Co się dzieje?

Michał rzeczowo, bez emocji, opowiedział mi, jak szybko potoczyła się sprawa wyjazdu. Sprowadzał wszystko do konkretów, jakby problem mógł stać się bardziej zrozumiały dzięki zwięzłości. Przypuszczam, że sam do końca nie rozumiał tego, co mówi.

Chciałabym, ale jakoś nie potrafię przyjąć do wiadomości takiej wersji. Rozpaczliwie szukam innego wyjaśnienia, w głowie jednak mam pustkę. Wreszcie przypomniałam sobie dzisiejszą umowę z Bogiem. Zgodziłam się, by w zamian za ewentualną pomoc wziął w zamian, co zechce. No tak, przynajmniej z tego punktu widzenia sprawa stała się jasna. Ten błyskawiczny wyjazd Michała to jakby zapłata za to, co otrzymałam. Psiakość. Poczulałam irytację, że Bóg tak szybko pobiera opłatę. W dodatku taką wysoką.

UMOWA TO UMOWA, NIE KAPRYŚ.

Pokręciłam bezradnie głową, powstrzymując się od komentarzy. Nielojalne myśli aż mnie rozsadzały. Nie mogłam się tylko zdecydować, czy bardziej dotyczyły Boga, czy Michała. W każdym razie wiedziałam, że nie ma odwrotu. Co prawda niechęć, niemniej jednak przehandlowałam męża za kobietę z przeszłością.

Poczucie winy niczym imadło ścisnęło mi serce. Aż zabołało.

— No tak — mówię w końcu, bo widzę, że Michał z niepokojem czeka na jakiś komentarz.

Mam wrażenie, jakby wszystko było moją winą. Zresztą, chyba słusznie. Uśmiecham się z przymusem.

— Co się stało? Co się zmieniło od wczoraj? — Chciałam, żeby zabrzmiało to przyjaźnie, niezobowiązująco.

— Jezu, nie chciałem cię denerwować. Nie wiedziałem, czy coś z tego wyjdzie. To moja praca. Mam coś do zrobienia i muszę to zrobić — mówi z wyrazem takiej determinacji na twarzy, że nie mam serca, by protestować i ciągnąć tę dyskusję. Doszłam do wniosku, że nic w tej kwestii nie pozostało do dodania. Michał i tak ma nade mną przewagę, bo na stole leży bilet lotniczy wystawiony na nocny lot. Głupio kłócić się o coś, co jest już przesądzone. Powinnam się odprężyć i nie brać wszystkiego tak tragicznie I tak zbyt dużo się już dzisiaj stało.

Coś tu jednak nie gra. Przekonanie, że coś jest nie tak, aż przygniata mnie do ziemi.

Jasne, że już wczoraj wiedział o tym wyjeździe.

Coś się stało z moim Michałem. Ktoś go podmienił.

— Fascynujące! — nie mogę się powstrzymać, by nie powiedzieć tego tonem, w którym nie słysząc za grosz fascynacji.

Łypnął na mnie podejrzliwie, ale umilkł i bezradnie zaczął grzebać w stertach koszul.

— Niezły bajzel, co? Muszę to jakoś spakować. Nie wiem, co zabrać.

Widziałam, jak bardzo jest zdenerwowany, i zdałam sobie sprawę, że to rozdrażnienie nie dotyczy bynajmniej majtek, wyrzuconych z szuflady. Skupiłam się na marnotrawstwie energii, którą powinien teraz poświęcić mnie. Niech diabli wezmą te koszule i skarpetki. Miałam ogromną ochotę rzucić się na niego, tłuc go pięściami, drapać paznokciami, przewrócić na ziemię, spętać sznurem i przywiązać do kaloryfera, żeby spóźnił się na lot. Samo wyobrażenie sobie, jak to robię, przyniosło mi ulgę.

Michał przyjrzał mi się z uwagą i odsunął przezornie w stronę swoich walizek. Zналиśmy swoje ciała i dusze, zналиśmy swoje myśli. Słońce padało jasną plamą na podłogę, powietrze pachniało mokrą ziemią i deszczem. Nawet nie zauważyłam, kiedy spadł deszcz. Próbowałam przypomnieć sobie ostatnią noc, którą spędziliśmy osobno. Bardzo próbowałam, ale takiej nocy nie było. Byliśmy ze sobą od tak dawna, jakbyśmy przyszli razem z poprzedniego świata. Kiedyś rozpoznaliśmy się w tłumie i od pierwszej chwili było dla nas jasne, że stanowimy jedność. Jak to będzie dzisiaj?

— Na pewno nie chcesz jechać? Zamówię dla ciebie bilet na najbliższy lot. Załatwisz, co masz do załatwienia, i przylecisz do mnie. Przecież nie mamy nic, o co musielibyśmy się martwić.

Nieprawda. Pomyślałam o chłopcu, któremu zostawiłam rano śniadanie. Pewnie jest głodny. Chociaż nie wygląda na takiego, co to usiadzie i będzie płakać. Ja także nie będę płakać.

— Nie. Ja też mam masę roboty.

Nawet nie spytał, jakiej. A ja, zamiast opowiedzieć, co mi się przydarzyło, udałam, że wszystko jest w najlepszym porządku. A przecież powinnam powiedzieć prawdę. Tylko jaką prawdę? Prawda była taka, że nie miałam zamiaru nigdzie jechać.

— Chciałbym, żebyś to przemyślała. Jak zmienisz zdanie, daj po prostu znać.

Wiatr uderzał o antenę. Uderzał tak od dawna, ale dzisiaj zaskoczyła mnie bliskość tych dźwięków. Chyba to one sprawiły, że nagle zachciało mi się jeść. Zaczęło mi burczeć w brzuchu. Bardziej ze zdenerwowania niż z prawdziwego głodu.

— Zjem coś, wyślę poprawkę do artykułu i pomogę ci z tym pakowaniem.

Jedząc, wprowadziłam kilka zmian zasugerowanych przez kobietę. Zofię. Nie miałam jak sprawdzić jej informacji, ale w obliczu tego, co działo się w moim własnym domu, artykuł stał się nagle mało istotny.

Nacisnęłam enter i wysłałam.

W dwie godziny uporaliśmy się z walizkami. Napięcie między nami zelzało.

— Resztę sobie kupisz.

Nie opłacało się kłaść spać. Zjedliśmy kolację i kochaliśmy się leniwie, bez przekonania. A potem odezwał się telefon. Miałam nadzieję, że wszystko się zawaliło i odwołują wyjazd.

— Jesteś z siebie zadowolony? — Głos w słuchawce aż kipiał ze złości. Słyszałam go z odległości pół metra. Uniósłam pytająco brwi: „O co chodzi?”, a Michał zrobił minę: „Nie mam pojęcia”.

Miałam nadzieję, że pošle tamtego do diabła, ale nie zrobił tego.

Nawałnica w aparacie nie milkła, więc wstał i wyszedł na taras, żeby nie podsłuchiwała. Z trudem przełknęłam tę nielojalność.

Cały czas go obserwowałam w nadziei, że z wyrazu jego twarzy wyczytam, co się dzieje, ale podczas tej tyrady Michał wpatrywał się w swoje bosa stopy.



Skierowałam więc myśli na to, co mam jutro do zrobienia. Obiecałam Szymonowi, że pojedę z nim na wywiad do jakiejś zapadłej wiochy. I mam kilka własnych reportaży do skończenia. A w ogóle wykorzystam czas, by poprawić kondycję, będę więcej biegać, zacznę chodzić na basen i do siłowni, posiedzę częściej z Maciakową, posprzątam strych. Będę to wszystko robić, żeby tylko nie płakać.

Z tarasu nadal dobiegały odgłosy telefonicznej awantury.

Potrzebowałam czegoś, co odciągnęłoby moje myśli od Michała.

— Która godzina?

Wskazówki na zegarze mówiły, że dochodzi dziesiąta. Ustaliłam sama ze sobą, że jeśli do równej godziny mój mąż nie zainteresuje się mną, zrobię to.

Minuta po dziesiątej wystukałam numer i zadzwoniłam. Zofia. Trudno mi przywyknąć, że ktoś taki ma imię.

Usłyszałam: OK, a potem przyszedł SMS z adresem www.pl. I to wszystko. W tej samej chwili Michał stanął w drzwiach. Dziwne, że nie wyczuł mojego podniecenia.

— Już czas na mnie — powiedział. Usłyszałam w jego głosie pośpiech. — Odstawię bagaże na lotnisko i mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Taksówka będzie za pół godziny.

Tempo, w jakim to się odbywało, było niewiarygodne. Zupełnie, jakby ktoś włączył przewijanie. Nawet twarze mieliśmy dziwnie spięte i pofałdowane, jak przy dużych przyspieszeniach.

Taksówka przyjechała punktualnie co do minuty. Przez kolejny kwadrans Michał szarpał się z bagażami, a ja splotłam ramiona na piersi, usiłując patrzeć na tę scenę z dystansu. Wreszcie upchnął ostatnią walizkę i zatrzasnął bagażnik. Objęliśmy się i teraz naprawdę nie mogłam opanować łez. Wiem, że jestem głupia. Przecież to tylko miesiąc. Wystarczy przeczekać.

— Dbaj o siebie — odezwał się, głaszcząc mnie po dłoni.

Sama chciałam to powiedzieć, ale mnie ubiegł.

— Dzwonź często — poprosiłam, a potem oboje milczeliśmy, bo jedno czekało, że drugie powie coś, co rozładuje sytuację i ułatwi rozstanie. Ale co tu było więcej do powiedzenia? Chyba dotarliśmy do granicy, gdzie niemożliwe są dalsze słowa. Każde byłoby nieuczciwe. Tak naprawdę oboje byliśmy przerażeni tym, co się działo.

— Chyba nie wiem, co robię — powiedział, całując mnie.

— Święte słowa — wymruczałam i uśmiechnęłam się pełna nadziei, że wszystko nagle się odmieni.

Jeszcze gdy wsiadał, spodziewałam się, że zaraz się odwróci, roześmieje i powie, że to tylko taki żart, prima aprilis, że cały czas robił sobie ze mnie jaja. Naturalnie bym się wściekła, ale takie zakończenie tego okropnego dnia byłoby w porządku. Niestety, chwilę potem rozległ się trzask zamykanych drzwi samochodu, a potem warkot silnika i zrozumiałam, że to się dzieje naprawdę. Odczułam raptowną tęsknotę. Chciałam, by czas się cofnął, żebyśmy mogli jeszcze raz porozmawiać, a przynajmniej się pożegnać. Może gdybyśmy inaczej zaczęli tę rozmowę, jechałabym teraz z nim.

A potem, gdy samochód skręcił, tęsknota minęła.

**NO CÓŻ, BĘDZIEMY RADZIĆ SOBIE SAMI.**

Aż zachłysnęłam się łatwością, z jaką mi przyszło zapomnieć o Michale minutę po tym, kiedy zniknął mi z oczu. Jakby był kimś obcym, kogo przestaje się kochać, gdy odjeżdża. Boże, to nie tak. Oczywiście, że nie przestałam go kochać i najbardziej w tym momencie pragnęłam ujrzyć zwracającą taksówkę. Jednak w smutku, który odczuwałam, nie było nic zasmucającego. Po namyśle postanowiłam, że nie będę się winić z powodu tej lekkości.

Wróciłam do domu i nalałam sobie szklankę mleka.

Jestem sama. Co za dziwne doznanie.

Wzięłam głęboki oddech, by wywołać w sobie niechęć do nowej sytuacji, ale dziwnie nie potrafiłam. Nie mogłam też się skupić na konsekwencjach, jakie z tego faktu miałyby dla mnie wyniknąć.

Usiadłam przy komputerze.

Weszłam na podaną stronę internetową i znalazłam tam adres. Miasto, ulica, numer mieszkania. I zdjęcie. Tym razem przedstawiało biegnącego chłopca. Mógł mieć z pięć lat. Fotografia była małego formatu i w pierwszej chwili przeżyłam szok, bo wydało mi się, że to Tomek. Jednak po chwili się uspokoiłam, bo ten miał inne usta i oczy, właściwie w niczym nie przypominał mojego dziecka.

O co chodzi? Co mam z tym zrobić?

Szukałam opisu, listu, informacji, czegokolwiek, ale poza zdjęciem i nie wiadomo czyim adresem nie było nic. Powiększyłam je i włączyłam drukarkę. Teraz było wyraźne. Ładny dzieciak. Nawet nie usiłowałam powstrzymać łez cisnących się do oczu. W ciągu kilku sekund w diabły poszedł cały spokój, jaki udało mi się osiągnąć przez ostatnich pięć lat. To, że policja nie potrafiła odnaleźć samochodu, który zepchnął moich bliskich z mostu, najpierw mnie zdumiewało, potem złościło. Byłam regularnie informowana o postępach śledztwa, a wreszcie o jego zakończeniu. Na jakiś czas straciłam wątek. Nie mogłam znaleźć powiązania między przeszłością a przyszłością. Jediną rzeczą, jaką byłam w stanie robić, to kraść w sklepach. Ukradłam trzy książki, kilka czekolad, perfumy, lewy but i grzałkę. Po grzałce doszłam jako tako do siebie. Okazało się, że minęło dziewięć miesięcy. Michał cały czas mnie niańczył. Gdy szedł do pracy, zmieniała go Maciakowa. A potem zostałam dziennikarką w nadziei, że trafię kiedyś na kogoś, kto wie. A teraz, patrząc na zdjęcie, doświadczyłam czegoś w rodzaju dwoistości; wszystko jest nowe, a zarazem od dawna znane. Ona, Zofia, wie coś o śmierci moich bliskich. I nie poprzestanę, póki nie dowiem się wszystkiego, co ma mi do powiedzenia.

— Dobra, wchodzę w to — powiedziałam na głos i decyzja ta sprawiła mi niespodziewaną ulgę.

Ustawiłam zdjęcie chłopca na stoliku przy łóżku, a obok drugie, to z rysą na skale. Patrząc na nie, już niemal usypiałam, gdy zadzwonił telefon. To Michał. Z lotniska. Pyta, co u mnie. A co ma być, przecież minęła niespełna godzina. I tak naprawdę przez tę godzinę wszystko się zmieniło. Chciałam, naprawdę chciałam przez jakiś czas pobyć sama.

— Wybacz mi, jestem durniem. Przykro mi, że tak wyszło, musiałem zadzwonić, żeby ci powiedzieć, że nie tak to miało być. Kocham cię, powiesz słowo i wracam do domu. A tych tutaj niech szlag trafi.

Mówił szczerze. Wyglądało na to, że jeśli nie wezmę spraw w swoje ręce, gotów tam się rozplakać.

— Nie wygłupiaj się. Jedź i rób orła z tego dupka. Mam nadzieję, że ci się nie uda. Ale i tak cię kocham. I wróć do mnie, kiedy z nim skończysz.

Mówiąc to, czułam się jak ostatnia świnia. Na szczęście w tle słychać było głosy ponagłające go do czegoś i musiał kończyć. Mam nadzieję, że nie będzie dzwonił co godzinę.

— Nie martw się. Zadzwoni jutro. Teraz już śpię. Kocham cię.

— Baw się dobrze.

Może mu ulżyło, może nie, ale ja zasnęłam uspokojona, patrząc na zdjęcie nieznanego chłopca.

W nocy grzmiało, a gdy się obudziłam, było jeszcze ciemno.

Zawsze budzę się zbyt wcześnie.

Postawiłam stopy na podłodze i zimny dreszcz przebiegł mi przez całe ciało aż do cebulek włosów. Natychmiast przypominałam sobie wczorajszy dzień. Z zakamarków mózgu wypełzły obrazy chłopaka w ogrodzie; wściekłego szefa; naczelnego, który mi gratulował, i spotkania z Zofią. Przypomniało mi się, że w zamian za głupi, przypadkowy artykuł mam napisać o niej książkę. Muszę poradzić się Michała, co z tym fantem zrobić.

W łazience zatrzymałam wzrok na opustoszałej półce z męskimi kosmetykami i przypominałam sobie jeszcze jedno, że Michała nie ma, wyjechał. Ta myśl wydała mi się tak absurdalna, że nie uwierzyłam w nią i potraktowałam jak sen. Zamierzałam opowiedzieć mu o tym, gdy wrócę do sypialni i wtulę się w niego. Ale gdy w lustrze napotkałam swoją twarz, uświadomiłam sobie, że to prawda.

— O, mój Boże.

Smutek ścisnął mi gardło. W tym momencie żałowałam szczerze, że nie pojechałam z nim. Jednocześnie ogarnęła mnie fala złości. Zaczęłam się zastanawiać nad prawdziwą przyczyną tego szaleńczego wyjazdu. Nawet mi zaświtało, kogo mogłabym spytać, i siedząc na sedesie, ustalałam pytania, jakie powinnam zadać, by dowiedzieć się prawdy, ale gdy spuściłam wodę, stwierdziłam, że wszystkie złe emocje spłynęły w kanał. Już byłam spokojna i tak naprawdę wcale nie chciałam o niczym wiedzieć.

\* \* \*

Otworzyłam okno.

Burza przeszła bokiem. Kropiło trochę, ale nie było wiatru, a sporadyczne poddmuchy nawet nie rozkołysały konarów drzew. Włożyłam tenisówki, słuchawki na uszy i poszłam do ogrodu. Zbiegłam schodami w dół. Stopnie były śliskie, bo w powietrzu wciąż unosiła się wilgotna mżawka. Nastawiłam Pink Floydów na cały regulator, żeby zagłuszyć myśli. Szczególnie jedna nie dawała mi spokoju; że ja też okłamałam Michała. Nie powiedziałam mu ani o chłopaku, ani o propozycji szefowej mafii. I bynajmniej nie zrobiłam tego przez zapomnienie. Raczej wcale nie miałam takiego zamiaru. A to tak samo jakbym go oszukała. Oboje się okłamywaliśmy.

Żeby się ukarać, nie wróciłam do domu, tylko zrobiłam kolejnych pięć rund. Mięśnie protestowały, ale nie zwolniłam tempa i zmusiłam się do przebiegnięcia jeszcze raz codziennej trasy. Potem zapomniałam o mięśniach. Myśli zmiksowały się i na wierzch wypłynęły te o Zofii. Za godzinę w kioskach pojawi się gazeta z opowieścią o jej zdradzie. Gdy kolejny raz zbiegałam ku rzece, byłam całkowicie zaprzątnięta tym, co się może stać. Nie chciałam być w jej skórze. Wczoraj po naszej rozmowie był jeszcze czas na wycofanie artykułu. Ale odmówiła. Zażądała jeszcze umieszczenia swojego imienia. Dopiero w takiej formie autoryzowała tekst. I tak poszło. To była jej decyzja.

Ściągnęłam słuchawki z uszu.

Chciałam mieć jasne myśli, gdy odtwarzałam w pamięci wczorajszą rozmowę. Analizowałam słowa Zofii. Zastanawiałam się, co mogło skłonić kogoś takiego jak ona do dzielenia się ze mną swoimi tajemnicami. Z tego, co mówiła, niewiele w sumie wynikało. Chyba że czegoś nie zrozumiałam albo nie wiem o czymś istotnym.

A co, jeśli nie była tą, za którą się podała?

A jeśli to prowokacja i dałam się nabrać?

Poczułam ciarki u nasady szyi.

Aż przystanęłam, by rozważyć taką możliwość. Nie sprawdziłam przecież nic z tego, co mi powiedziała.

Na dobrą sprawę artykuł pozostał tym, czym był od początku, czyli fikcją. A po interwencji Zofii wprowadzone zostały jedynie fragmenty charakteryzujące informatorkę. Nalegała, by koniecznie umieścić je w tekście. Przecież to absurd.

W krzakach coś zaszurało.

Nie musiałam się oglądać, żeby wiedzieć, kto to. Już nawet nie zdziwiłam się jego widokiem. Siedział w kucki i słuchał mojej muzyki. W ręku trzymał książkę. Moją książkę, wyjętą z mojej półki. Słuchaliśmy mojego ulubionego kawałka i obserwowaliśmy się nawzajem. Żadne nie odwróciło wzroku. Ten bezruch zespolił nas na chwilę. Po raz pierwszy miałam okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Ładny chłopak, tyle że brudny. A najbrudniejszy był opatrunek na czole. Przyszło mi do głowy, że to ten sam gnojek, którego uratowałam przed chuliganami, chociaż nie dałabym głowy, bo jeśli chodzi o tamtego, zapamiętałam tylko zapach krwi.

— Powinnaś przynajmniej trzymać psa — powiedział.

W jego głosie nie dostrzegłam nawet cienia rezerwy. Czuł się swobodnie. Pomyślałam, że nie potrzebuję psa, bo mam Maciakową.

W domu rozdzwonił się telefon i uwolnił mnie od konieczności skomentowania jego uwagi. Odwróciłam się i pobiegłam.

W mokrych butach wpadłam do holu. Podniosłam słuchawkę chyba po dziesiątym sygnale.

Michał zadzwonił z końca świata. Z radości aż zakręciło mi się w głowie. Miałam ochotę zawołać: Wsiadaj w samolot i przyleć do mnie!, ale zamiast tego wydyszałam:

— Byłam pobiegać, żeby o tobie zapomnieć. Zrobiłam dziesięć nawrotów.

Gdy zapytał, co słyhać, myślałam, że opowiadanie o Zofii nie może być takie znowu trudne. Ale było. Nie chciałam go niepokoić. Wolałam sycić się jego głosem, dlatego powiedziałam:

— U mnie wszystko w porządku.

— Cieszę się.

A nie powinieneś, pomyślałam, bo w porządku oznacza tylko tyle, że włóczęga z ogrodu nie zdążył mnie jeszcze zgwałcić i zamordować, a mafia w akcie zemsty nie podpaliła nam domu. Jeśli patrzeć z tego punktu widzenia, to rzeczywiście jest się, z czego cieszyć.

— Opowiadaj lepiej, co u ciebie. Jak minęła podróż. Gdzie mieszkasz?

Mój głos brzmiał zbyt optymistycznie, zupełnie jakby kwestia jego wyjazdu nie sprawiła mi żadnej przykrości. Jakby mi było wszystko jedno, czy Michał jest przy mnie, czy przy kimś innym. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie poczuł się rozczarowany.

— Straszliwy ruch tutaj... Mieszkamy w hotelu na wybrzeżu, zapisz adres i telefon...

Słyszę, że jest zmęczony. Dobrze, że nie naopowiadałam mu tych wszystkich głupot. Czekał, aż znajdę długopis i kartkę. Przez chwilę mówił o podróży, a mnie aż zatykało, tak bardzo chciałam mieć go blisko siebie. Powtarzałam sobie, że już minęło kilka godzin i jakoś je przeżyłam. Zacisnę zęby i przetrzymam resztę.

Potem, już po odłożeniu słuchawki, stałam wsłuchana w ciszę i ze zdumieniem odkryłam, jak bardzo nieswojo czuję się w samotności.

Dom był taki pusty.

Zdawałam sobie sprawę, że ulegam złudzeniu, bo od dawna panuje tu martwota. Chwil, gdy przebywamy razem, jest tak niewiele, że powinnam dawno przywyknąć do ciszy i bezruchu.

\* \* \*

— Weronika! Weronika!

Wyrzłałam przez okno i zobaczyłam Maciakową. Stała na swojej werandzie i darła się przez szerokość ulicy.

— No i wielkie rzeczy! — wołała. — Pojechał, to i wróci. A ty rusz tyłek i chodź coś zjeść. No już!

Z ulgą posłuchałam rozkazu.

I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu się nie znałyśmy. A i teraz trudno powiedzieć, że cokolwiek o niej wiem, ale przynajmniej mam z kim zjeść śniadanie, gdy czuję się porzucona. Maciakowa nie ma dzieci, a jej mąż był policjantem, któremu na starość coś się pokręciło. To znaczy najpierw światu się pokręciło. Maciak przez całe życie łapał złodziei, ale w nowych czasach złodzieje przestali być złodziejami, a stali się biznesmenami. On ich łapał i wsadzał do aresztu, a sąd natychmiast zwalniał za kaucją, a potem skazywał na kilka miesięcy w zawieszeniu. Gdy goryle jednego z takich biznesmenów złamali mu szczękę w biały dzień, w środku miasta, coś się w nim załamało. Przestał łapać bandytów i zanim przeszedł na emeryturę, zdążył na miejscu drewnianej chałupy zbudować ładny dom. Nikt nigdy nie zapytał go, za co. Sądzę, że doszedł do prostego wniosku, że skoro nie można tych bydlaków pokonać, trzeba się do nich przyłączyć.

Po śmierci taty pomógł Michałowi zamocować trzy ostatnie schodki i wkrótce potem zmarł na zawał. To wtedy Maciakową przejęła nade mną opiekę. Wzięła na siebie wyjaśnianie mi zawilości spraw, na których się zna.

Zjadałyśmy jajecznicę, ona małymi kęsami, ja większymi. Dopiero gdy opróżniłyśmy talerze, rozłożyła na stole gazetę.

— Jest twój artykuł. I zobacz, gdzie! — powiedziała, przyklepując pierwszą stronę.

Jest. Rzeczywiście. W dodatku tytuł: „Sensacja dnia”.

Jestem na pierwszej stronie. A niech to. Mogłabym właściwie skakać z uciechy. Zostałam wynagrodzona, wyróżniona. W tym momencie jestem redakcyjną gwiazdą, a Laura pewnie dostaje spazmów. Sprawdziłam, czy wnieśli poprawki, które wysłałam wieczorem. Wszystko się zgadzało. Kurcze.

Odsunęłam gazetę. Nie doczytałam do końca. Prawdę mówiąc, nie mogłam. Denerwowałam się. Tyle czasu o tym marzyłam, a teraz wcale nie byłam z siebie dumna. To nie w porządku, że na pierwszą stronę poszedł tekst, który w pierwotnej wersji był zwykłym zmyśleniem. Właściwie i teraz nie miałam pewności, do jakiego stopnia jest prawdziwy. A co, jeśli Zofia mnie okłamała? Albo podała się za kogoś, kim nie była? A jeśli nawet tak, to jaki miała interes w ujawnianiu takich wiadomości?

Wzdrygnęłam się nagle.

— Co masz taką minę? Nie cieszysz się?

Opowiedziałam jej o wszystkim. I o nowych wątpliwościach też.

No bo komu niby miałam o tym powiedzieć?

Przyszło mi to bez wysiłku. Mówiąc, obserwowałam swoje uczucia, jakbym słuchała zwierzeń kogoś innego, a stara przysłuchiwała się spowiedzi w milczeniu. Niczego innego nie oczekiwałam.

— Nawet nie wiem, czy ona naprawdę istnieje, czy ktoś mnie robi w jajo?

Istnieje, istnieje, co to tego mogę cię zapewnić. Za to, co robiła, już dawno powinna wisieć. Dziwne, że nadal ma się dobrze. Mój mąż prowadził przeciwko niej dochodzenie. To wtedy te łobuzy go pobiły. Widziałam ją kiedyś. Miała takie dziwne światło w oczach. To wiedźma. Tacy

ludzie potrafią rzucić urok na człowieka. Z Maciakiem też się coś stało, zmienił się, stał się innym człowiekiem. Poszedł za nią w cug. Nie to, żeby mnie zdradzał, ale to, co robił, było jeszcze gorsze.

Żałowałam, że mi to powiedziała. Co prawda już od dawna go o coś takiego podejrzewałam, przecież ten dom i w ogóle. A jednak zrobiło mi się zimno koło serca, bo nie jest zbyt przyjemnie dowiadywać się takich rzeczy o znajomych.

— Ty, Weronika, lepiej bądź ostrożna, żeby i ciebie nie oczarowała, bo wtedy zrobi z tobą, co zechce, a ty jeszcze będziesz jej za to wdzięczna. Jak jej raz ustąpisz, już po tobie. Nie pozwól, żeby i ciebie odmieniła.

— Będę uważała — przyrzekłam, żeby ją uspokoić, chociaż wiedziałam, że ostrzeżenie przyszło za późno.

Tak czy owak, ciężar spadł mi z serca.

Wiedźma. Takie określenie nie przyszło mi wcześniej do głowy, ale doskonale oddawało charakter tamtej.

Znowu musiałam biec, żeby zdążyć odebrać dzwoniący telefon. Tym razem to Szymon.

— Gdzie jesteś?

— A gdzie mam być? W domu.

Spojrzałam w lustro i zamarłam w bezruchu z dłonią przy ustach. To nie byłam ja. Coś dziwnego miałam w oczach.

*Chwilę wcześniej byłam w euforii, upajałam się świadomością, że wygrałam, wyrównałam rachunki i wzięłam odwet. A teraz stałam sparaliżowana, świadoma, że jednak poniosłam klęskę. Myśl, że za chwilę umrę, wydawała się idiotyczna i nieprawdopodobna. Nic takiego nie mogło się zdarzyć. Na kilka sekund nabrałam irracjonalnej pewności, że przynajmniej mojemu synowi nic się nie stanie. A potem osunęłam się na kolana i upadłam twarzą w piach.*

Boże!

— Zapomniałaś, że mamy robotę? — Głos Szymona przebijał się do mnie przez szklaną taflę.

— Co?

Fakt. Zapomniałam.

— Przyjedź po mnie, ale nie wcześniej jak za pół godziny.

— Coś nie tak?

Czułam, jak uwalniam się spod ciężaru i budzę w nowym świecie, który dotąd dla mnie nie istniał. Najbardziej drażniła nieostrość samego tego aktu, nieuchwytność sensu, rozmycie zdarzeń. Dwoistość. Jakby ktoś inny wpychał się w moją przestrzeń. To nie bolało. Było nawet podniecające. Z ulgą zobaczyłam w lustrze, że się uśmiecham.

— Nie, wszystko w porządku — zapewniłam kolejnego faceta.

Musiałam tylko doprowadzić się do porządku. Ale zamiast się myć i przebierać, stałam przed lustrem i przyglądałam się sobie spokojnie, z dystansu.

Czułam się tak, jak w tej sytuacji czuć się powinnam.

Doskonale.

\* \* \*

Pół godziny później byliśmy z Szymkiem w drodze.

Zapomniałam już, jaką frajdę sprawia mi jazda jego samochodem. Jeździ lepszym niż mój. I z odsuwającym dachem. Przekrzykując szum wiatru, powiedziałam mu o wyjeździe Michała, ale nie był w nastroju do rozmowy. Przeleciał przez kilka skrzyżowań na pomarańczowych światłach, nim zareagował.

— Jak ci smutno, możemy iść wieczorem na piwo.

I zamilkł.

Zaczynałam jeszcze kilka razy, ale żaden temat mu nie pasował, więc spróbowałam czegoś innego. Też zamilkłam. Jeśli nie ma się ochoty na rozmowę, lepiej poczekać. Nic na siłę. Chodzi o przyjemność, a nie o to, żeby się męczyć.

W ciszy mijaliśmy osiedla mieszkaniowe wymalowane na kolorowo, kilka supermarketów, całą zgraję magazynów z ogromnymi napisami, stacje benzynowe, osiedle domków stłoczonych jeden obok drugiego i dalej hektary pól i łąk w kolorze sepii. Widać już było nadchodzącą jesień.

Zaczęło mnie to nudzić.

— O co chodzi? — Nie wytrzymałam wreszcie.

Za miastem wyciągnął ze schowka gazetę i wydusił z siebie:

— Gratulacje. Niezły tekst. Problem w tym, że wszyscy się zastanawiają, skąd czerpałaś informacje. Jak na nią trafiłaś? Jak ją namówiłaś, żeby powiedziała ci takie rzeczy o sobie?

No tak. Tego właśnie się spodziewałam. Gdyby chodziło o Laurę albo kogokolwiek innego, można by sądzić, że dla zdobycia informacji gotowi byli położyć pod topór głowę. Tego z pewnością nikt o zdrowych zmysłach nie mógł powiedzieć o mnie.

— A ty? Też się nad tym zastanawiasz?

— Trochę. — W jego głosie pobrzmiwała uraza.

Szymon to fajny facet. Wiele razem przeszliśmy. Pewnie jakby dobrze policzyć, zebrałoby się parę kilometrów. A ile przejechaliśmy! Co najmniej z tysiąc. Napisaliśmy wspólnie ponad pięćdziesiąt reportaży. Wszystkich sztuczek nauczyłam się od niego i mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że nie ma rzeczy, której bym dla niego nie zrobiła. Kawę, herbatę, dodatkowe kanapki, bo on nigdy nie ma swoich. Kiedyś nawet pożyczyłam mu swój samochód i gdyby ładnie poprosił, może zrobiłabym to jeszcze raz, bo wtedy niczego nie zepsuł. Nigdy nic nie mówię, gdy wypala moje papierosy. I tak naprawdę aż mnie rozsadza, żeby mu opowiedzieć, ale nawet najwierniejsza przyjaźń ma swoje granice. W życiu nie odważę się powiedzieć mu prawdy, że zmyśliłam to wszystko. To tak, jakbym się przyznała do kupy w majtkach.

— Nawet gdybym ci powiedziała, nie uwierzyłbyś.

— W porządku. I tak mi w końcu powiesz.

— To w pewnym sensie sprawa osobista.

Ostatnie słowa wypowiedziałam w złą godzinę. Nawet nie przypuszczałam, jak bardzo osobiste będzie to, co przeżyję.

— No, właśnie, w tym problem. Wszyscy zastanawiają się, kto za tym stoi, czy nie zostałaś zainspirowana przez kogoś, kto przy okazji załatwia swoje interesy.

Jego słowa zapiekły mnie do żywego, bo to samo i mnie chodziło po głowie. Rzuciłam mu ostre spojrzenie, żeby wiedział, że czuję się dotknięta samym podejrzeniem, ale patrzył na mnie bez wyraźnej złości. Miał chudą twarz o zwiotczalej skórze. To od odchudzania i ciągłych ćwiczeń na siłowni. Sądząc po jego brzydkiej twarzy, nigdy nie zatrudnią go w telewizji. Ale niech walczy.

— Niech sprawdzą.

— Sprawdzają.

Zatkało mnie.

Rozeszła się plotka, że twój mąż współpracuje z Czernikiem.

— No i co z tego?

— A więc to prawda?

— Prawda, nieprawda, przecież nie ma to żadnego związku z moim artykułem.

— Albo nie ma, albo ma. Podobno Michał ma jakieś dziwne układy, wręcz się od niego uzależnił i... jakoś jedno z drugim się wiąże. Tak mówią.

— Kto tak mówi?

Nie wiem czemu nie muszę się zastanawiać. Po prostu nikt inny nie przychodzi mi na myśl.

— Czy to Laura rozpowszechnia te plotki?

W środku jestem sztywna, jakby wypełniał mnie beton.

Nie musi mi odpowiadać. Wiem, że to ona. Ostatnio często nachodzi mnie ochota, by dopaść ją gdzieś w ciemnym kącie i spuścić jej łomot. Wbić nóż w serce.

— Posłuchaj... — zaczął, ale przerwała mu melodyjka z telefonu. To szef.

Spytał, gdzie jesteśmy i dlaczego we dwójkę, skoro jest tyle roboty. Jedno z nas ma wrócić i to zaraz!

Szymek słuchał jakiś czas, wreszcie powiedział:

— Wiesz co, Lulu? Pocałuj mnie w dupę! — i rozłączył się.

Jakiś czas czekaliśmy, czy ponownie zadzwoni, ale nie. No właśnie. Mnie w życiu nie przyszóby do głowy tak się odezwać. Faceci mają jednak łatwiej. Gdybym ja to powiedziała, Lulu mógłby odebrać moje słowa jako propozycję.

Widzę, że Szymek chciałby wrócić do rozmowy i spytać mnie jeszcze o coś, ale nie mam na to ochoty. Na szczęście na poboczu widzę psa leżącego połową ciała na jezdni, więc wrzeszczę:

— Psa z lewej, psa z lewej!

— Co? — Szymon popatrzył na mnie, jakbym dostała pomieszania zmysłów.

— Skręć w lewo.

Opowiedziałam o informacji kupionej od jego człowieka i wyprawie, która skończyła się nad jeziorem. Okazało się, że tamten Szymonowi też ją sprzedał i jeszcze komuś, łącznie chyba z pięć osób zainwestowało w ten wątpliwy interes i uganiało się po łąkach za cieniem kogoś, kto wiedział coś o sprawie tira. Szymon też tu był, ale w przeciwieństwie do mnie nie zapamiętał psa.

Śmiejemy się i mijają nam dąsy.

Skoro tu byliśmy, sprawdziliśmy przy okazji dom, ale ktokolwiek tu mieszkał, wyniósł się na dobre.

A potem minęliśmy przedmieście i jechaliśmy jeszcze ze dwadzieścia kilometrów. Mieliśmy do zrobienia reportaży interwencyjny o rodzinie bez środków do życia. Szef przydzielił nam go już ze dwa tygodnie temu. Rozejrzemy się i sprawdzimy, czy informacje, które dostaliśmy, potwierdzą się teraz.

Trafiliśmy bez trudu, bo to gospodarstwo zdecydowanie wyróżniało się spośród innych. Chwasty rosły tu naprawdę bujnie, okrywając litościwie sterty śmieci i zardzewiałych puszek po konserwach, połamanych mebli, pękniętych futryn i temu podobnych rzeczy. Po podwórku, wśród tego syfu, biegało troje małych dzieci.

— Jest ktoś dorosły? — pytamy, a one bez namysłu wskazują dom.

Drzwi były otwarte, więc weszliśmy.

Brud po uszy. Strach czegoś dotknąć, bo można się przyklepić. Syf. Smród taki, że zebrało mi się na wymioty. W łóżku, które nie jest wcale łóżkiem, ale brudnym barłogiem, śpi kobieta, prawdopodobnie matka dzieci. Widziałam już takie. Prawdę mówiąc, nawet znacznie gorsze. Nieodmiennie wkurzają mnie takie kobiety. Zamiast posprzątać, umyć gary i zająć się dziećmi, leży taka w betach jak krowa.

Podniosła się z niechęcią. Nie czuła się nawet zażenowana. Z miejsca zaczęła narzekać, jak to jej mało dają z opieki. Opowiada o potrzebie kupna dzieciom butów na jesień, bo tylko bogatych stać na samochody.

Co za ohydna i leniwa baba.



Szymon robił zdjęcia, a ja zapisałam kilka informacji w notesie, by uwierzyła, że słucham z uwagą tego, co mówi. Myślami błądziłam gdzie indziej. Powinnam wierzyć, że wszyscy ludzie są dobrzy. Niektórych trzeba tylko umyć i przytulić. Wtedy staną się bardziej wartościowi. Tacy, jak powiedzmy, ja. Bo przecież widać, że jestem lepsza. Nie śmierzę. I sprzątam dom. I zarabiam na chleb, nie czekam, że państwo mi da. Przekonanie o swojej wyższości aż mnie przygniotło. Usiłowałam ustalić źródło swojej irytacji, ale nie miało nic wspólnego z brudem ani toczącą się rozmową. Brało się z zewnątrz, skąd dobiegały wybuchy śmiechu. Dzieci nie sprawiały wrażenia nieszczęśliwych. Kątem oka śledziłam chłopca, który siedział na obrzeżu studni i dłuwał w nosie. Drżałam na myśl, że deska pęknie i dzieciak wpadnie. Miałam ochotę go dotknąć, by przejąć trochę ciepła.

Już dawno znalazłam prosty sposób, który w takich chwilach pozwala mi zachować spokój. Mówię sobie, że w którymś z równoległych światów mój synek ma teraz osiem lat, właśnie zjadł śniadanie i marudzi z wyjściem do szkoły. Wybiegł do ogrodu zagniewany, bo dałam mu zieloną koszulkę z dinozaurem, a on twierdzi, że wygląda w niej jak dziecko. Woli czarną, którą akurat wyprałam i powiesiłam na sznurze między drzewami. Poszedł sprawdzić, czy nie przeschła na tyle, by dało się ją włożyć. Pójdzie do szkoły zły w tej, której nie lubi. Będę musiała wziąć ją na szmaty, chociaż jest jeszcze dobra. Po drodze, jak będziemy wracać, poproszę Szymka, żeby zatrzymał się przy Galerii i kupię kilka czarnych koszulek. Jak wróci ze szkoły, będzie uszczęśliwiony.

Chłopczyk poczuł na sobie mój wzrok, stanął na desce i widząc, że mnie to przeraża, podskoczył parę razy. Potem zeskoczył i wpadł z hukiem do domu, rzucił się na barłóg i przywarł całym ciałem do matki, osłaniając ją przed moją wrogością. Poczułam, że się duszę. Wszystkie komórki mojego ciała łaknęły tlenu. Zacisnęłam zęby. Milcz, napomniałam. Nie mogłam jednak opanować pogłębiającej się z każdą chwilą antypatii.

— Zamiast narzekać, lepiej by się pani wzięła do jakiejś pracy.

I natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie jestem tu od tego, żeby ją strofować. A ona, taka brudna i śmierdząca, powiedziała:

— Co ty tam wiesz o moim życiu? Może jestem szczęśliwsza niż ty? Jesteś pewna, że tak nie jest?

Nie byłam.

Serce mi waliło, a ręce spotniały po nieoczekiwanej konfrontacji. A ona uśmiechała się wyraźnie zadowolona, że może mnie pouczyć i pokazać, jak wygląda prawdziwe życie. To prawie tak, jakby poklepała mnie brudną łapą po ramieniu.

Teraz miałam już tylko ochotę stąd uciec. Ale Szymon był w siódmym niebie, gotów spędzić tu cały ranek, by potem napisać artykuł o tym, jak to zła władza nie zajmuje się wyłapywaniem wszy u dzieci. Musiałam go skusić kawą i kanapką, którą miałam w samochodzie, żeby zechciał do mnie wrócić.

— Przecież ta baba to parszywy leń. Powinno się ją wybatożyć i zmusić do sprzątanía, gotowania, zajmowania się dziećmi. A my obsmarujemy urzędników, że nie dość starannie dbają o społeczny margines. Czy nie dostrzegasz niczego nieetycznego w naszym postępowaniu?

Nie dostrzegam.

Przyglądał mi się z krzywym uśmiechem, ale bez rozbawienia.

— Muszę ci powiedzieć, że trochę mnie martwisz. Za bardzo identyfikujesz się z postaciami, o których piszesz. Nie bierz wszystkiego tak osobiście. Dla dziennikarza nie ma tematów osobistych. Masz pokazać fakty, a nie oceniać. Jasne? Wyobraź sobie, że stoisz przy taśmie produkcyjnej i musisz wykonać kolejny wyrób. To właśnie robimy. Nie zbawimy świata, tylko

pokazujemy taki, jakim jest. Może kogoś zainteresujemy problemem i tylko o to chodzi, o nie więcej. Nie ma powodu angażować się osobiście w to, o czym piszesz.

Podniosłam wzrok i napotkałam jego wyczekujące spojrzenie. Kiwnęłam głową, że pojęłam naukę. Odniosłam wrażenie, że pouczenie dotyczy bardziej sprawy mojego artykułu niż tego tutaj.

W drodze powrotnej szukaliśmy baru, w którym można by coś zjeść. Dopiero trzeci okazał się schludny i bezpieczny, bo dwa pierwsze za bardzo przypominały dom baby-smolucha. Jednak to, co widzieliśmy, zostało gdzieś w nas, bez względu, czy chcemy tego, czy nie.

— Wracając do twojego artykułu. Mogę ci coś zasugerować?

— Jak musisz...

— Opuść sobie ten temat. Nie ciągnij go dalej. To nie jest czysta sprawa.

Roześmiałam się, może trochę za głośno i szturchnęłam go w bok.

— Dobrze, mamusiu.

Odwiózł mnie do domu.

Umówiliśmy się na pierwszą w redakcji. Chciał mieć pewność, że zrezygnuję ze spotkania umówionego na drugą. Otworzyłam furtkę i pomachałam mu.

Począł, aż otworzę drzwi, i dopiero wtedy odjechał.

## 15

Poczułam głęboką niechęć na myśl o wejściu do domu. Obeszłam go dookoła i w ogrodzie wpadłam na chłopaka. Siedział na ławce i czytał książkę. Oboje byliśmy zaskoczeni, ale on bardziej. Opuścił wzrok na moje buty i przybrał tak srogą minę, że mimowolnie też spojrzałam w dół. Spodziewałam się ujrzeć je upaprane w psim gównie. Nic takiego nie zobaczyłam, wszystko z nimi w porządku. Za to jego adidas były w oplakany stanie. Potrzebował nowych.

Pokręciłam głową, żeby się mną nie przejmował, i zbiegłam po schodach ku rzece. Nadbrzeżną ścieżką ruszyłam drobnym truchtem w kierunku mostu. Na piaszczystym brzegu wylegiwały się w słońcu dziewczyny w kolorowych kostiumach. Ich prawie nagie ciała błyszcząły od olejków. Obserwowały chłopców trenujących przed regatami. Z oddali słychać było wycie psów. Przy moście zrobiłam nawrót i wbiegłam na górę. Była dopiero jedenasta. Zostały mi dwie godziny. Szymek miał rację, każąc mi dać sobie spokój z tą sprawą. Każdy przy zdrowych zmysłach tak właśnie by postąpił.

Ale kto powiedział, że jestem przy zdrowych zmysłach?

Nie potrafiłam zignorować pragnienia, które powoli we mnie narastało.

W jakiś głupi sposób sprowokowałam wydarzenia, pozornie odległe i niemające ze mną związku, a jednak ta kobieta, Zofia, zasugerowała, że jak pójdę ich śladem, to dowiem się czegoś ważnego dla siebie.

Ależ jasne, wiem doskonale, że żadna wiedza niczego już nie zmieni, ale może przynajmniej pozwoli mi ustawić się przodem do kierunku marszu na drodze wiodącej do przyszłości. Od pięciu lat tkwię w miejscu i gapię się wstecz.

To jedyna szansa, jaką dotąd otrzymałam. Wątpię, bym kiedykolwiek dostała inną.

Powinam przynajmniej spróbować.

\* \* \*

Wyprowadziłam samochód z garażu.

Na najbliższej stacji zatankowałam do pełna i ruszyłam do miasta oddalonego pięćdziesiąt kilometrów. Nie miałam pojęcia, co tam znajdę, ale od samego początku, od chwili gdy podjęłam decyzję, czułam ulgę, a mój umysł funkcjonował jakby na innych falach. Całą drogę gnałam, w szybkości szukając ukojenia.

Wyprzedzałam czerwone audi, gdy przez głowę przemknęły mi strzępy czyichś myśli.

*Od chwili gdy Paweł znalazł mnie na dworcu i zaproponował pomoc, wiedziałam, że trafiłam tu, gdzie trzeba. Wcześniej przez kilka godzin laziłam po peronach, gapiałam się na marmury i jadące dokądś pociągi. Pojechałabym dalej, ale nie miałam kasy. Obserwowałam innych, by sprawdzić, czym od nich się różnię. Byłam głodna. Kobieta kupująca bilet odwróciła się, a ja wzięłam banknot, który położyła na metalowym blacie. Sekunda. Kasjerka zajęta była drukowaniem biletu. Żadna nie zauważyła. Tylko Paweł widział. Odeszłam spokojnym krokiem razem z tłumem. Nie wiedziałam, gdzie iść, ale ruszyłam na wdech, tam, gdzie wszyscy. Zaczepił mnie przed wejściem. Wcale się go nie bałam. Zaproponowaną pomoc przyjął w sposób naturalny. Była mi przecież potrzebna.*

Przyhamowałam.

Zupełnie jakbym była intruzem w czyimś świecie.

Może za szybko jechałam i dusza odkleiła się ode mnie, zabłądziła, nie trafiła tam, gdzie powinna, a wracając, pociągnęła za sobą okruchy nie moich wspomnień.

Najgorsze, że wiedziałam czyich.

— To idiotyczne, to idiotyczne — powtarzałam sobie przez następne kilometry. — Takie rzeczy się nie zdarzają.

Ależ owszem.

*Grupa mnie przyjęła. Opiekowali się mną, uczyli wszystkiego, chronili, póki to było konieczne. Traktowałam ich jak rodzinę, bo innej przecież nie miałam. Potem przyszedł czas, gdy ja chroniłam ich.*

Już nie byłam śpiąca.

Czułam się pobudzona tymi dziwnymi rzeczami dziejącymi się w mojej głowie.

Mijane budynki i drzewa wydawały się wyprane z kolorów, ale ja byłam silna. Niemal przytłaczałam swoją osobą wszystko wokół.

Droga zajęła mi niewiele ponad pół godziny.

Ulicę odnalazłam bez trudu. Podjechałam pod zapamiętany numer.

Przed zniszczoną kamienicą biegały rozwrzeszczane dzieci. To właśnie mój problem, że wszędzie widzę dzieci.

*Deszczowa niedziela, koniec lata. Jesteśmy ze sobą już od sześciu miesięcy. Od trzech mój brzuch pęcznieje. Chłopaki już wiedzą. Powiedział im. Przy akompaniamencie śmiechów, gwizdów i poszturchiwań, pokazuje mi, jak schować kartę w rękaw, tak szybko, żeby nikt tego nie zauważył. Jakoś nie mogę wzbudzić w sobie entuzjazmu, ale z uwagą śledzę, gdy nerwowym ruchem zbyt późno chowa kartę w dłoni. Jest zbyt powolny i nigdy się tego nie nauczy. Chłopaki gwizdzą z dezaprobatą i zaśmiewają się w głos. Próbuje jeszcze raz, a potem rzuca karty i siada koło mnie. Zapewniamy się, że będziemy trzymać się razem. Patrzę na niego i to jest wszystko, co chciałabym robić do końca życia. Potem chłopaki pójdą na rynek, a ja usiądę nad książkami, żeby uczyć się do egzaminu. Tego ode mnie oczekują. Ze będę mądrzejsza od nich. Wkuwam wzory, ręce same tasują karty, a gdy palce potrzebne są do przerzucenia strony, odruchowo układają się tak, że karta znika. Muszę zdążyć z nauką, zanim wrócę.*

Oprzytomniałam niespodziewanie, z gwałtownym dreszczem.

Nie miałam pojęcia, kim i gdzie jestem.

Przez kilka sekund mój umysł nie funkcjonował. Nadawanie nazw przedmiotom wymagało sporego wysiłku.

Ostrożnie uniosłam głowę i rozejrzałam się wokół. Wrzeszczące dzieci bawią się na ulicy przed kamienicą. Już wiem. Przypomniałam sobie.

Spróbowałam przełknąć ślinę. Bolało gardło. Co to było?

Wdrapałam się na trzecie piętro.

*Zupełnie jak dawniej.*

Miałam wrażenie, że stąkam po starych ścieżkach. Było mi zimno i gorąco zarazem. Widok z okna na półpiętrze wydał się znajomy.

Dotarłam pod właściwe drzwi. Nie wiedziałam, jak się przedstawiać, bo nie występowałam jako reporter z gazety. Byłam tu w zasadzie prywatnie. Sama zresztą nie wiem. W każdym razie czułam się jak całkiem inna osoba i trochę się bałam. Nie ustaliłam nawet, co powiem, gdy mi otworzą. Miałam tylko zdjęcie pięcioletniego dziecka i nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę, o kogo pytać. Nie wiedziałam nawet, czy zdjęcie i adres mają ze sobą coś wspólnego.

Otworzyła kobieta. Od rana w pełnym makijażu i w czymś w rodzaju przezroczystego peniuaru. Kurcze.

Szukam...

— Ja tu teraz mieszkam — oznajmiła i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Prawdziwy nokaut.

Zadzwoiłam jeszcze raz, ale tamta mnie zignorowała. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli czekała na gości, to nie na takich jak ja.

Prawdę mówiąc, spodziewałam się kogoś, kto spojrzy na zdjęcie i od razu wszystko wyjaśni. Sądziłam, że wystarczy przyjechać i już będę wiedziała.

No, trudno.

Zeszłam na podwórko i pokazałam zdjęcie dzieciom. Niestety, nie mieszka tu taki. Ani tu, ani w okolicy. Zaczepiłam kilku sąsiadów, jednak tylko wzruszali ramionami. Nie mieli ochoty w nic się wtrącać.

— Ta, co tam mieszka, to zwykła żdzira, ale dziecka to ona nie ma, i całe szczęście, bo, niech pani powie, co za życie miałby taki dzieciak.

Nie było nawet ławki, żebym mogła przysiąść i zastanowić się, co dalej. Na razie wyglądało na to, że mój przyjazd był bez sensu. Zaczęło padać. Skuliłam się pod okapem i zastanawiałam, czy bardziej zmoknę tu, czy biegnąc do samochodu. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam knajpę. Postanowiłam tam przeczekać deszcz. Dopiero po przekroczeniu progu zorientowałam się, że to zwykła speluna. No trudno, skoro już weszłam, napiję się chociaż kawy.

Usiadłam przy wolnym stoliku, starając się nie zatrzymywać na nikim spojrzenia, bo w takich miejscach kontakt wzrokowy odbierany jest jak agresja albo zaproszenie seksualne, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

Zamówiłam kawę, ale że to bar piwny, więc kawy nie serwowali. Dostałam herbatę z cytryną. Też dobrze. Czekając, aż trochę przestygnie, zastanawiałam się, co jeszcze mogłabym zrobić. Chyba niewiele, bo nie miałam już właściwie czasu.

— Nic pani nie jest? — usłyszałam za plecami gruby, przepity głos. Pokręciłam głową, ale się nie odwróciłam z obawy, że to któryś z facetów. Ale nie. To była baba, babochłop, babiszon, rety jaka paskudna.

— Kobiety muszą trzymać się razem — zarechotała, najwyraźniej zadowolona, że jest kobietą i że spotkała na tej planecie drugą taką samą jak ona.

Nie odpowiedziałam, więc się dosiadła. Wydawała się zadomowiona w tym lokalu. Uniosła szklanekę piwa w przyjaznym geście. Widać było, że nic w życiu nie sprawia jej takiej frajdy, jak unoszenie kufła.

Zawstydziłam się swojej złośliwości. W końcu chodziło jej tylko o towarzystwo i piwo, które miała nadzieję ode mnie wydębić. Zamówiłam je dla niej, bo w sumie poczułam się bezpiecznie. W rewanżu zaczęła mnie wtajemniczać, jak kobieta kobietę, w swój popaprany życiorys. Przerwałam jej, bo nie chodziło mi o nią, tylko o kogoś, kto mieszkał w kamienicy naprzeciwko. Pokazałam zdjęcie i wskazałam mieszkanie. Zbita z tropu, popatrzyła na swoje piwo z natężoną uwagą, szukając w nim natchnienia, a potem zatopiła się w uczciwych rozmyślaniach. Chciała zapracować na to piwo, a może jeszcze na jedno, gdy uda jej się coś wygrzebać w pamięci. Wątpiłam, czy w jej dziurawym mózgu zachowała się bodaj jedna zdrowa komórka, ale o dziwo, kiedy kończyłam herbatę, zaczęła wyliczać na palcach lokatorów mieszkania na trzecim piętrze.

— Dziecka tam nigdy nie było, bo przedtem mieszkała starsza pani, a przed nią facet, ale przed nim była dziewczyna. Ale krótko, może z rok. Kręciła się w okolicach rynku z takimi, co grali w trzy karty i kroili gości.

— Kiedy to było?

— Z kilkanaście lat temu. Idź na rynek, pewnie ją pamiętają. To była jedyna dziewczyna grająca w trzy karty.

Poszłam. Co mi szkodzi spróbować.

Nie spytałam, jak tam trafić, bo skądś wiedziałam. Deszcz przestał padać, wyszło słońce. Bez trudu odnalazłam wzrokiem mały krąg stłoczony ciasno wokół skrzynki po owocach. Podeszłam bliżej. Młody chłopak przerzucał od niechcienia karty. Unosił każdą, pokazując asy, które przegrywają, i damę, która wygrywa.

— As, dama, as, as, dama, as, gdzie jest dama? Z lewej, no jasne, a gdzie ma być? Wystarczy uważnie patrzeć. Kto ma bystre oczy, niech wygrywa. Dodatkowa stówka zawsze się przyda na zakupy, no nie?

Ciągle znajdował się jakiś dureń.

Rozgrywający pozwala wygrywać, gdy stawki są niskie. Przy wyższej to on ma więcej szczęścia. Przyspiesza ruchy rąk i karta ginie z oczu. Prawdę mówiąc, ginie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Najczęściej w rękawie, a na jej miejsce pojawia się inna. Takie czary mary. Dziwne jest tylko to, że cały czas znajdują się tacy, co próbują wygrać. Gdy tracą stowę albo dwie, odchodzą jak niepyszni w przekonaniu, że nie mieli farta. Frajerzy.

— Postawisz, dziewczyno, dychę? Wygrasz drugą i będziesz miała dwie — zachęcił mnie, widząc zainteresowanie. — Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

Na szczęście znów pojawił się ktoś, kto chciał spróbować. Zafascynowana nie spuszczałam oka z kart. Aż przymknęłam powieki, gdy dostrzegłam, nie, nie dostrzegłam, a zaledwie domyśliłam się, że w tym momencie nastąpił ruch szybki jak błyskawica. Karta została podmieniona.

Gdy klient odszedł, pokazałam im zdjęcie chłopca. Kazali mi spadać.

— Matka tego dzieciaka robiła to samo co wy, była mistrzynią gry w trzy karty. Jakiś czas temu — powiedziałam i zobaczyłam w ich oczach błysk zrozumienia.

Zaprowadzili mnie do starszego Cygana. Pewnie to on nadzoruje biznes, zna wszystkich graczy, jest nauczycielem większości z nich. Powinien pamiętać, ale nie był chętny do rozmowy. Przez kilka chwil obserwowałam ożywioną wymianę zdań między mężczyznami. Cygan podniósł głos i wymachiwał rękami. Przez chwilę miałam wrażenie, że nic z tego nie będzie, gdy nagle zobaczyłam, że tamci dochodzą do porozumienia i facet idzie w moją stronę uśmiechnięty, jak gdyby nigdy nic. Owszem, pamięta dziewczynę.

Zadaję mu parę pytań, ale na żadne nie potrafi odpowiedzieć. Tyle tylko, że przyjechała do miasta na naukę, ale spodobali jej się chłopcy z rynku. Przykleiła się do nich, a oni uczyli ją sztuczek.

— Jakich sztuczek?

— A różnych.

Poczułam, że odpływam.

— *Ładny dzień dzisiaj, będzie pan miał dobry utarg. Zapalki poproszę. — A co pani taka radosna? — Bo dzidzius mi się w brzuchu rusza. — A, jak tak, to pewnie. Każdy by się cieszył. Nie ma pani drobnych? — Nie, tylko dychę. — No dobra, wydaj. A kiedy się urodzi? — Za dwa miesiące. O, znowu kopie, widzi pan? Ooo, mam jednak drobne. W tej kieszeni były. Ile? Dwadzieścia groszy? Proszę. A moja dycha? Dzięki. Miłego dnia życzę.*

Ciekawe, kiedy facet zorientował się, że już raz wydał jej resztę?

Skąd wytrzasnąłam tę scenkę?

Nikt nigdy wcześniej nie opowiadał mi o złodziejskich przekrętach.

— Miała do tego dryg. Spodobał jej się łatwy pieniądz. Ale najlepsza była w trzy karty. Żaden chłopak tak nie potrafił. Szybka była i ładna. Dosłownie się od niej żarzyło. Faceci gapili się na jej cycki, a nie na ręce. Więcej nic nie wiem.

Musiałam wyglądać na rozczarowaną, bo przytrzymał mnie.

— Czekaj no.

Poprowadził mnie na zaplecze budy zastawionej beczkami z kiszoną kapustą i z szuflady starej szafki wyjął kilka zniszczonych zdjęć. Przetasował, wybrał jedno i dał mi. Papier był już wyblakły i w dodatku pogięty, ale bez trudu ją rozpoznałam, chociaż stała w tłumie ludzi. Uśmiechała się z otwartością zwykłej młodej dziewczyny, nawet jeszcze nie kobiety. Jedno, co ją wyróżniało spośród innych dziewcząt z fotografii, to wyraźnie zaokrąglony brzuch, który starała się ukryć pod zbyt dużą sukienką. Jednak w chwili, gdy migawka została zwolniona, zawiął wiatr i przykleił sukienkę do figury.

Poczułam szum w głowie.

*Gdy kładłam ręce na brzuchu, czułam dziecko, które będzie się karmiło moim ciałem. Jakie to dziwne, wiedzieć, że jest we mnie ktoś inny. Będzie mądrym człowiekiem, odziedziczy rozum po dziadku, cierpliwość po babce, po mnie weźmie siłę, a po ojcu radość życia.*

A potem wróciłam do rzeczywistości.

— Była w ciąży?

Popatrzył na zdjęcie, jednak nie widział tego samego co ja. Wzruszył ramionami i powiedział, co pamiętał:

— Tak, ale nie chciała dziecka. Chłopak, z którym była w ciąży, naraził się milicji i dał się złapać. Miał pecha i nie przeżył. Wtedy wpadła w depresję. Dzisiaj tak się mówi, wtedy był to tylko smutek. Zdecydowała się na zabieg, za późno. Któraś baba się podjęła i źle się to skończyło. Wylądowała w szpitalu. Nawet nie wiem, czy przeżyła. W każdym razie tutaj już nie wróciła.

— Który to był rok?

Na odwrocie była data. Siedemnaście lat wstecz.

Nie pamiętał nazwiska. Na imię miała Zośka.

\* \* \*

W drodze powrotnej nie mogłam pozbyć się energii, która mnie rozsadzała, ale jechałam ostrożniej, bo chociaż deszcz przestał padać, to pozostawił po sobie mgielkę, utrzymującą się przy samej ziemi.

*Mówią, że potrzebny jest czas, żeby oswoić się z tragedią. Mówią, że z początku jesteś jak oniemiała i nie zdajesz sobie sprawy z rzeczywistości. To bujda. Zdałam sobie sprawę, że to ostateczny wyrok, już w pierwszej sekundzie. Fascynacja śmiercią, jaka mnie wtedy ogarnęła, nie minęła mimo upływu czasu. Zaczęłam odczuwać wstręt do siebie i do tego, co noszę w sobie. Nauczyłam się robić rzeczy, o których wcześniej nie miałam bladego pojęcia. Ruszyłam drogą ku samozagładzie.*

Zrobiło mi się zimno.

Nie pojechałam do redakcji, tylko najpierw do domu.

Włączyłam komputer i przelałam na ekran zarówno zdobyte informacje, jak i buzujące we mnie wrażenia. Początek jej życia.

Dopiero gdy wychodziłam z domu, zauważyłam rozsypane na stole okruchy. Pamiętam, że wychodząc rano, sprzątnęłam po sobie.

Był tutaj.

## 16

Pod redakcję zajechałam kwadrans po pierwszej.

Siedziałam jeszcze w samochodzie, ale miałam już otwarte drzwi, gdy parking wypełnił się łomotem. Zerknęłam w lusterko i zobaczyłam nadciągającą burzę. Wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów pędził czerwony peugeot. Walił prosto na mnie. Zdażyłam jedynie cofnąć nogi i wcisnąć się w siedzenie. Żółć podeszła mi do gardła. Usłyszałam pisk hamulców i w jednej chwili było po wszystkim. Jakimś cudem kierowca zatrzymał wóz kilka centymetrów ode mnie. Co za idiota! Opuścił szybę i zobaczyłam, że to Laura.

— Zwariowałaś? — wrzasnęłam.

Jej samochód omal nie urwał drzwi mojemu.

— Sorry, ale inaczej bym cię nie zatrzymała. Chcę ci pogratulować — zaczęła tłumaczyć, jednak miałam wrażenie, że kpi ze mnie.

Niby przeprosza, niby gratuluje, niby uśmiecha się, gdy tymczasem myśli, co by tu powiedzieć, żeby mnie zdołować. I ma już przygotowane słowa. Widzę to po błysku w jej oczach. Powinnam kazać pocałować się gdzieś, odwrócić się i odejść. Ale od niej ucieczki nie ma. Jest jak wściekły terier, jak się raz przypnie zębami do nogi, to nie popuści.

No i samochód. Jak mam go tak zostawić. Muszę poczekać, aż wycofa swój, żeby mogła zamknąć drzwi.

— Nieźle, nieźle. Pewnie cieszysz się, że jesteś na tytułowej stronie? — W jej pytaniu słychać oskarżenie.

— Oczywiście — potaknęłam, choć uważałam akurat odwrotnie.

Jestem świadoma, że scena, jaką często odgrywałam w myślach, właśnie się dzieje. Laura mi zazdrości. Ale zamiast zaśmiać jej się w nos, tak jak zrobiłaby ona, wzruszam tylko ramionami, mrużąc pod nosem, że to nic takiego, nic poważnego, takie tam nic.

Prawda jest taka, że nie chciałam psuć kruchego rozejmu, jaki zbudowałyśmy między sobą. Dawniej bywało znacznie gorzej.

Delektowałam się jej zainteresowaniem, choć wiedziałam, że nie jest szczere. Spodziewałam się, że lada moment spyta o to samo co Szymek: w jaki sposób zdobyłam takie informacje i czy to, że je mam, nie świadczy, że pozwalam sobą manipulować?

Świeciło słońce, jego promienie padały prosto na twarz Laury. Musiała mrużyć oczy, a nie cierpi tego robić, bo wie, że od tego robią się zmarszczki. Ma po dwie przy każdym oku. Powiedzieć jej?

Powiedziałam.

Prychnęła, ale zamiast się obrazić, wsiadać do swojego auta i odblokować moje, chrząknęła głośno, co stanowiło dowód, że ma zamiar coś oznajmić. Zwlekała z tym jeszcze, bo dla niej jest to przyjemna chwila. A ja byłam przygwożdżona i też musiałam czekać, choć z trudem powstrzymywałam zniecierpliwienie.

— Coś jeszcze? — spytałam, bo nie miałam ochoty marnować reszty życia, aż ona się zdecyduje chlusnąć mi wiadrem wody między oczy.

Przysunęła się blisko, zbyt blisko, tak blisko, że czułam zapach jej ciała. Cuchnęło od niej ambicją.

Rozsiadłam się wygodniej, żeby dać sobie radę z tym, co za chwilę usłyszę. Dobrze, że Szymek mnie ostrzegął, że sprawdzają moje informacje. Może już się wydało?

— Ta twoja informatorka... Masz się z nią podobno dzisiaj spotkać... — zaczęła spokojnym głosem. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, jakby to, co miała do powiedzenia, nie było miłe. Ale żadna zła nowina, jaką mogłam usłyszeć z jej ust, nie byłaby zaskoczeniem.

— Co z nią? Gadaj albo zjeżdżaj, bo mnie blokujesz.

Mówi, że rozmawiała z... a on dzwonił do... a tamten skontaktował się z... I w taki sposób dowiedziała się, że moja informatorka...

Oblał mnie zimny pot.

Czekając na ciąg dalszy, nie zwracałam nawet uwagi na słowa, wystarczyła sama intonacja głosu. Już niemal słyszałam, jak mówi, że to była prowokacja.

Zaczerpnęła tchu. Ja, dla odmiany, wstrzymałam oddech. Przez chwilę dałam się ogarnąć ślepej panice.

— Ona była... jest poszukiwana przez policję... jako ważna figura w strukturach mafii...

Wypuściłam powietrze i odetchnęłam. Ta wiadomość mogła mnie tylko ucieszyć. Czekałam, co jeszcze powie, co jeszcze wie. Nic nie powiedziała, tylko gapiała się na mnie z odrazą.

— Czy z artykułem jest coś nie tak? Jakies nieprawdziwe fakty? — spytałam.

Nadal się bałam, co usłyszę, bo nie wątpiłam, że Laura mogła być lepiej poinformowana ode mnie. Jak zawsze.

— Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że podałaś namiary. Wystawiłaś ją. Tak się nie robi. Informator powinien pozostać anonimowy.

Też coś. Nie tego się spodziewałam.

Gdyby Laura była moją przyjaciółką, powiedziałabym, że tamta sama chciała. Taki zawarłyśmy układ. Ale że nie jest moją przyjaciółką, więc nie musi wiedzieć o umowie między mną a Zofią.

— Chyba mi serce pęknie — mówię tylko, bo nie potrzebuję niczego jej wyjaśniać.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, to myślę, że postąpiłaś nieodpowiedzialnie. Naraziłaś informatorkę na niebezpieczeństwo — syknęła.

Najgorsze, że przez cały czas nie przestawała patrzeć mi prosto w oczy i jak wampir wysysała ze mnie myśli. Na dłuższą metę to było nie do zniesienia. A żeby mnie całkiem zmiękczyć, dodała:

— Jak jej się coś stanie, to będzie twoja wina.



Była mistrzynią, jeśli chodzi o traktowanie mnie z góry.

Drażniła się ze mną, lecz już rozumiałam, na czym polegała jej zagrywka. Chciała, żebym się wściekła i w ataku furii odsłoniła przed nią. Nic nie wiedziała i nie mogła tego znieść. Miała nadzieję wydobyć ze mnie coś, co mogłaby sama wykorzystać. Aby to osiągnąć, nie zawahałaby się wykroczyć poza reguły, jakie kiedyś ustanowiłyśmy. Podstępna z niej kobieta. Była przekonana, że wcześniej czy później spełni się jej wola.

Niedoczekanie. Niech mnie diabli, jeśli dam jej to, czego chce.

Postanowiłam, że nie pozwolę się sprowokować.

— Zaraz, chwileczkę, sugerujesz, że przeze mnie ta biedaczka może dostać łomot od swoich kumpli?

Laura uśmiechnęła się, coś kombinowała.

— Niczego nie sugeruję, ale niewykluczone że jeśli coś się stanie, to z powodu twojego artykułu.

Poczułam nacisk, jaki położyła na zaimek.

— I... no wiesz, w związku z tym, martwię się o ciebie.

Dotknęła mojego ramienia, aż przeszedł mnie prąd. Pomyślałam... Chryste, nie wiem, co sobie pomyślałam, ale ta nieuchwytna myśl sprawiła, że przez chwilę czułam się zbyt upokorzona, by móc wydobyć z siebie głos.

— Bzdura — powiedziałam i strząsnęłam jej rękę z mojego ramienia.

— Przykro mi — usłyszałam i zastanowiłam się, z jakiego powodu jej przykro. Czy dlatego, że obciążyła mnie odpowiedzialnością za los tej kobiety, czy może z całkiem innego powodu.

Zmusiłam się, żeby na nią spojrzeć.

— Nie chcę, żebyś się wtrącała. A tym bardziej żebyś mieszała w to Michała.

Wzruszyła ramionami. Była zła, że nie dostała tego, czego pragnęła. Zatrzasnęła drzwi samochodu z dziką niecierpliwością i cofnęła z piskiem opon. Wyglądało to prawie tak, jakby uciekała. A może się tylko spieszyła.

Użyło mi, gdy uwolniłam się od jej obecności, jednak zostawiła po sobie niepokój. Moja intuicja szeptała, że coś tu nie gra. Ale co? Laurze nie chodziło o bezpieczeństwo informatorki. Chodziło o coś innego. Ciekawe, o co.

Musiałam posiedzieć w samochodzie, żeby przywrócić uczucie podniecenia i triumfu, jakiego doznawałam przed kwadransem, lecz bez powodzenia. Teraz czułam się po prostu samotna i zmęczona.

Wszystko przez Laurę.

Telefon dał znać, że na pocztę przyszła wiadomość. Odczytuję, na jaką stronę mam za chwilę wejść po nową partię materiałów do publikacji. Dostaję na to dziesięć minut. Czyli nasza umowa działa. Porcja informacji za kawałek biografii.

Zamknęłam samochód i pobiegłam do redakcji.

## 17

Przed wejściem zatrzymałam się zdyszana i wygładziłam przód swetra. I wtedy przypominam sobie, że nie wrzuciłam żebrakowi złotówki do kapelusza. Niedobrze. Zawahałam się, czy nie warto jednak wrócić, ale ostatecznie uznałam, że zrobię to później. Odetchnęłam parę razy głęboko i resztę drogi pokonałam w tempie dystygowanej damy. Jakby mnie ktoś teraz widział, miałby prawo przypuszczać, że jestem kimś, kto odnosi sukcesy. W recepcji wzięłam z paczki

egzemplarz gazety, zerknęłam na pierwszą stronę i wróciło podniecenie. Może nie poczułam się dumna z tego, co zrobiłam, ale w porównaniu z tym, co robiłam wcześniej, to była jednak duża sprawa.

Przy windzie panował tłok jak na rynku w piątkowy poranek. Wyglądało, jakby wszyscy zbieracze opowieści stawili się do pracy.

— Cześć.

— Cześć.

— Cześć.

Wszyscy mnie znają. Wszyscy zauważają, ale gdy przechodzę, milkną. Wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Za sobą słyszę szepty:

— Co takiego?

— Nie słyszałaś?

— Nie może być!

Nagle dotarło do mnie, że patrzą na mnie jakoś dziwnie, jakbym zmieniła się w stwora z wielkimi kłami i ogonem wystającym spod spódnicy. Mieli wątpliwości. Może własne, może zasugerowane przez Laureę, niemniej wzbudzające podejrzenia. I była to powszechna opinia. Dobrze chociaż, że wiedziałam od Szymka, co jest grane.

Za zakrętem znów usłyszałam przyciszoną rozmowę:

— Słyszałaś?

— Nieee, kurcze.

Byłam coraz bardziej skrępowana spojrzeniami z ukosa, znaczącymi uśmiechami, strzępami przyciszonych rozmów. Zamiast wywołać satysfakcją, drażniły mnie. Zaczęłam czuć się skrępowana.

Głupie uczucie.

Korytarz mi się dłużył, co rusz nadeptywałam na łączenia płytek, nie mogłam dostosować kroku, by jak zwykle trafić butem tam, gdzie trzeba. To nie mogło skończyć się dobrze. Przyspieszyłam, by jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, dotrzeć do komputera i sprawdzić pocztę. Skręciłam do naszego boksu w nadziei, że chociaż tutaj będzie pusto. Nie było. Siedzieli obaj.

Jasiek udawał, że szuka czegoś w szufladzie. Na twarzy miał przyklejony sztywny uśmiech.

— Widziałeś? — Potrząsnęłam gazetą.

— Pewnie, że widziałem — przyznał, ale nie zabrzmiało to tak przyjaźnie, jak bym sobie życzyła.

A w nosie. Nie było czasu zawracać sobie głowy ich minami.

Otworzyłam pocztę.

Obiecane materiały już na mnie czekały. Wystarczyło, że kliknęłam i posypały się takie rzeczy, od których zakręciło mi się w głowie. Wystarczyło opatrzyć komentarzem i gotowe. Mam następny artykuł na pierwszą stronę. Mam kilka murowanych artykułów na pierwszą stronę. W końcu los się do mnie uśmiechnął. Wpadł mi w ręce łup, o jakim wszyscy marzą.

Drzę na myśl, że materiały znikną, nim zdążę je skopiować.

Tym razem sprawdzę wszystko dokładnie. Zapręgnę chłopaków do roboty. We trójkę będziemy mieli zajęcia na tygodnie. Ten temat szybko nie zejdzie z pierwszych stron gazet w całym kraju. Będziemy sławni.

Chcę się podzielić z nimi tą radością. Aż mnie rozpiera, żeby im powiedzieć.

— Żebyście wiedzieli, co ja wiem....

Szymon z Jaśkiem siedzą obok i z upodobaniem przeglądają przyniesioną przeze mnie gazetę. Odrzucają za siebie kolejne strony, aż zostaje im w ręku pierwsza.

— Zobacz, ile ona wie. Ja tam bym nie chciał tego wiedzieć. Bo co z tego może wyniknąć? Tylko ból głowy.

— Masz rację. Taka wiedza zabija. Nie dalej jak wczoraj w naszej gazecie pisaliśmy o człowieku, który umarł, bo chciał za dużo wiedzieć. Włazł na drabinę, żeby ściągnąć jakieś książki z górnej półki. Spadł, pociągnął półkę i przywaliło go pół tony książek. Można powiedzieć, że przygniotła go wiedza.

Nie spodobało mi się ich krakanie. Mój entuzjazm nieco ostygł. Miałam wrażenie, że patrzą na mnie dziwnie, wcale nie z podziwem.

— Co jest chłopaki? Wyglądam inaczej niż zwykle? Rozmazał mi się makijaż? O to chodzi? Kręcą głowami. Coś cuchnie i oni wiedzą co, a ja nie.

— Nie o to? To o co?

— Stary ma dla ciebie jakąś cholerną sprawę.

— Dlaczego cholerną?

— Bo w tej cholernej redakcji, są tylko cholerne sprawy, więc nic innego dla ciebie mieć nie może. Nie dzwonił do ciebie?

Są zaskoczeni, że nie. W oczach Szymka dostrzegam smutek. Już wiem, że cokolwiek usłyszę, zrani mnie. Teraz już lekko spanikowałam.

— O czym nie wiem?

Miło by było powiedzieć, że kumple to tacy ludzie, którzy mówią o niektórych sprawach wprost. Niestety, tak nie jest. Widzę po ich minach, że najlepiej, gdyby mogli teraz zwiać. Czekałam jeszcze chwilę, nim dotarło do mnie, że nie dowiem się od nich niczego. Patrzyli na mnie ze współczuciem, ale w gruncie rzeczy cieszyli się, że to nie na nich trafiło. I że nie oni muszą mi o tym powiedzieć.

— Idź do niego od razu.

Poszłam.

Dyskietkę miałam w kieszeni. Jak mu pokażę, będzie mnie po rękach całował.

\* \* \*

Lulu był wyraźnie zmęczony. Ale on często tak wygląda, dlatego na myśl mi nie przyszło, że stało się coś naprawdę poważnego. Ani wtedy, gdy odchrząkiwał, co stanowiła u niego dowód napięcia, ani gdy nieświadomie gmerał przy rozporoku, ani nawet wtedy gdy poluzował krawat, co oznaczało jasno, że ma przed sobą ciężkie chwile.

— O której miałaś się spotkać z tą informatorką? — wydusił wreszcie.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Miałaś? Zabrzmiało to tak, jakby plany się zmieniły. Jakby wiedział, że się zmieniły. A przecież o niczym wiedzieć nie mógł, skoro nie był nawet świadomy, że to spotkanie już się odbyło.

— O czternastej, a co?

Zmarszczył brwi, jakby sądził, że kłamię. Oczywiście że kłamałam, ale nie zamierzałam dać się na tym przyłapać. Miałam całą masę informacji, które mogłam zaprezentować już teraz, ale w tej sytuacji musiałam poczekać, bo nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. Postanowiłam zachować ostrożność

— To już nieaktualne. Ona nie żyje — powiedział.

Zatkało mnie.

Nie mogłam zebrać myśli.

W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że chodzi mu o kwestię jej istnienia. Jak to? Przecież rozmawiałam z tą kobietą, dostałam zdjęcia, a w kieszeni mam kolejne materiały do

opublikowania, które nadeszły kwadrans temu. Będę pisać o niej książkę, a w zamian dowiem się o wypadku, w którym zginął mój syn. Już ją nawet zaczęłam pisać.

— Zginęła przed południem.

Wiedziałam o tym.

Mogłabym wyliczyć dokładną godzinę. Wysłałam wtedy od Maciakowej i Szymek zadzwonił.

Czułam się jakoś dziwnie, byłam jak skamieniała.

W jaki sposób należy zareagować na wiadomość, że zmarł ktoś, kogo zaledwie wczoraj uratowałam? Ktoś, kogo na dobrą sprawę zwyczajnie wymyśliłam. Ktoś, o kim napisałam, że jest informatorem policyjnym, zdrajcą, kapusiem? Ktoś, na kogo swoim artykułem wydałam wyrok?

Wyobraziłam ją sobie z wybałuszonymi oczami i flakami na trotuarze.

Jakoś wcale nie było mi jej żal. Jeśli już, to raczej informacji, których nie zdążyła mi przekazać. A najbardziej tych, które miały dotyczyć mnie osobiście. Od trupa niczego się już nie dowiem. Pomyślałam, że ona okazałaby więcej uczucia, gdyby dowiedziała się o mojej śmierci.

— Co ty właściwie wiesz o tej sprawie?

Wzięłam głęboki oddech i zacisnęłam dłoń.

Opowiedziałam mu, pomijając prawie wszystko.

Stałam z rękami pokornie opuszczonymi, starając się wyglądać jak najbardziej niewinnie. Jaka minę ma człowiek niewinny? Cały czas patrzyłam mu prosto w oczy. Jedyne plan, jaki przyszedł mi do głowy, to: nie myśleć, nie teraz.

Musiałam zachować spokój.

Byłam winna, ale jedyne, co czułam, to złość, że za wcześnie wszystko się stało. Nie taką miałyśmy umowę.

Czekałam na jego reakcję, jednak tylko chrząkał, wpatrując się we mnie. Może szukał poczucia winy? Miałam go mnóstwo, chociaż nie na pokaz. Bałam się, że jak zacznę o tym myśleć, rozkleję się.

— Jak to się stało?

— Dowiemy się. Laura tam pojechała.

Dlatego tak się spieszyła. Ty larwo jedna, zakłamany pasożycie, myślę mściwie.

— Dlaczego ona? To moja sprawa. Ja powinnam tam być.

Przecież ma dość własnych spraw, nie musi przywłaszczać sobie moich. Ale o to jej zawsze chodziło. Żeby mi odebrać wszystko, cokolwiek by to było. Tego właśnie pragnęła. To mi kiedyś obiecała. Jakie to głupie. Myśl, że będę musiała z nią rywalizować, była nie do zniesienia, powiem więcej, była przerażająca.

— Nie ma potrzeby, żebyś tam jechała. Lepiej jeśli to nie będziesz ty. Laura skończy temat, napisze wyjaśnienie, sprostowanie i tyle. Kończymy z tym.

Czułam, jakbym poruszała się po omacku. Czegoś nie rozumiałam. Skąd ta nagła zmiana?

— Chyba nie mówisz tego poważnie? — Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. — Przecież w ten sposób dajemy fory bandziom. Nie taki jest nasz cel. Chodziło nam o ujawnienie. Jeśli teraz wycofamy się, to tak jakbyśmy.... Wczoraj naczelny miał inne plany.

— Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj spytał, co zamierzam zrobić, żeby to wyciszyć.

— I co mu powiedziałaś?

— A co niby miałem powiedzieć? Zginęła informatorka. Nikt nie twierdzi, że stało się to z powodu twojego artykułu, ale niektórzy mogą ten incydent wykorzystać do swoich celów, a nie możemy sobie pozwolić, żeby gazeta utraciła zaufanie. Musimy się pozbyć tej sprawy. Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko reagować. Szybko i skutecznie.

Wygłaszał swoje opinie znacznie głośniejsze, niż powinien, co znaczy, że przez uchylone drzwi słuchali go wszyscy.

Poczułam się jak karcona uczennica. A więc o to chodzi? Zostałam obarczona odpowiedzialnością, a Lulu odbudowuje swój autorytet moim kosztem.

— Najlepiej będzie, jeśli weźmiesz parę dni urlopu. Zanim wrócisz, wszystko przyschnie.

Cóż, bardzo się cieszę, że podjął decyzję za mnie, oszczędzając mi tym samym kłopotu. Zastanawiam się, czy właśnie wyleciałam z roboty.

— Więc jestem idiotką, tak? A ty tylko pomagasz mi wrócić na prostą drogę?

Jego twarz poczerwieniała.

— Weronika, znamy się od wieków — zwrócił się do mnie po imieniu, dając do zrozumienia, kto tu rządzi. — Wiem, że to nie twoja wina, że tak się stało, ale na litość boską, zrób, co mówię!

Jego słowa są jeszcze pełne uprzejmości, jednak na twarzy już widać zniecierpliwienie. Mam ochotę się klócić, ale zdaję sobie sprawę, że to bezcelowe. To nie on jest mózgiem. Jest tylko człowiekiem od brudnej roboty. Nie mogłam jednak pojąć, dlaczego szefowie tak łatwo się wycofują. Przecież z tego, co mam w kieszeni, wynika, że zabawa dopiero się zaczyna.

— Najwyższa pora, żebyś trochę się przewietrzyła i ochłonęła. Skończ rzeczy, które masz rozpoczęte, a od jutra weź sobie trzy dni urlopu.

Jego sugestia brzmi jak polecenie. Dla świętego spokoju kiwam głową, że zrobię, jak sobie zyczy. Że nie wiem dlaczego, ale to zrobię. Niech już tylko pozwoli mi wyjść. Całe to jego dęte napuszenie już mnie drażni.

Jeśli stąd natychmiast nie wyjdę, zacznę krzyczeć.

— A pieprzyć to — powiedziałam i wyszłam.

Już nigdy tu nie wrócę. Przenigdy.

Kiedy maszerowałam korytarzem, wszyscy gapili się na mnie z kamiennymi twarzami. W ich oczach widziałam potępienie. Dla paru groszy, dla kilku chwil sławy, dla artykułu na pierwszej stronie wydałam wyrok na informatorkę.

Ich zdaniem byłam zhańbiona.

Ogarnęła mnie fala dławiącego gorąca.

Cisza aż kłuła w uszy.

Gdybym rozluźniła choćby jeden mięsień twarzy, mogłabym wybuchnąć płaczem. Dobrze chociaż, że miałam na sobie ulubione majtki w zabki, bo w przeciwnym wypadku wszystko ale to absolutnie wszystko, byłoby do bani.

Nie czekałam na windę.

Zbiegłam schodami.

## 18

Gnałam jak opętana, mamrocząc coś wściekle.

Byłam jak katapultka na sekundę przed zwolnieniem przycisku. Uwaga! Każdy, kto stanie mi na drodze, jest w niebezpieczeństwie. Jak się ktoś do mnie odezwie, zabiję.

Idąc, rozmyślałam nad celnymi ripostami, jakimi mogłabym obronić swoją godność. Nie byłam w stanie wykazać swej niewinności. Fakty ułożyły się w fałszywym porządku i bez niczyjej złej woli wskazywały na mnie jako sprawczynię nieszczęścia.

Przy kolejnej przecznicy moje harde podekscytowanie sięgnęło zenitu. Całkiem nieświadomie skierowałam się w stronę parku. W normalnych warunkach na samą myśl o wędrowce tymi opuszczonymi przez Boga alejkami dostałabym czkawki, ale teraz bytam tak zła, że każdy

bandzior, który wszedłby mi w drogę, zwiewałby, gdzie pieprz rośnie. Na odległość wyczułby, że ma do czynienia z desperatką.

Pochyliłam ramiona, wydłużyłam krok, wysunęłam brodę. No, niech mnie który zaczepi, to dostanie w trąbę!

Ręce wepchnęłam w kieszenie, a tam miałam dyskietkę z materiałami, które mogły narobić niezłego zamieszania. Jest moja i mogę z nią zrobić, co mi się podoba. Mogę wyrzucić do kosza, iść na policję albo do konkurencyjnej gazety. Jeszcze się zastanowię.

Ćpunów i pijaków prawie nie dostrzegłam, tak bardzo byłam zajęta rozmową z samą sobą. Bo jeśli nawet ta kobieta zginęła, to co z tego? Mało to ludzi zginęło dzisiaj? Wystarczył moment nieuwagi kierowcy, a szkolny autobus wjechał na niestrzeżony przejazd, wprost pod pociąg. Dziesięć samochodów rozbiło się na przydrożnych drzewach. Robotnik spadł z rusztowania, dziewczynka wpadła do rzeki. Branża, w której pracowała Zofia, ma najwyższy wskaźnik śmiertelności, to niemal jak igranie z życiem, więc takiego końca mogła się chyba w każdej chwili spodziewać, niekoniecznie z powodu głupiego tekstu w gazecie.

Zginęłaby już kilka dni temu, gdybym jej nie ocaliła. To dzięki mnie zyskała trochę czasu, akurat tyle, by załatwić, co miała do załatwienia. Sama chciała, by w artykule pojawiły się jej inicjały, choć to niemal tak, jakby się przedstawiła. Czemu się przy tym uparła? Mogła zważyć winę na mnie.

Wzięła ją na siebie. Dlaczego?

Ktoś taki jak ona nie robi niczego bez powodu. Coś się za tym kryło. I jej zdaniem było to ważniejsze od jej własnego życia. Co takiego? Nie wiem.

Tak czy owak, czułam się winna.

Miałam przytłaczające poczucie odpowiedzialności.

Chciało mi się płakać.

Było ciepłe, przyjemne przedpołudnie, jedno z tych, które uświadamiają człowiekowi, że życie toczy się dalej. Świeciło słońce, wiał chłodny orzeźwiający wiatr, ale ziemia wcale nie była okrągła i nawet nie płaska, tylko wklęsła, a ja znajdowałam się na samym dnie i gdziekolwiek szłam, wszędzie było pod górę. Zsuwałam się.

Znalazłam ławkę i usiadłam na brzeżku, bo reszta zapaćkana była ptasimi odchodami i wieloletnim brudem. Nie sprawiała wrażenia, by przez ostatnie lata używano jej do celu, w jakim ją stworzono. Ale było mi wszystko jedno. Spędziłam godzinę, usiłując znaleźć zadowolenie w oglądaniu chmury wróbli, które obsiadły krzaki. Próbowałam je liczyć, potem rzuciłam kamieniem i odleciały.

Zrobiło się cicho i pusto. Poczulałam, jak do oczu napływają mi łzy, i nie zrobiłam nic, by je powstrzymać. Mogłam sobie nie zawracać głowy wycieraniem twarzy. I tak nie było nikogo, przed kim musiałabym się z nich tłumaczyć.

Boże, jak ty sobie z tym radzisz!

BEZ PRZESADY. PRACA JAK PRACA.

\* \* \*

Nie chciało mi się ruszyć z tej ławki.

Chciałabym tu zostać na zawsze. Miną lata, a ja porosnę mchem, kurzem, ptasim łajnem. Kiedyś ludzie wytną drzewa, żeby zbudować tu supermarket, i będą się zastanawiać, kto to.

Było pusto, bo nie mogło być tu nikogo poza idiotką, która dała się wyrzucić z pracy, dała się przekonać, że jest winna śmierci kogoś, kto tej śmierci sam szukał. Potrzebowałam nieco czasu, by przeanalizować stan swojego umysłu i zdecydować, jakie uczucie we mnie dominuje. I

stwierdziłam z ulgą, że to gniew. Gniew na siebie, że napisałam artykuł; gniew na Michała, że mnie zostawił w takiej chwili; i na Zofię, że najpierw narobiła mi złudnych nadziei, a potem dała się zabić. I jeszcze raz na siebie, że nie potrafiłam odmówić udziału w tej awanturze. A już najbardziej o to, że nie rozumiem motywów jej postępowania.

Do ciężkiej cholery, ależ jestem wściekła.

NO, NARESZCIE.

Muszę odzyskać kontrolę nad swoim życiem, bo jakoś mi się ostatnio wymknęła z rąk. Wszystko dzieje się obok, inni za mnie decydują. Nie podoba mi się to. Chcę poczuć grunt pod nogami, by móc ruszyć dalej.

Skoro dostałam materiał, to go opracuję. Skoro mi go dała, to znaczy, że miała jakiś cel. Skoro zginęła przeze mnie, to tym bardziej powinnam wywiązać się z tego, czego się podjęłam.

Jeśli coś mnie męczyło, to jedynie świadomość, że angażując się w jej sprawy, w gruncie rzeczy będę działała w interesie złego człowieka.

Ale tylko idąc tym tropem, znajdę dalsze informacje.

Bo w gruncie rzeczy nie chodzi mi o nią, tylko o odpowiedzi na moje własne pytania. O nic więcej. Przez wzgląd na siebie dałam się w to wpakować i muszę jej zaufać, chociaż nie mam pojęcia, czy na jakiegokolwiek zaufanie zasługuje.

Nagle, pośród tego chaosu uczuć, ogarnia mnie spokój.

W ciągu kilku sekund wypracowuję strategię. Koniec ze snuciem się po parku, koniec z uczuciem bezradności. Wracam do redakcji, bo chcę zostać skarcona i potępiona. Jeśli mnie mają wywalić na zbity pysk, to przynajmniej sama zdecyduję, kiedy i za co. A gdy się to już stanie, kupię bilet i polecę do Michała.

I będzie jak dawniej.

Usłyszałam za sobą trzask.

Odwrociłam się.

*Jak nie jesteś w grupie, sama musisz ją sobie stworzyć, mówił Boguś, bo inaczej zniszczy cię konkurencyjna grupa.*

Kilku łobuzów idzie w moją stronę. Jeden pstryka zapalniczką. Ot, tak sobie, żeby zwrócić moją uwagę. Przed oczami mam rojowisko płam. Już nie jestem taka dzielna.

LEPIEJ ZWIEWAJ, BO ICH JEST PIĘCIU, A JA SAM.

I tak robię. Uciekam co sił w nogach. I to jest przynajmniej moja własna decyzja, bo mając do wyboru śmierć albo życie, wybieram życie.

Lecę jak na skrzydłach.

Do ulicy mam na szczęście blisko, ale nawet gdyby było daleko i tak bym wygrała, bo nadmiar emocji i tlenu działa na mnie jak środki dopingujące.

Tamci nie mieli chyba złych zamiarów, bo ani mnie nie gonili, ani nawet za mną nie krzyčili. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, jak siadają na ławce, którą zwolniłam. Może im tylko o to chodziło.

## 19

Wróciłam do redakcji.

Dawno nie widziałam tu takiego tłoku. Chyba nikt nie wyszedł w teren.

Co się dzieje?

Trwa konferencja szefostwa.

Sytuacja była zbyt napięta, bym się odważyła wypytywać o szczegóły. Upchnięci w swoich przegródkach, wszyscy czekali, co wyniknie z awantury, w jaką wpakowałam gazetę. Moje uchybienie utrzymywało się jak brzydki zapach i gdy próbowałam nawiązać kontakt, omijali mnie wzrokiem. Idąc, zastanawiam się, ile osób cieszy moja wpadka znacznie bardziej, niż wskazuje na to wyraz ich twarzy.

Patrzyli za mną zdziwieni, że wróciłam. I że wcale nie wyglądałam na przegraną i zmartwioną, jak przed godziną.

Powinłam czuć się przynajmniej nieswojo, ale nie. Czułam się nieźle. To ich odrzucenie wcale mnie nie zawstydzalo. Miało pewien smak, który można polubić.

Oto ja, królowa ściemy.

Usiadłam, a chwilę potem wstałam i popatrzyłam ponad przegrodą. Natknęłam się na utkwione we mnie spojrzenia. Wyglądali, jakbym złapała ich na moment przed powiedzeniem czegoś zabawnego. I ledwo usiadłam, usłyszałam śmiech. Byłam ciekawa, czy śmieją się ze mnie. Pewnie tak.

Na przekór temu, co się stało, czułam się dziwnie silna. Silniejsza niż minutę wcześniej. A i wtedy nie było źle. Teraz wiedziałam na pewno, że nie zrezygnuję. Do licha, dlaczego muszę rezygnować? Miałam prawo do obrony. Uniosłam rękę ponad przepierzenie i wystawiłam środkowy palec. A co mi tam. Niech wiedzą, co o tym myślę.

— Brawa dla tej pani! — zawołał Szymon.

Były to pierwsze ludzkie słowa, jakie usłyszałam. Nie wiedziałam, czy powinłam być za nie wdzięczna, czy raczej nieufna.

— Cóż, skończę to, co mam do skończenia, i idę do domu. Przynajmniej jutro się wyśpię.

\* \* \*

Zająłem się obróbką otrzymanego materiału.

Rzecz w tym, że tego wszystkiego było za dużo. Przekopywałam się przez dziesiątki informacji. Musiałam zdać się na intuicję, by wybrać, co jest ważne, ale nie za ważne, a co jest śmieciem. Ciało miałam odprężone. Oddychałam głęboko, by rozjaśnić myśli. Zadzwoiłam w parę miejsc, by sprawdzić niektóre szczegóły. Mózg działał jak komputer, a w brzuchu buzowała energia.

Spśród wielu wybrałam jedną sprawę. O sieci nielegalnych rozlewni wódek i kanałach, jakimi alkohol trafiał do sklepów. Miałam nawet adresy i nazwy lipnych firm, pod których szyldami działali. Wszystko podane jak na tacy.

Sama mi to dała.

Po swojej śmierci.

Ale jazda.

Piszę tekst, drukuję, czytam, wprowadzam poprawki, znowu drukuję.

Ciężka atmosfera wokoło ledwo docierała do mojej świadomości. Za to coraz uciążliwszy stawał się smród kawałka niedojedzonej pizzy, który choć wylądował dawno w koszu, wypełniał zapachem całe pomieszczenie. A już najbardziej wkurzał smród czyichś niepranych skarpetek. Ja nie miałam na nogach skarpetek, więc przynajmniej w tej kwestii byłam bez winy.

Dwie godziny później skończyłam.

Tak, teraz było w sam raz. Mogłam się rozluźnić.

Ze zbędnymi kartkami przeszłam się do niszczarki. Wszyscy wokół wydawali się wykończeni. W sumie atmosfera napięcia sprawiała więcej kłopotu im niż mnie. Zamiast zająć się pracą albo



opowiadaniem kawałów, mówili o mnie, zastanawiając się, co robić, by w przyszłości uniknąć takiej sytuacji. Trenowali asekuranctwo.

Gotowy tekst wysyłam mejlem na adres Lulu i naczelnego. Czy to rozsądne? A czy w ogóle w tej sytuacji można mówić o jakimkolwiek rozsądku? Nie robiłam tego ani ze strachu, ani dla osobistych korzyści. W ogóle nie kierowałam się żadną logiką.

Nie miałam innego pomysłu, co mogłabym z tym zrobić.

— Przykro mi, że was zostawiam, ale zasłużyłam sobie na urlop — powiedziałam chłopakom.  
— Nie wiem, kiedy się zobaczymy.

Wcale tak nie myślałam.

Nie wierzyłam, że nasze rozstanie potrwa długo. W ogóle nie martwiłam się o swoją przyszłość. Szefowie nie wypuszczą z rąk takich rewelacyjnych materiałów. One sprawią, że przez następne dni nakład gazety się podwoi, a o to przecież chodzi. O nakład. To ich pochłania, z tego czynią priorytet. Nakład, nakład, nakład, aż do otępienia. Bohater jest sprawą drugorzędną, dziś ten, jutro inny. Umarła, ale ile jeszcze można na niej zarobić?

Dałam im sensację w czystej formie i tylko ja mogę zapewnić dostęp do kolejnych materiałów.

Teraz idę do domu.

Jak będą chcieli, wiedzą, jak mnie znaleźć.

\* \* \*

Na dole wpadłam na Laurę.

Czy to nie dziwne, że tak ciągle na siebie wpadamy? Jak zwykle wybiegła skądś, a ja nie wyhamowałam na czas. Otarłam się o nią. Zapadło kłopotliwe milczenie.

— I co? — spytałam.

— Co „i co”?

— Wiesz, o co pytam.

— Jak chcesz się dowiedzieć, chodź ze mną, bo się spieszę. Znajomi czekają na mnie w pubie — powiedziała.

Jej propozycja wprowadziła mnie w lekkie osłupienie. Miała niemal posmak nieprzyzwoitości. Pójście z nią było ostatnią rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić, ale do domu też nie chciałam wracać. Zawahałam się i to wystarczyło, by wzięła mnie pod ramię i pociągnęła. Nie stawiałam oporu. Poczułam nawet lekki dreszcz podniecenia. Jeśli zamierzałam czegoś się dowiedzieć, musiałam zgodzić się na jej warunki.

Drogę do pubu po drugiej stronie ulicy przebyłyśmy w milczeniu. W sumie nie ubolewałam zbytnio, że idę, bo chętnie posiedziałybym z ludźmi, nawet jeśli to znajomi Laury. Miałam nadzieję, że rzeczywiście jacyś tam będą, gdyż luźna rozmowa z nią, sam na sam, raczej nie wchodziła w rachubę.

Na szczęście, mówiła prawdę. W knajpie był już spory tłumek, w większości naszych wspólnych kolegów z innych redakcji. I co najważniejsze, nie gadali o pracy, tylko o regatach. Pili, śmiali się, tańczyli. Im więcej pili, tym głośniejsze gadali o sprawach, o których mówić nie powinni.

Przyglądałam się Laurze. Już dawno jej takiej radosnej nie widziałam. Ona też co chwila zerknęła w moim kierunku. Kiedy napotykała mój wzrok, spuszczała oczy, pokasywała, odwracała się do kogoś innego. A potem towarzystwo się wyniosło i zostałyśmy przy stoliku same. Poczułam się nieswojo.

— Jak tam Michał? — spytała. Nie tego się spodziewałam. Było to pierwsze od bardzo dawna osobiste pytanie, jakie mi zadała.

— Dobrze — rzuciłam, bo chyba nie oczekiwała niczego bardziej szczegółowego.

Plunęła przez zęby czymś, co zabrzmiało jak „chłystek”, ale nie byłam pewna. Po chwili ciszy, która nie była ani kłopotliwa, ani niezręczna, powiedziała:

— Cieszę się.

Nie zmylił mnie jej zblazowany uśmiech. Wcale jej to nie cieszyło. Nigdy mi nie darowała, że wyszłam za Michała, że urodziłam Tomka. Jak mucha w bursztynie, tak i ona znieruchomiała w momencie mojego ślubu i w tej pozycji trwa do tej pory. Do redakcji gazety przysłała pół roku później niż ja. Wolałam nie wnikać w powody, jakie kierowały nią przy podejmowaniu decyzji o zmianie pracy. Jej sposób rozumowania i postrzegania świata zawsze napawał mnie przerażeniem. Musiałam ciągle z niej kpić, żeby budować barierę, której nie odważyłaby się przekroczyć.

Gdy miałam dwanaście lat, nauczyła mnie palić papierosy. Nie po kryjomu, w krzakach, ale publicznie. Znajdowałyśmy jakiś osiedlowy plac zabaw, rozganiałyśmy mniejsze dzieci i huśtałyśmy się, trzymając papierosy w zębach. Chodziło o to, żeby zeskoczyć z huśtawki, gdy znajdowała się w najwyższym położeniu, ale tak, by nie zgubić papierosa. I to było fajne, bo popisy przyciągnęły chłopców. Wcześniej przez całe życie nie widziałyśmy ich tyłu, co wtedy, gdy skakałyśmy z huśtawek z papierosami w zębach. Problem pojawił się, gdy przy którymś tam lądowaniu powinęła mi się noga i zaryłam twarzą w piach. Laura patrzyła i czekała, aż wstanę, i to jeden z chłopców podszedł i pomógł mi się pozbierać. Odprowadził mnie do domu i w rezultacie na tydzień o niej zapomniałam. To wtedy odkryłam, że urosły mi piersi i że usta służą do całowania. Przystałam palić papierosy. Po tygodniu nasze szczęście się skończyło, bo Laura powiedziała mi, że jestem chora na rzeżączkę. Uwierzył. Już wtedy potrafiła być sugestywna.

Mój pierwszy facet odszedł, a ona wróciła, by mnie pocieszyć, jak prawdziwa przyjaciółka.

\* \* \*

Sięgnęła ręką do torby i wyjęła kopertę. Coś się szykowało.

— Dzisiaj posłaniec przyniósł list do ciebie. Wzięłam go. Od tej kobiety. Myślałam, że... Nie wiem, co myślałam. Tam nie było żadnego listu. Gdyby nie to, co się stało, nigdy bym się nie przyznała. Ale może to jakaś wiadomość dla ciebie. Może będziesz wiedziała, o co jej chodziło. Obliczyłam, że jak list przyszedł, ona już nie żyła.

A więc Zofia naprawdę nie żyje. Spytałam o szczegóły.

— Chcesz wiedzieć?

Nie, pomyślałam. Mimo to skinęłam głową.

Powiedziała.

Dobrze mi tak. Po co pytałam?

— Policja potraktowała to jako wypadek. Nie miała przy sobie dokumentów. Nie wiadomo, kim była. Ci, którzy jej towarzyszyli, odjechali i zostawili trupa na jezdni.

Ogarnęła mnie fala gorąca.

Nie miałam podstaw, by nie wierzyć. Popatrzyłam ponuro i otworzyłam kopertę. W środku zabłysła perła na srebrnym łańcuszku. To nie był żaden wypadek. Zofia wiedziała, że zginie. Otworzyłam usta i natychmiast je zamknęłam. Laura i tak nie mogła dać mi żadnej odpowiedzi. Pozwoliłam, by razem ze mną wpatrywała się w perłę.

— Powiedz mi, o co chodzi.

Udałam, że nie słyszę.

Dotknęła mojej ręki. Jej palce przytrzymały mocno mój nadgarstek, przekazując ciepło. Ogarnęła mnie jakaś dziwna słabość. Byłam zażenowana zarówno jej poufałością, jak i własną reakcją.

— Nie wiem. — Cofnęłam się z niechęcią.

Wiedziała, że kłamię. Puściła mnie.

Wrzuciłam kopertę do torby, dopiłam swoje piwo i wyszłam. Ruszyła za mną jak cień. Z przejęcia nie pamiętałam, gdzie zostawiłam samochód. Musiało padać, bo w kałużach odbijały się światła przejeżdżających aut i ulicznych lamp.

— Czemu nie chcesz, żebyśmy pracowały razem... Przecież Michał nie musi wiedzieć... — mówiła drżącym głosem.

Jej oczy błyszczały.

Zatrzymałam się ogarnięta wściekłością. Ledwo łapałam oddech.

— Posłuchaj. Nie chodzi o Michała. Po prostu nie chcę z tobą pracować. Zrozum to wreszcie i zostaw mnie w spokoju.

Zatrzymałam taksówkę.

Wracałam do pustego domu, a po drodze wyobrażałam sobie Michała, jak siedzimy i gadamy, robimy sobie herbatę, nalewamy koniaku. To Michał nalewa, a ja przełączam kanały w telewizorze. Popijamy, oglądając jakąś chałę. Potem idziemy spać, kochamy się przed snem. Tak powinien wyglądać ten dzień.

Potem, już w domu, stałam z czołem opartym o chłodną szybę.

Chłopak siedział na ławce w ogrodzie z głową zwieszoną między kolanami. Jego plecami wstrząsały dreszcze. W świetle lampy widać było lśniąca strużkę koło nosa. Trudno powiedzieć, czy to łzy, czy gile. Wiem, że wchodził do domu. Pewnie wydawało mu się, że jest przebiegły, bo nie zostawia żadnych śladów. Buty zdejmował przy drzwiach, tylko tam wyczuwałam ich smród. Nie zdawał sobie sprawy, że wszędzie, gdzie był, zostawiał swój zapach. Fotel i kanapa pachniały jego ciałem. Nie zamierzałam uświadamiać mu, że wiem. Jeśli się zdradzę, przestraszy się i odejdzie. Chciałam, żeby jeszcze trochę ze mną pobyl.

Patrzyłam na niego ze ściśniętym sercem.

Od tak dawna nie musiałam okazywać współczucia innej osobie, że zapomniałam, jak to się robi. Mogłam bez trudu zaoferować mu pomoc, ale musielibyśmy oboje przestać udawać.

Powinnam go przynajmniej spytać, czy nic mu nie jest.

Otworzyłam szerzej okno.

— Potrzebujesz czegoś? — spytałam.

— Pieprz się.

W myślach usiadłam obok niego i położyłam mu rękę na głowie. Czułam się jak kura, która pogubiła własne pisklaki i gotowa była przyjąć obce kaczątko, mimo że miało płaski dziób i kwakało. Jedno, co mogłam dla niego zrobić, to być przy nim w przestrzeni, którą sobie stworzył.

Zostawiłam uchylone okno w kuchni.

Czułam się zmęczona. Pragnęłam tylko zamknąć oczy i spać, ale czekałam na telefon. Znów skupiłam się na Michale. Cały dzień nie miałam z nim kontaktu. Odtwarzałam go sobie kawałek po kawałku, szczególnie po szczególe. Wyciągam rękę, natykam się na jego głowę i przyciągam do siebie. Jego twarz się przybliżyła. Widzę wyraźnie pieprzyk koto ucha i drugi nad brwią. Jego usta lekko muskają moje wargi. Wstrzymuję oddech. Ogarnia mnie drżenie. Głaszczę rękami brzuch. Kłębiące się w głowie myśli powoli się uspokajają. Przytulam poduszkę i zasypiam.

Tej nocy byłam u niego. Miał dziecko. Puszczali latawca i nie poznali mnie. Patrzyłam na nich z oddali. Chciałam się przyłączyć, ale biegli i byli coraz dalej. Udawali, że mnie nie słyszą. Zadzwoił telefon i musiałam wracać.

Zerwałam się nieprzytomna.

Była druga nad ranem. Serce biło mi jak oszalałe, jakby ten dźwięk miał być sygnałem do ataku. Michał. Coś z Michałem!

To jednak nie telefon. W kuchni brzęknął czajnik. A potem usłyszałam kroki, przesuwane krzesło, szum gotującej się wody i jeszcze wyraźniejszy, wody nalewanej do kubka. Łyzeczka, cukier, siorbnięcie. Podejrzenie, że tu zachodził, zupełnie mi nie przeszkadzało, ale jego obecność to już całkiem co innego. Trzask otwieranej lodówki był dla moich uszu nie do zniesienia, jakby tuż obok przeleciał odrzutowiec. Zaciśnęłam zęby i okryłam głowę kołdrą, udając, że nie słyszę dobiegających z dołu dźwięków.

Kogo chciałam oszukać? Zwyczajnie się bałam.

Spędziłam jakiś czas, wpatrując się w przestrzeń, która zwykle wygląda jak ściana oddzielająca sypialnię od reszty domu. A potem zadzwonił budzik i okazało się, że to już siódma. Strach, który odczuwałam w nocy, jeszcze teraz tkwił w brzuchu, ale był już tylko małym, gładkim kawałkiem szkła lekko przesuwającym się po podbrzuszu.

Nie bolało, tylko czułam jego ciężar.

Dzisiaj są moje urodziny. Trzydzieste szóste.

Jedyna myśl, jaka w związku z tym przyszła mi do głowy, była taka, że wkrótce będę za stara na dziecko.

## 20

Niebo na wschodzie jaśniało, a chmury od spodu robiły się czerwone.

Obserwowałam, jak ulica budzi się do życia. Patrzyłam na idących ludzi, pozdrawiających się nawzajem, na samochody dostawcze. Czas płynął niepostrzeżenie.

Kolejny dzień bez Michała.

Nie wiem, czemu sądziłam, że moje życie bez niego będzie toczyło się normalnie.

Nic nie było takie samo. A dzisiaj na dodatek nie musiałam nawet wstać, żeby iść do redakcji.

Jak każdy samotny człowiek zaczęłam wypatrywać mrugającego światełka sekretarki. Może ktoś zostawił wiadomość, gdy spałam. Nie, nic nie ma. Odtwarzałam więc wcześniejsze nagrania, których nie zdążyłam jeszcze skasować. Chociaż w ten sposób mogłam posłuchać głosu Michała.

Zsunęłam kołdrę i patrzyłam na swój płaski brzuch.

W domu panował zupełny bezruch.

Telefon zadzwonił, gdy wstawałam.

Pozwoliłam, by brzęczał. Od jego dźwięku rozwibrował się stolik, zaczęło falować powietrze i pokój na moment ożył. Odebrałam dopiero po piątym sygnale.

— Wszystkiego najlepszego, kochanie. Jak sobie radzisz?

Zwyczajowe życzenia, zwyczajowe pytanie. Jego głos jest irytująco beztroski. Mówi, jakbym była znajomą, do której się zwraca z życzliwym słowem. Na końcu języka miałam brzydką odpowiedź, bo kołatał się we mnie żal o wczoraj. Michał tłumaczył, że pracowali do późna, ale nie uwierzyłam i dlatego nie powiedziałam mu, co się dzieje. Nie pamiętałam, co ostatnio nakłamałam, a dzisiaj dołożyłam następną porcję.

Prawie nie słuchałam jego paplaniny, bo moje myśli błądziły gdzie indziej. Chodziło mi o to, że mam trzydzieści sześć lat i jestem sama. Zastanawiam się, na co poszłabym do kina, gdybym miała z kim.

Michała poznałam w kinie. Oglądałam trzeci raz „Pretty woman” i oczywiście znowu płakałam ze wzruszenia. Już na pierwszym seansie go zauważyłam. Zamiast na Julię Roberts, gapił się na mnie. Od razu mi się spodobał, bo był podobny do Gere’a. Na kolejnym seansie siedział bliżej, na trzecim znalazł się przy mnie. Czekałam na to z niecierpliwością. Potrzebny był mi ktoś, kto by mi pomógł oderwać się od Laury. Od momentu, gdy usiadł przy mnie, nigdy się nie rozstawaliśmy. A teraz z przerażeniem uświadomiłam sobie, że każdego dnia pamiętam go coraz mniej. Co się dzieje?

— Hej, jesteś tam?

— Brakuje mi ciebie — mówię.

Postanawiam solennie, że gdy Michał wróci, zmienię się i będę lepsza.

Ale nie wcześniej.

\* \* \*

Zaczęłam przeglądać wiadomości w Internecie. Mało tego było. Tyle tylko, że w wypadku zginęła kobieta podejrzewana o współpracę ze światem przestępczym. Byłam przekonana, że informacja o jej śmierci wywołała uśmiech ulgi na wielu twarzach. Włączyłam telewizor. To samo, czyli nic. Poszłam do kiosku po gazetę. Przejrzałam ją jeszcze na ulicy. Kibice wracający z meczu zniszczyli kilkadziesiąt autobusów, otwarto nowy pasaż handlowy z pięćdziesięcioma restauracjami, kilkoma muzeami i kinem, w którym jest piętnaście sal projekcyjnych; samolot premiera miał awarię, jajka podrożały, a mięso staniało; zmarł ważny profesor, lecz dla równowagi urodziło się dziecko znanej aktorki.

Nie było mojego artykułu.

A czego niby się spodziewałam?

Mimo wszystko czułam się rozczarowana. Niemal poryczałam się ze złości, ale nic nie mogłam zrobić. Byłam bezsilna. Uświadomiłam sobie z goryczą, że doznałam porażki. Moja pierwsza duża sprawa zakończyła się niepowodzeniem. Wydało mi się to ogromnie niesprawiedliwe. To przecież był fajny materiał. Dlaczego go odrzucili?

Odszukałam notatkę Laury.

Była dopiero na czwartej stronie. Dwie linijki. We wszystkich dziennikach to samo. Dwie linijki. Owszem, jestem przekonana, że współczesnemu światu nie potrzeba aż tak wielu informacji, ale śmierć tej kobiety powinna postawić wszystkich na nogi. Policja i prokuratura już powinny działać. Dlaczego zapanowała taka cisza? Ktoś kiedyś powiedział, że w czasie wojen prawdziwych władców politycy chowają głowy w piasek, a policja udaje, że nie istnieje. Tak samo jest chyba z wydawcami gazet. Wychodzą z założenia, że lepiej się nie wtrącać, gdy trwa walka o łupy.

W radiu jakiś pajac trajkotał o sprawach, które jemu wydawały się ważne. Przekręcał nazwiska i nazwy miejscowości, a każdą informację podsumowywał własnym komentarzem, ale w końcu powiedział coś, co dosłownie zważyło mnie z nóg:

— Jak donosi CB radio, policji nie udało się akcja na nielegalną rozlewnię wódek. Zastali pustą halę, bo w nocy wszystkie urządzenia produkcyjne zostały wywiezione.

Jedna rozlewnia? A reszta?

O reszcie nie było nawet mowy. Przyszło mi do głowy coś tak nieprawdopodobnego, że aż zrobiło mi się zimno i trochę strasznie. Ktoś wykorzystał informacje z artykułu, który się nie ukazał, i położył łapę na majątku Zofii.

No cóż, chyba rzeczywiście ta sprawa mnie przerasta. Nie mam zamiaru wtrącać się w konflikty panów tego świata. Powinam się odprężyć i po przymusowym urlopie wrócić do

zwykłych spraw, jakimi zajmowałam się dotąd. Do znużonej pisaniny o sprawach i ludziach, którzy mnie nie interesują. A ponieważ nie szanuję swojej pracy, nigdy nie zrobię na czytelnikach wrażenia. Ja coś naskrobię, oni przebiegną po tym wzrokiem, nikt niczego nie zapamięta, bo nie będzie tam nic godnego uwagi.

Tak będzie znowu, gdy wrócę do redakcji.

Ale to dopiero za kilka dni.

Gazety, w której nie było mojego artykułu, użyłam do wytarcia mokrej podłogi w kuchni.

\* \* \*

Postanowiłam ten wolny dzień przeznaczyć wyłącznie dla siebie.

Zrobię to, co od dawna sobie obiecywałam, ale odkładałam z powodu braku czasu. Dziś tego czasu miałam dość.

Przez następne pół godziny usiłowałam ustalić listę spraw do załatwienia w pierwszej kolejności, lecz jakoś nie mogłam sobie przypomnieć nic aż tak ważnego.

No dobra, jako punkt pierwszy wpisuję, że za wszelką cenę postaram się nie wychodzić z domu.

Zjadłam śniadanie, rozmyślając o wszystkich tych wydarzeniach z ostatnich dwóch dni, które sprawiły, że moje życie przewróciło się do góry nogami. I przez które muszę teraz siedzieć sama w domu. Sama? Chyba nie tak całkiem. Przypomniłam sobie nocnym buszowaniu w kuchni. Aż do tej chwili o tym nie pamiętałam, bo też nie zauważyłam niczego, co wskazywałoby, że w ogóle tu był. Rozejrzałam się uważniej i dopiero po mikrośladach zorientowałam się, że korzystał z kuchenki mikrofalowej, pił z zielonego kubka. Odstawił go dokładnie na to samo miejsce, tyle że we wnętrzach innych widać było ciemne ślady po herbacie, a zielony wyszorowany był do czysta.

Jaki porządny!

Zostawiłam nadgryzioną kanapkę i poszłam w głąb ogrodu, by sprawdzić, czy nadal tam jest. Był. Jeszcze spał. Rozczulił mnie jego głęboki sen. Postanowiłam posiedzieć i popatrzeć na niego, póki się nie zbudzi. Usiadłam pod drzewem i poddałam się ciszy. Monotonne brzęczenie owadów działało uspokajająco. Pachniało miętą. Zamknęłam oczy i pograżyłam się w błogostanie. Słysząc było dźwięki dzwoniącego drzewa. Chciałam jak najdłużej wytrwać w tej szczęśliwości. Kiedy byłam mała, uwielbiałam chować się w zaroślach i czekać, aż mnie znajda. Zaslona z liści odcinała od świata, trwałam nieruchoma i miałam wrażenie, że zaraz sama stanę się drzewem albo ptakiem.

Nie czułam własnego ciała, unosilałam się w powietrzu.

Byłam częścią wszystkiego.

*Przyjęli mnie do grupy i uczyli tego, co potrzebne, by żyć jak oni. Podobałam im się, bo nie było we mnie strachu. Oni bali się wielu rzeczy, co mnie najpierw dziwiło, wcześniej myślałam, że tacy jak oni są nieustraszeni. Ale żaden z nich nie miał wrodzonego węchu. To ja wyczuwałam zagrożenie. Smyrało mnie pod sklepieniem czaszki i to był znak, że nie wszystko jest w porządku. Należało dać sobie spokój, póki smyranie nie zniknie. Podobno niektóre zwierzęta wyczuwają trzęsienia ziemi, powodzie albo zbliżanie się człowieka. Ja byłam takim zwierzęciem z pierwotnym instynktem. Kilka razy przekonali się, że mam rację, a potem szli na akcję tylko wtedy, gdy mówiłam, że można. Boguś się wściekał i mówił, że to z powodu płci i ciąży. Możliwe, ale dzięki węchowi nabrałam znaczenia w grupie. Oni uczyli mnie, jak żyć, a ja ich, jak przeżyć.*

Znowu ona.

Bez żadnego wysiłku ze swojej strony odnajdywałam w sobie jej wewnętrzny świat. Na moment stawiałam się nią. Chłopak jęknął.

Wróciłam do rzeczywistości.

Zamrugałam, by odegnać sen.

Przewrócił się na wznak i zobaczyłam wylazące spod brudnego opatrunku zaognione brzegi rany. Podniosłam się i dotknęłam plastra. Uniosłam go lekko. Brrr. Młody skulił się, wstrząsnął nim dreszcz, chyba cierpiał, ale się nie obudził. Położyłam mu dłoń na czole i to go uspokoiło. Miał gorączkę. Potrząsnęłam nim delikatnie. Zbudził się i spojrzał nieprzytomnie. A potem gwałtownie odzyskał świadomość i zerwał się na nogi. Był przerażony. Nieporadnie wyciągnął coś z kieszeni. Nóż. Właściwie scyzoryk.

— Daj spokój, chodź ze mną.

Ruszyłam, nie oglądając się, nie sprawdzając, czy posłuchał.

Odgłos kroków tuż za mną trochę mnie przerażał, a trochę cieszył. Chłopak szedł powoli, bo drżały mu nogi. Oddychał z trudem. Kiepsko z nim było. Obił się o futrynę.

— Nie boisz się? — zapytał ściszym głosem.

Właściwie nie przyszło mi do głowy, że powinnam się bać, ale tym pytaniem uświadomił mi, że chyba rzeczywiście jestem nieostrożna. Powinnam kazać mu iść przodem.

— Lepiej ty się bój, bo za chwilę będę robić porządek z twoją głową. Uprzedzam, że może boleć. Zobaczymy, jaki z ciebie bohater.

Poleciłam mu usiąść w kuchni, przy stole.

Przyniosłam wodę utlenioną i zerwałam stary, przegniły opatrunek. Potem oczyściłam ranę. Wydłubałam brud. Woda utleniona pieniała się z sykiem. Chłopak napiął twarz z wysiłku, ale nie jęknął. Twardziel. To ja miałam gęsią skórę. Smród rozkładającego się ciała wywoływał mdłości. Starłam się opanować gorycz wypływającą z żołądka. Nałożyłam maść gojącą i świeży opatrunek. Będę musiała pamiętać, by wejść do apteki po większy zapas.

Dałam mu aspirynę i szklankę gorącego mleka. Był posłuszny jak dziecko. Moje komenderowanie sprawiało mu chyba ulgę. Chwilę się wahałam, nim poszłam na górę pościelić mu łóżko. Owo wahnięcie to myśl, że powinnam uzgodnić tę gościnę z Michałem. Nadal nie przyzwyczaiałam się do myśli, że jestem sama i muszę o takich sprawach decydować bez niego. Odczułam nagłą tęsknotę. Chciałabym, żeby był przy mnie. Miałabym się do kogo przytulić.

— Ściągnij te lachy.

Poddał się mojej woli. Został w brudnych slipach. Ledwo trzymał się na nogach. Kazałabym mu się najpierw wykapać, ale wąpiłam, by ustał w kabinie. Mógłby mi tam zemdleć. Niech się kładzie brudny. Zdąży się umyć później.

Stałam w drzwiach, jak zapadł w sen. Był taki bezbronny. Zostawiłam go w spokoju. Niech śpi. Ale jeszcze raz wróciłam, by narzucić na kołdrę wełniany koc. Wyrzeje się, to szybciej mu minie.

Scyzoryk położyłam na stoliku przy łóżku, żeby go miał pod ręką, jak się obudzi.

\* \* \*

Przez resztę przedpołudnia zajmowałam się wyłącznie sobą, czyli robiłam pranie, umyłam głowę, opilałam paznokcie, przejrzałam buty. Zadowalało mnie skupianie się na jednej rzeczy naraz. Gdy zabrakło mi pomysłów, puściłam kasetę z filmem, którego nie obejrzałam wtedy, gdy oglądali go wszyscy, ale w połowie byłam już trochę zagubiona. Nie treścią, tylko godzinami, które mijały tak powoli.

Choć przedarłam się przez połowę dnia, to miałam jeszcze przed sobą całe popołudnie, wieczór i noc. Nie wiem, jak sobie dam z tym radę.

Zatrzymałam film.

Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że nie wykorzystuję swojej wolności tak, jak powinnam. Mogłam jeszcze poczytać co nieco, napisać zaległy artykuł, obejrzeć drugi film, ale to wszystko było jakieś bez sensu. Nie miało w sobie kleju, chyba rozumiecie, o czym mówię.

Zrobiłam porządek w torbie. Ciekawa rzecz; bez względu na to, jak wielką kupię, wszystko momentalnie w niej ginie, jak w czarnej dziurze. Żeby skrócić poszukiwania, wytrząsnęłam zawartość na stół. Powyrzucalam zbędne notatki, zużyte chusteczki, papierki po wafelkach i na dnie tego bałaganu znalazłam perłę na łańcuszku. Całkiem o niej zapomniałam. Wahałam się moment, nim ją włożyłam. Resztę chlamu zgarnęłam z powrotem do torby. Już nie miałam do tego cierpliwości.

Zaczęło mnie nosić.

Musiałam pobiegać.

Zrobiłam kilka rund po schodach i dopiero, gdy byłam całkowicie wyczerpana, położyłam się na pomoście. Woda przepływała o centymetry od moich nóg. Niosło się po niej dzwonienie. Słońce kładło złote plamy na fale. Rzucalam w nie kamieniami i zdawało mi się, że czas znów znika gdzieś w bladym świetle, jest coraz bardziej przezroczysty, traci kolor i znaczenie.

I znowu w moim mózgu coś przeskoczyło.

Poczułam nagły zamęt i zaczęłam się bać. Doznałam tego wrażenia z niezwykłą siłą, choć to nie ja się bałam.

To był strach kogoś innego.

Podbrzusze płonęło żywym ogniem. Ból rozrywał wnętrzności. Co jakiś czas rozpadałam się na tysiące kawałków i wtedy ogarniała mnie łaska ciemności. Potem znów się budziłam i udręka zaczynała się od nowa. Nigdy nic nie wypali mi tego bólu z pamięci. Śmierć stała w kącie za zlewozmywakiem. Stukała kosą w czajnik i tym pobrzękiwaniem zmuszała, żebym na nią patrzyła. Żebym się jej bała. Nie bałam się. Chciałam jej oddać to, co miałam w sobie. Ale ona wolała mnie. Podeszła krok bliżej, już prawie mnie miała. Przepłoszył ją sygnał karetki. Odeszła niechętnie, z uśmiechem wskazującym, że będzie w pobliżu. Pogardziła moim płodem. Ale żebym pamiętała o jej wizycie, zostawiła na czajniku dziesiątki rys i wgłębień.

Słyszałam metaliczne podzwanianie.

Powietrze wokół mnie wibrowało.

Ciągle siedziałam na pomoście.

Słońce zbliżało się do zenitu, jaskółki śmigły nisko, pies sąsiada czekał. W którymś momencie zobaczyłam, jak moja dłoń poruszyła się w rzeczywistym świecie. Czas wrócił na swoje miejsce. Bezwiednie pogładziłam się po brzuchu. Zdziwiłam się, że jest płaski. Tracę rozum czy co?

Pochyliłam się i nabrałam w dłoń zimnej wody. Ochlapałam się.

Wstałam i wróciłam do domu.

\* \* \*

W holu natknęłam się na lustro, a w nim twarz, trochę moją, bardziej cudzą. Padające przed otwarte drzwi światło rozciągnęło i zmieniało układ oczu i ust. A może to perła na szyi spowodowała zawirowanie pamięci i przywiodła na myśl tamtą twarz, bo to ją zobaczyłam zamiast siebie.



Przesunęłam ręką po szyi i trafiłam na łańcuszek. Twarz w lustrze znów stała się moja, tylko bardziej wyrazista niż w rzeczywistości.

Mogłabym jeszcze tak stać i gapić się na siebie — nie siebie, ale usłyszałam chrzęst zatrzymującego się na podjeździe auta. Czwartek to dzień wywożenia śmieci. Musiałam wyjść przed dom i otworzyć furtkę, za którą stoi pojemnik.

Już miałam klucz w ręku, gdy dotarło do mnie, że nie słyszę huku śmieciarki. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam wysiadającą z taksówki Laurę. A niech to szlag. Tylko jej tu brakowało. Co za lichy ją tu przyniosło.

W wyobraźni wykopałam ją za drzwi, ale w rzeczywistości, gdy zadzwoniła, otworzyłam i wpuściłam do środka.

— Przejeżdżałam, to wpadłam.

— Akurat.

Obie wiemy, że moja okolica jest taka, że nie ma po co zbaczać, chyba że się tu mieszka. Nie mówię więc, że dobrze zrobiła.

Nie zapraszam, by usiadła.

Nie proponuję kawy.

Wolę, żeby wiedziała, że jej tu nie chcę.

Ma przekrwione oczy. Pewnie nie spała. Chyba piła. Na pewno piła, skoro wzięła taksówkę. Patrząc na nią, odczułam dziwny ucisk w brzuchu. Tamte czasy, gdy coś dla mnie znaczyła, dawno minęły i do diabła z nimi. Szczerze mówiąc, żal mi jej, ale z drugiej strony, nie czuję do niej też sympatii. Nie potrafię wyobrazić sobie, że od nowa zaczniemy wałkować temat naszej przeszłości. Tamto już dawno dla mnie nie istnieje i nawet gdy o tym myślę, wydaje mi się, że zdarzyło się komuś innemu.

Nawet nie pamiętała o moich urodzinach.

— Co u ciebie? — spytała, a ja przez moment, jedną króciutką chwilkę, chciałam się poskarżyć, by wziąć ją na litość „marnie, nic mi nie idzie”. Na szczęście zdołałam się opanować.

— W porządku. Dzięki za zainteresowanie.

— Pomyślałam, że może chcesz wiedzieć, co się dzieje z twoim nowym artykułem.

Wzruszyłam ramionami.

Oczywiście, że chcę, ale nie od ciebie, pomyślałam.

— Jak szef będzie miał zamiar coś na ten temat powiedzieć, sam do mnie zadzwoni, nie musi przysyłać gońca.

Rozejrzała się, bo dawno tu nie była, a ja uświadomiłam sobie, że zaniedbałam dom. Dostrzegłam kurz na włączniku światła i obiecałam sobie, że jak tylko Laura wyjdzie, wezmę się do sprzątanía. To chyba jedna z rzeczy, które miałam zrobić w wolnej chwili.

— Skąd bierzesz te wszystkie informacje? — Przeszła do rzeczy, widząc, że gra wstępna jest stratą czasu. Po to przecież przyjechała.

Nierozsądnie jest mówić Laurze prawdę, ale ja to zrobiłam.

— Same do mnie przychodzi.

Chyba nie zrozumiała albo nie uwierzyła. Czekala, aż powiem coś jeszcze. Niech sobie czeka.

— Jeszcze jakieś pytania? — warknęłam, pragnąc, by zabrzmiało to maksymalnie nieuprzejmie. Marzyłam, żeby już sobie poszła. Na tym mi zależało, a nie na jej samopoczuciu.

— Nie chcesz powiedzieć, to nie. I tak się dowiem — fuknęła gniewnie i ruszyła w stronę drzwi.

Śledziłam ją nieufnym wzrokiem, nie bardzo wierząc, że już, tak szybko, zaledwie po dwóch minutach zrezygnowała. Niemożliwe. To nie w jej stylu.

— Wiesz, jak to jest z tym wyjazdem Michała? — spytała, stojąc już w progu. Uśmiechnęła się przy tym niepewnie, by dać mi do zrozumienia, że sama jest zakłopotana sytuacją.

Miałam rację, nie wierząc, że odejdzie bez walki.

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Nie rozumiałam, o czym, do cholery, mówi. Ale mogłam być pewna, że nie powiedziała tego ot, tak sobie.

— Dostał angaż za kogoś, kto zrezygnował — wyjaśniłam i zrobiło mi się niedobrze na myśl, że to zła odpowiedź.

— Bo jako jedyny zgodził się na warunki Czernika. W zamian za to Czernik otworzy mu drogę do stanowiska dyrektora programowego...

Stałam jak porażona.

Wiedziałam, że ma rację, od pierwszej chwili gdy to usłyszałam. Dlaczego wcześniej sama na to nie wpadłam. Czułam się tak, jakbym dostała pięścią w brzuch. Nie mogłam nic odpowiedzieć. Pamiętam, jak Michał parę razy o tym napomykał, ale nie chciało mi się go słuchać. I ten telefon tuż przed jego wyjazdem. Próbowałam nie dać po sobie poznać, jak bardzo mną to wstrząsnęło, ale czułam żar na policzkach. Byłam zażenowana i jednocześnie zawstydzona, że tak łatwo okazuję emocje.

Co powinnam teraz powiedzieć?

— Nie wierzę — odparłam wbrew temu, co czułam.

Laura wzruszyła tylko ramionami.

Nawet jeśli nasze kontakty nie były szczególnie serdeczne, trudno uwierzyć, by mogła zdobyć się na takie insynuacje, gdyby nie miała mocnych dowodów na poparcie swych słów. Była pewna tego, co mówiła. A z taką wiedzą mogła stać się uciążliwa. I to właśnie dała mi do zrozumienia.

— Twój mąż związał się z Czernikiem. A kobieta, która zginęła, była główną konkurentką Czernika. Wygląda na to, że swoim artykułem pomogłaś ją wyeliminować. Może nawet, jak twierdzi Lulu, nieświadomie, ale mnie przychodzi na myśl co innego.

Uśmiechnęła się drwiąco i widząc pewnie, jak zaczynam się trząść, położyła mi rękę na ramieniu. Przez chwilę pozwoliłam patrzeć sobie w oczy, a potem pokręciłam głową ostrzegawczo, aby powstrzymać Laurę przed tym, co miała zamiar zrobić albo powiedzieć. Cofnęła rękę, ale nadal czułam na ramieniu jej ciężar. Wgniał mnie w ziemię. Z największym trudem opanowałam drżenie podbródka.

Ku własnemu zdziwieniu nie rozplakałam się.

*Nie mogłam się nadziwić, ilu zasad trzeba przestrzegać, żeby przeżyć.*

*Jeśli będziesz oglądać się na innych, uznają cię za mięczaka i spiszą na straty. Nie odzywaj się, jeśli nie masz nic do zaproponowania. I nigdy, przenigdy nie daj się obrzucać gównem. Kiedy raz na to pozwolisz, utopią cię w szambie. Jeśli chcesz, żeby cię szanowali, strzelaj, bij się, gryź, walcz, nawet jeśli wiesz, że nie masz szansy wygrać. Lepiej przegrać w walce, niż dać się opluwać. Ale jeśli już walczysz, włóż w to całą swoją siłę, jakby ta walka miała być ostatnia w twoim życiu. Nie zostawiaj sobie rezerw, bo mogą już nigdy ci się nie przydać, jeśli ich nie wykorzystasz w tym momencie. I nigdy nikomu nie ufaj. Nawet swoim.*

Podobało mi się to.

I wiecie co? W jednej chwili byłam przerażona, a w drugiej już nie.

Przyszło mi na myśl, że nie powinnam we wszystko wierzyć, bo nie zawsze sprawy przedstawiają się tak, jak wyglądają na pierwszy rzut oka. Każde dowolne zestawienie faktów może nabrać takiego sensu, jakie zechce nadać mu komentator. A Laura była sprawnym komentatorem, ale z pewnością nie takim, który szukałby wytłumaczenia dla Michała i powodów jego działań.

Musiałam najpierw sama wszystko sprawdzić.

Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, powstrzymałam się jednak. Potwierdziłabym tylko, że nic nie wiem, a takie okazywanie słabości do niczego dobrego by nie doprowadziło.

— A teraz bądź taka dobra i powiedz mi, jak zdobywasz te wszystkie wiadomości. Bo jeśli nie, to rozgłoszę o Michale całemu światu. Wiesz, że dla mnie to żadna sprawa.

Zapadło niezręczne milczenie.

Miałam świadomość, że zostało mi rzucone wyzwanie i nie pozostawało mi nic innego, jak na nie odpowiedzieć.

Patrzyła krytycznie, czekając na mój ruch.

Tak naprawdę nie chodziło jej o Michała, tylko o moje źródło informacji. Tak bardzo jej na nim zależało, że robiła się agresywna.

Zapomniałam już, jaka jest Laura. Nie wiem, dlaczego zaczęłam wierzyć, że jej samotność, zgorzknienie i złość to mechanizmy obronne przed złym światem, który jej dokopał. Ale to nie wina świata. Ona po prostu taka jest; samotna, zgorzkniała i zła. Jej wyzywające spojrzenie mówiło, że powinnam sobie jasno uświadomić, że jest gotowa na wszystko. Nienawidziła Michała na tyle, by móc to zrobić. Gdy się uśmiechnęłam, odpowiedziała łagodnym uśmiechem.

Gotowa była mi wybaczyć.

Sądziła, że wygrała, że mam dla niej propozycję.

Nie miałam żadnej.

Czułam dziką pasję wzbierającą w piersi. Bałam się, że wybuchnę. Powtarzałam sobie, że nie mogę być aż tak wściekła, żeby wyrzucić ją za drzwi.

Nie mogę jej tak po prostu wywalić.

A przynajmniej nie powinnam trzasnąć drzwiami, gdy już ją wypchnę.

— Wynoś się — powiedziałam całkiem spokojnie.

Coś jeszcze mówiła, a mnie to już guzik obchodziło. Jej widok doprowadzał mnie do białej gorączki. Musiałam się jej pozbyć. Musiałam. Nic się nie liczyło.

Naparłam na nią, żeby się cofnęła. Otworzyła jeszcze usta i zamilkła. Przez ułamek sekundy wyglądała na zdumioną, nim zmusiła wargi do uśmiechu. Poczekała, aż się zbliżę, i wyciągając rękę niby do pożegnania, przesunęła nią po mojej piersi. Bez namysłu otworzyłam drzwi, chwyciłam Laurę za klapy żakietu i wypchnęłam, a potem nie czekając, aż znajdzie się za progiem, trzasnęłam z rozmachem. Drzwi lekko wyhamowały, chyba ją walnęłam. Od razu poczułam się lepiej.

Nie mogłam przynajmniej powiedzieć, że się nudzę.

\* \* \*

Wolno obeszłam pokój.

Zrobiłam trzy okrążenia, nim wyrzłam przez okno.

Pogoda znów się psuła. Wystukałam numer Michała, ale jego komórka była wyłączona. Nie miał tam widocznie żadnej pani Marty, która by odbierała telefony. Jakoś mnie to nie uspokoiło. Wprost przeciwnie.

Chyba z milion razy dzwoniłam, bo wolałabym bezpośrednio od niego dowiedzieć się czegoś o tym angażu, ale skoro nie dał mi szansy, zdobyłam się na odwagę i zadzwoniłam do jego firmy. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Wszyscy nabrali wody w usta.

Odszukałam prywatny numer Marty.

— Taaaak? — Sprawiała wrażenie zaskoczonej, że nic nie wiem. — Zmylił mnie ten artykuł pełen pochlebstw... Dlatego sądziłam, że...

Tak samo jak Laura.

Widziała w naszym działaniu współpracę. Coś mi się zdawało, że trafiłam wprost na źródło informacji Laury o Michale.

Po pięciu minutach moich jęków pękła i wyklepała wszystko, co wiedziała o niespodziewanej i głupiej decyzji Michała.

To, czego się dowiedziałam, zważyło mnie z nóg.

— Chryste, to stało się tak nagle... Michał dosłownie w jeden dzień zwariował na punkcie projektu przedstawionego przez Czernika. Słyszeliśmy o czymś takim, ale pobieżnie, była już lista tych, którzy ewentualnie mogli wchodzić w rachubę jako realizatorzy, a tu nagle telefon z propozycją. I w ciągu kilkuminutowej rozmowy okazało się, że ten projekt to marzenie Michała. Widać było, że naprawdę go wzięło. Po prostu oszalał. Zerwał kontrakt, który realizował, i zgodził się na natychmiastowy wyjazd. Nawet to, że forsa na realizację programu jest dziwna i że wszyscy są pełni wątpliwości, nie miało znaczenia. On nie miał żadnych wątpliwości. W ciągu jednego dnia przewrócił wszystko do góry nogami. Wyszło na to, że jest człowiekiem Czernika i pracuje na jego popularność. Dyrektor się wściekł i oskarżył go o nielojalność. Zapowiedział, że do wytwórni nie ma już po co wracać. Zgodnie z umową zostanie obciążony kosztami przerwanej produkcji. A straty są naprawdę duże, rzędu setek tysięcy... Czyste wariactwo.

Boże. Dlatego nikt ze mną nie chciał gadać.

Skąd Michał weźmie taką forszę? Jedyńm majątkiem, jaki mamy, jest dom.

Dom???

Moje serce zastygło na moment, a potem przyspieszyło.

O, nie, do cholery! W to nie mogłam uwierzyć. Nie, to po prostu niemożliwe. To nie mogło być tak. Michał nie mógł zrobić czegoś tak głupiego bez istotnego powodu. Nie on. Znam go zbyt dobrze.

\* \* \*

Siedziałam nadal w dresie i wpatrywałam się w aparat telefoniczny, jakby był żywym stworzeniem, które lada moment rozbudzi się i opowie mi, co się dzieje.

A co, jeśli...

Nie, niemożliwe.

Ale przecież wyjechał i mnie zostawił, więc równie dobrze mógł zrobić jeszcze inne rzeczy.

Położyłam się na podłodze, bo łatwiej było się położyć niż wstać.

Boże!

CO? PODOBNO NIGDY NIE JEST TAK ŻLE, ŻEBY NIE MOGŁO BYĆ GORZEJ.

No, dzięki.

Ale jeśli tak, to po prostu nie będę się teraz niczym przejmować.

Wstałam.

Wyjrzałam przez okno. Oparłam dłonie o parapet i odetchnęłam głęboko. Chciałam pozbyć się na chwilę tych wszystkich myśli, uczuć i wątpliwości. Gdy godzinę później wyszłam przed dom, zastałam na schodach werandy Laurę. Siedziała i chlipała. Pod nosem miała zaschniętą krew. Musiałam jej chyba przywalić drzwiami.

Siedziała tu cały czas.

— Dobrze się czujesz? — spytałam, a moja lewa ręka nieświadomie zaczęła ją poklepywać po plecach.

Okazane współczucie przyjęła łaskawie, traktując je jako nawiązanie do poprzedniej rozmowy. Sądziła pewnie, że zmadrzałam, i teraz nawiążemy rzeczowy kontakt.

Zrobiła wdech i wydech, dając do zrozumienia, że jest dzielna, a moje okrucieństwo przyjęła z pokorą jako należną jej karę.

— Chyba przeżyję — powiedziała, szukając mojego wzroku. — Ale jest mi słabo i jeśli się zgodzisz, chętnie u ciebie trochę zostanę. Pewnie czujesz się samotna.

Na jej policzkach płonął gorączkowy rumieniec.

Zerknęłam w dół, by w samą porę spostrzec, jak moja prawa dłoń, z własnej inicjatywy, skrada się do szyi Laury, żeby ją udusić.

Biedaczka. Już dawno powinna zrozumieć, że jej uczucie do mnie to droga znikąd donikąd.

— Nie. Wybacz, ale nie czuję się samotna. Mam towarzystwo, a Michał dzwoni kilka razy dziennie — powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał przekonująco.

Kłamstwo przyprawiło mnie o niesmak i miałam nawet wrażenie, że mówię jakimś innym tonem, jednak niczego nie zauważyła, bo nie należała do ludzi, którzy wyczuwają, kiedy kłamię, a kiedy mówię prawdę. I dlatego właśnie przestała być mi bliska. Kiedyś była, a przynajmniej tak mi się zdawało, póki pewnego dnia nie doznałam olśnienia i nie zrozumiałam, że nasza bliskość to tylko utkana przez Laurę sieć niezliczonych zależności. Plus dystans, jaki udało jej się stworzyć między mną a moimi przyjaciółmi.

Mając mnie na własność, udowadniała samej sobie, że jest niezastąpiona.

Dziś też nie mnie potrzebowała, ale informacji, jakie posiadałam.

— Wiesz, że Michał może nie wrócić? A wtedy tylko ja ci zostanę.

Nie rozumiem, czemu zawsze tak łatwo przychodziło mi wyobrazić sobie, że to Laura zepchnęła samochód moich rodziców w przepaść. Jeździła już wtedy starym peugeotem. I choć wiem, że to nieprawda, łatwiej mi zebrać myśli w takiej chwili jak teraz.

— Nie mam pojęcia, jak się sprawy potoczą, ale ty i tak nie dostaniesz tego, na co liczysz. Lepiej już sobie idź.

Rozszlochała się gwałtownie, nie zdając sobie sprawy z własnej śmieszności.

Przyniosłabym jej jakąś wilgotną chustkę do wytarcia twarzy, ale wtedy wślzłaby za mną do domu i miałabym problem.

Ludzie odwracali się i spoglądali na nas, a ja myślałam intensywnie, jak się jej pozbyć. Bo aż tak bardzo się nią nie przejmowałam, żeby ją pocieszać i szukać kropli na uspokojenie. Niech zabiera stąd swoje zwłoki. Mam zbyt wiele własnych problemów, by jeszcze zawracać sobie głowę jej chorymi popędami.

Boże, pomóż mi się jej pozbyć.

JUŻ SIĘ ROBI.

W tej samej sekundzie wyczułam raczej, niż usłyszałam, jak za plecami otwierają się drzwi na piętrze. Laura była w lepszej sytuacji, bo miała ten widok przed sobą. Jej twarz w jednej sekundzie stężała. Odwróciłam się i zobaczyłam mniej więcej to, czego się spodziewałam. Na podeście stał chłopak, goły jak święty turecki. Tym szczegółem akurat też byłam zaskoczona. Pewnie się obudził i poszedł do łazienki, może nawet wziął prysznic, a w drodze powrotnej pomylił drzwi.

No ładnie, Panie Boże. Nie o to mi chodziło, ale dzięki.

NA NIC INNEGO NIE MIAŁEM CZASU.

Laurę normalnie замуrowało.

Zwykle trudno wprawić ją w zdumienie, a teraz stała z otwartymi ustami i zapomniała ich zamknąć. Jej twarz zamarła w wyrazie niedowierzania, a mnie przepełniła radość, że tak ją zszokowałam. Może powinnam się jakoś wytłumaczyć, ale nie miałam nic na swoją obronę. Zresztą to mój dom, moje życie i jak Michała nie ma, mogę przyjmować tylu młodych facetów bez majtek, ilu mi się spodoba.

— Chyba rzeczywiście nic tu po mnie — zachichotała nerwowo.

— No i dobrze. Czas na ciebie.

Chwilę potem podjechała taksówka, a Laura pomaszerowała sztywno do furki. Oboje z taksówkarzem patrzyliśmy na nią z podziwem. Ogarnięta frustracją wyglądała naprawdę super. Wysmukła, elegancka, budząca pożądanie w mężczyznach, których nienawidziła.

Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak odjeżdża.

Odetchnęłam z ulgą dopiero, gdy zniknęła.

Miałam nadzieję, że teraz da mi spokój.

\* \* \*

Wiatr wzmagał się i wstrząsał domem. Słysząc było brzęczenie owadów w ogrodzie. A znad rzeki dobiegały oklaski. To widzowie nagradzali chłopców trenujących do regat. Niebo powoli pokrywało się chmurami. Nie wiem czemu ogarnął mnie nagły strach. Serce łomotało mi nierówno, w uszach dzwoniło. Przed wieczorem pewnie spadnie deszcz. Patrzyłam, jak chmury odbijają się w oknie na strychu Maciakowej. Ich odbicia sprawiały wrażenie, że okno się porusza, żyje, śledzi mnie. Kiedyś mnie to przerażało, dzisiaj dało poczucie bezpieczeństwa.

Weszłam do domu, ale dopiero gdy usiadłam przy stole, coś we mnie pękło. Tyle rzeczy działo się na opak, a ja nie miałam z kim o tym porozmawiać, bo Michał wyjechał.

Michał. Mój Michał.

Czy nie jest tak, że wszystkie nasze kłopoty wynikają z faktu, że traktujemy życie zbyt lekko, tylko jako okazję do zdobywania tego, czego pragniemy? Nic się nie liczy poza tym, żeby było super. Michał dał się złapać na lep pieniędzy i stanowiska, a Laurą powodowała bezrozumna zawiść o informacje, do których nie miała dostępu. I tylko to ją bolało.

A czego ja pragnęłam?

Ja pragnęłam dziecka.

Starłam się nie myśleć o swoich rozczarowaniach, ale w końcu zmiękłam, rozplakałam się i w ogóle zachowywałam bez sensu. Ale co tam.

Świdrujący gwizd czajnika uświadomił mi, że nastawiłam wodę na herbatę. Nawet nie wiedziałam kiedy.

## 21

Musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby nie zwariować.

Zaczęłam sprzątać.

Z maniakalną pasją, przerażającą nawet dla mnie samej, zaangażowałam się w mycie podłóg i okien, wyciąganie dywanów spod szaf i czyszczenie takich zakamarków, na których od początków tego domu nie zatrzymało się ludzkie oko. Każde pociągnięcie szmatą było ciosem albo w Laurę, albo w Michała, na przemian. Przesuwałam ciężkie meble i nie czułam zmęczenia. Właziłam na drabinę, żeby zawiesić nowe firanki i wciąż nie miałam dość.

Przestałam czekać na telefon z redakcji.

*Brzuch pęczniał, a ja nie folgowałam. Piłam, włóczyłam się z chłopakami po mieście, ubezpieczałam akcje. Nie dbałam o to, co nosiłam w sobie.*

Drażniła się ze mną, wiedźma.

Chciała mnie zmusić do zainteresowania sobą.

Do tej pory i tak już pewnie zamknęli jutrzejszy numer.

A w nosie. Właściwie już się pogodziłam, że nic z tego nie będzie i próbowałam udawać, że wcale mnie to nie obchodzi, że mam wszystko pod kontrolą i jestem ponad tę nędzną pracę. Mogę bez niej żyć.

Nie, no, bez przesady. Przecież nie wyrzucą mnie z powodu jednego artykułu.

Mimo starań nie potrafiłam się przekonać, że nie chciałabym tego ciągnąć. Bo tak naprawdę potrzebowałam emocji. Prócz tego cholernego sprzątanego nie miałam nic do roboty. Zostałam bez rodziny, bez dziecka, bez męża, a teraz i bez pracy i codziennych obowiązków.

Miałam tylko tę obcą kobietę, która pozwalała mi wnikać w swoje wnętrze.

*Wydawało mi się, że obserwuje mnie z dezaprobatą, śledzi; że jest już ukształtowaną istotą, która widzi mnie taką, jaką jestem. Nie da się go oszukać, tak jak innych. W chwilach bezsilności kopał mnie, walczył i wiedziałam, że mnie odrzuci, nie zechce mieć takiej matki. Czyja wrogość była większa? Jego do mnie czy moja do niego, nie wiem. Wiem, że go nie chciałam. Podjęłam walkę, by się go pozbyć, ale przegrałam. Wtedy po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co to strach. Kostucha pogroziła mi palcem.*

Nie wiedziałam, co o tym sądzić.

Obracając w palcach perłę, próbowałam przekonać samą siebie, że to niemożliwe, że świat drugiego człowieka jest nieprzenikniony i niezrozumiały.

A jednak.

Z jakiegoś niepojętego powodu mój umysł stawał się schronieniem dla jej duszy. Spoglądała za siebie, szła po swoich śladach wstecz, a ja wraz z nią przekraczałam nieprzekraczalną granicę. Otwierała się przede mną, a ja nie wiedziałam, co zrobić, jak się zachować.

Udać, że to nieprawda, przepędzić te myśli, zamknąć się przed nimi?

Gdyby dotyczyły czegokolwiek innego, pewnie bym znalazła w sobie dość sił, żeby się od nich odciąć. Ale odnosiły się do dziecka, dlatego nie opierałam się aż tak bardzo i zezwalałam na łagodne wnikanie w głąb siebie.

Za oknem gałęzie kołysały się lekko na wietrze.

Gdy jesteśmy dziećmi, często udajemy innych. Niektórym to zostaje na zawsze. Są tacy, co wymyślają sobie własny świat i funkcjonują w nim ze zmienioną osobowością. Istnieją tylko wtedy, gdy stają się kimś innym. Ja zawsze lubiłam być sobą. No, może z wyjątkiem czasu, gdy zginął Tomek. Wtedy nie przyjął tego faktu do wiadomości i właściwie nie uznaję go do dziś. Ale to przecież co innego, bo nie stałam się przez to innym człowiekiem. Byłam nadal sobą, Weroniką, tylko trochę połamaną, poskręcaną, źle złożoną. Tamtego dnia kłóciliśmy się z Michałem od samego rana. Nie mogliśmy przestać. Miotła nami jakaś pasja. Tomek płakał i ojciec, nie mogąc tego wytrzymać, zabrał jego i mamę do kina. Kazał nam skończyć to wariactwo, zanim wrócą. Skończyliśmy. Kochaliśmy się, gdy pod dom podjechał radiowóz. Najgorsze, że nie mogę przypomnieć sobie uśmiechniętego Tomka. Naprawdę. Zupełnie nie pamiętam jego uśmiechu.

Nagle poczułam się zmęczona.

Może całe to zamieszanie z cudzymi myślami jest zwykłą reakcją na stres, wyrzutami sumienia?

I doszłam do wniosku, że jedynym sposobem, by sobie z tym poradzić, jest zabrać się za to, co jej obiecałam, czyli napisać książkę. Ostatecznie to mój psi obowiązek. Wyciągnęła mnie z kłopotów i zwykła przyzwoitość wymagała, żebym wywiązała się z obietnicy. Długi wdzięczności należy płacać.

Z jakiegoś powodu była przekonana, że dam sobie radę.

Co mi szkodzi spróbować?

Zdałam sobie sprawę, że właściwie to nic o niej nie wiem. Niby tak otwarcie o sobie opowiadała, ale nie padła ani jedna istotna informacja, którą mogłabym sprawdzić. Miałam tylko zdjęcie chłopca.

Ale przecież wiedziałam dużo innych rzeczy.

Znałam imię matki, rok urodzenia dziecka, ostatni adres i fakt, że o mało nie umarła z powodu niefachowo przeprowadzonego zabiegu aborcji. Wypunktowałam na kartce otrzymane informacje. Trudno nazwać to listą marzeń, ale w chwilach desperacji trzeba się chwytać wszystkiego. Dzisiejszy świat nie uwzględnia ludzi, którzy nie są pomysłowi. Opierając się na założeniu, że cień szansy jest lepszy od jego braku, uznałam, że niczego nie zdziałam, jeśli nie ruszę głową.

Wybiła godzina próby.

Zaskoczył mnie mój własny nastrój.

Jeszcze niedawno nie zamierzałam się angażować, a już czułam się jak pies na tropie. Nie chciałam być dłużej słaba i bezwolna. Może nie potrafiłam utrzymać przy sobie męża, ale miałam całe mnóstwo innych talentów.

Przyznam, że cała ta afera zaczęła też mieć pozytywny aspekt. Osobiste problemy od razu poszły w ką. Biografia Zofii stała się doskonałą odtrutką na czarne myśli o wyjeździe Michała. Sam pomysł, że zacznę coś robić, sprawił, że ogarnęło mnie cudowne ukojenie. Miałam w sobie tyle pary, że mogłam w pojedynkę pokierować tą jej mafią i rozwalić każdego, kto stanie mi na drodze.

Drodze ku czemu?

Nie wiem.

Więc pora się dowiedzieć.

\* \* \*

Od czegoś musiałam zacząć.

Na początek wystarczył aparat telefoniczny.

Wolałam nie mówić, że jestem z gazety, bo wiedziałam z doświadczenia, że to na nic, w ten sposób niczego prędko się nie dowiem. Rozmówcy będą kierowali mnie do kierowników, dyrektorów, rzeczników prasowych, staną się sztywni, nieufni, a gdy spróbuję nalegać, odłożą słuchawkę. A jeśli nawet dotrę do kogoś kompetentnego, rozmowa i tak utknie w martwym punkcie, bo rozmówca szybko dojdzie do wniosku, że lepiej nie ryzykować, bo nie wiadomo, co kombinuję. Będzie wolał zaprosić mnie na rozmowę na swoim terenie i na swoich warunkach. A w efekcie, po kilku zmianach terminów, poczęstuje mnie cytatami z odpowiednich dokumentów.

Nie o to mi chodziło.

Szybciej pójdzie, gdy skłamię.

Na początku było to okropnie żenujące, gdy przedstawiałam się cudzymi nazwiskami, przymilałam się albo byłam poważna, chlupałam przez łyzy bądź też odzywałam się zdecydowanym głosem szefa. Kłamałam, a rozmówcy odwzajemniali się szczerością. Niby tacy ostrożni i nieufni, ale gdy słyszeli głos pełen bólu, nie mogli się powstrzymać, by nie przyznać, że mogą coś sprawdzić, coś przyspieszyć, stać się ogniwem w łańcuchu ludzi dobrej woli.

Zawstydzalo mnie, że ich nabierałam. Naprawdę.

Kilka rozmów z paniami w urzędach i już wiedziałam, gdzie powinnam szukać.

Po wzruszającej historyjce wypłakanej w słuchawkę pan z archiwum przeszukał pliki i wskazał szpital, w którym chłopiec się urodził.



Poczułam, że wciąga mnie ta detektywistyczna robota, trochę poważna, trochę niepoważna. Bo tak do końca nie wiedziałam przecież, kogo i po co właściwie szukam. Jednak w którejś chwili ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że do dalszych poszukiwań pcha mnie jakieś uczucie niemal fizycznego swędzenia. Było mi za ciasno we własnej skórze. Musiałam się napinać, żeby ją do siebie dopasować.

Wreszcie trafiłam na właściwą osobę.

Kobieta obiecała, że sprawdzi, co się da, i oddzwoni.

— Bardzo dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić tyle czasu.

Rozłączyłyśmy się.

No, proszę. Nigdy nic nie jest takie trudne, jak się wydaje. A kłamstwo to najprostsza rzecz na świecie. O ileż bardziej skomplikowana była prawda.

\* \* \*

— Zadzwoń, kiedy zadzwoni. Nie ma sensu wgapiać się w telefon, bo ześwirujesz.

Głos znikąd wywołał we mnie lekki strach. To Maciakowa. Nie spodziewałam się jej. Nawet nie usłyszałam, jak nadeszła. Wetknęła głowę przez okno i rozkazała:

— Otwórz drzwi, bo nie mam wolnej ręki.

W obu dłoniach trzymała patelnię, a na niej parujące kotlety. Ich zapach przypomniał mi, że nie ugotowałam obiadu. Tylko dlatego ją wpuściłam.

— Nie poszłaś dzisiaj do pracy. Chora jesteś?

— Nie. Dali mi parę dni wolnego.

— Przez ten artykuł?

Byłam gotowa oświadczyć stanowczo, że to nie jej sprawa i przegnać staruchę, ale kotlety działały na mnie hipnotyzująco.

Kiwnęłam głową.

Postanowiłam, że zaraz ją spławię. Niech tylko zostawi patelnię Maciakowa nie miała jednak zamiaru iść sobie precz. Zamierzała towarzyszyć mi w jedzeniu. No trudno. Pachniało bosko.

— Nie mam nikogo innego, o których urodzinach mogłabym pamiętać. Ty jesteś jak moja rodzina — stwierdziła.

To były jej życzenia i prawdę mówiąc, sprawiły mi więcej przyjemności niż te wcześniejsze od Michała.

Kotlety były gorące, wystarczyło przełożyć je na talerze. Przyniosła ich tyle, że wystarczyłyby mi na tydzień. W osobnej misce znalazłam surówkę z marchwi, taką, jaką lubię. Nakryłam do stołu, a Maciakowa po raz setny zajęła się podziwianiem bufetu, zmywarki, firanek i po tym tradycyjnym wstępie poznałam, że ma do mnie sprawę. Jeśli nie przystąpiła do niej od razu, to tylko dlatego, żebym się nie zadławiła. Czekala, aż zjem. Sama ledwo skubała swoją porcję.

— Mówiłaś, że jak będziesz miała trochę wolnego czasu, pomożesz mi skosić trawę w ogrodzie — przeszła do rzeczy, gdy talerze były puste.

Usiłowałam naprędce znaleźć jakiś wykręt, ale, jak na złość, żaden nie przychodził mi do głowy. Zresztą nie miałam również pomysłu, co jeszcze mogłabym dzisiaj robić.

— Już widzę, że kombinujesz, jak mnie spławić. Nigdy nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę — rozżaliła się.

No, nie. To akurat bujda. Naprędce podałam dziesięć przykładów na nieprawdziwość jej słów, ale ona zaczęła wyliczać na palcach:

— Po pierwsze, nie wbiłaś mi gwoździa, jak spadł obrazek, po drugie, trzeba by wreszcie jechać po tapetę do kuchni, po trzecie, miałyśmy przejrzeć sukienki do wyrzucenia, po czwarte w szopie jest ta drabina co...

W swoje skargi wkładała tyle uczucia, że niemal czułam jej ból. Nie chciało mi się zbijać jej zarzutów pojedynczo. Czekałam, aż skończy, by odeprzeć wszystkie naraz, ale w pewnym momencie zaczęłam się obawiać, że zabraknie jej palców u rąk. Czyżbym naprawdę była taką egoistką? Na koniec wyciągnęła starą historię o tym, jak to w zeszłym roku błagała mnie, żebym stanęła razem z nią pod kościołem i zbierała datki na pastę do wyczyszczenia kościelnych posadzek, a ja odmówiłam. Zrobiło mi się przykro, że zachowałam się tak podle, ale dziś też bym odmówiła. Gotowa byłam dać jej stówę drobnymi, byle tylko nie kazała mi żebrać.

Wkrótce jednak okazało się, że wcale nie chodzi jej o moją stówę, bo cała ta wstępna oracja była zwykłym mydleniem oczu.

— Czego chciała? — spytała ni stąd, ni zowąd, gdy już byłam całkowicie zdruzgotana jej żalami. — Założę się, że nic dobrego.

Zabrzmiało to jak wyzwanie, jakby z góry zakładała, że nie zechcę mówić i ona będzie zmuszona walczyć, żeby to ze mnie wydobyć.

Jeszcze błędziłam myślami po okolicznych sklepach, gdzie mogłabym rozmiąć banknot na dwudziestogroszówki, a tu bach. Powiem szczerze, że trochę mnie zaskoczyła. Nie miałam zamiaru opowiadać o Zofii i jej dziecku, o pieniądzach, złodziejskich przekrętach i wszystkich myślach lęgnących mi się w głowie.

Ale chodziło tylko o Laurę. Odetchnęłam z ulgą.

Z Laury i spraw z nią związanych mogłam się wypowiadać. Były już nieaktualne. Słowa miałam na wierzchu, wystarczyło otworzyć usta, a płynęły same. Nie jestem zwolenniczką rozmów od serca i nikomu innemu nie dałabym nawet do zrozumienia, że mam problemy, ale z Maciakową to inna sprawa, ona dobrze o nich wie.

Po kwadransie zorientowałam się, że zbyt dużo mówię.

— Cholernie mnie krępuje, że tak się otwieram — zaczęłam się krygować, ale to, że mogłam się wygadać, sprawiło mi ulgę. Myśli wypowiedziane na głos nabrały innego wymiaru.

— Nic się nie przejmuj, jestem stara, a to tak, jakbyś gadała ze ścianą.

Jedną sprawę miałyśmy z głowy, ale okazało się, że tak łatwo się nie wywinę. Maciakową pozbawiona była choćby odrobiny wstydu. Nie dała się zbyć byle czym. Kawalek po kawalku wyciągnęła ze mnie moje smutki i doszła do istoty rzeczy.

— Przestań mnie denerwować i powiedz, co się dzieje z Michałem.

Nie sądziłam, że ją denerwuję, myślałam, że raczej dostarczam rozrywki.

— Boże, nie wiem. Nie mogę się z nim skontaktować.

Bałam się, że powie: No cóż, uprzedzałam cię. Ale jeśli nawet miała na to ochotę, powstrzymała się.

— Na twoim miejscu znalazłabym go tam, gdzie teraz jest, i wszystko z nim wyjaśniła — powiedziała.

Niestety, nie była na moim miejscu. A szkoda, bo o wiele lepiej by sobie z tym poradziła. Chociaż byłam przekonana, że żadna rozmowa w niczym już nie pomoże, niczego nie rozwiąże. Co się stało, to się nie odstanie.

— Sama nie wiem — mówię. — Jakoś niezręcznie mi gadać o takich sprawach przez cały ocean. Zrobię to we właściwym momencie.

Jak wolisz. W końcu i tak będziecie musieli o tym wszystkim porozmawiać. Ocean przez ten czas na pewno nie stanie się mniejszy. Pewnie czujesz się zawiedziona, ale może Michał miał jakieś powody, może nie zrobił tego dla przyjemności. Pomyśl o tym.

A co innego niby od kilku dni robię?

— Więc za mało się starasz.

No nie!

Spowiadając się Maciakowej, liczyłam na pomoc, potrzebowałam współczucia, pragnęłam, by przynajmniej ona zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze. A ta mi mówi, że za mało się staram.

Ja się za mało staram?

Naprawdę miałam wszelkie powody sądzić, że wszystko w naszym małżeństwie było w porządku. A jeśli Michał miał jakieś problemy, to powinien mi o nich powiedzieć. Skoro tego nie zrobił, to znaczy, że nie miał do mnie zaufania. A tam, gdzie nie ma zaufania, nie ma też miłości. W ten sposób, w ciągu sekundy doszłam do logicznego wniosku, że Michał mnie nie kocha.

— Dobra, pogadam z nim, jak tylko go dorwę — rzuciłam szorstko, by zakończyć tę zbędną gadaninę.

Nie zadawała mi więcej pytań. Siedziałyśmy w milczeniu, póki jej się nie przypomniało, że miałam coś dla niej zrobić.

— Chodź, pomożesz mi wynieść kosiarkę, to zetnę sobie trawę przed domem.

Skosiłam jej tę trawę.

Dwie godziny spędziłam w ogrodzie, usiłując znaleźć zadowolenie w stryżeniu trawnika i wyobrażaniu sobie rozmowy z Michałem. Wypróbowałam każdą możliwą wersję. Pod koniec koszenia tak się przyzwyczaiłam do kłótni z nim, że nie mogłam teraz nie zadzwonić.

Niebo pokryło się już całkiem chmurami i zaczął siąpić deszcz. Pod uderzeniami wiatru drzewa uginały się z suchym chrzęstem. Stojąc wśród tego zamętu, poczułam nagle, jak się przelączam na inną falę.

*Boguś wziął na siebie odpowiedzialność i zorganizował grupę. Nie nastawialiśmy się na nic ostrego. Pieniądze leżały na ulicy, trzeba się było tylko po nie schylić. Chodziło o to, żeby działać szybko i skutecznie. Wiedzieć prędzej od innych o wyjątkach od obowiązujących praw, jakie forsują sprytni posłowie. To, co robiliśmy, było bardziej zbzikowane od wszystkiego, co można sobie wyobrazić. Ze swoim brzuchem nie chodziłam już na akcje, ale robiłam za dymną zastłonę. Ludzie ustępowali mi miejsca, a chłopcy robili swoje. Moim prawdziwym zadaniem było uczyć się prawa i finansów, by umieć inwestować zarobiony szmal. Pieniądz rodzi pieniądz, to zasada, której trzymał się Boguś, a mój węch i wiedza zdobywana w państwowej uczelni pozwalały wychwytywać luki prawne, czyli te miejsca, gdzie forsą była w płynie i lala się szerokim strumieniem. Boguś kazał mi podpisać odpowiednią deklarację, że jak z nim się coś stanie, zajmę się grupą i zadbam o chłopaków.*

Podobał mi się ten film, mogłabym go dalej oglądać.

*Spodobały nam się pieniądze. Nie takie, żeby móc za nie kupować chleb i buty, ale takie, które nosi się w walizkach, bo w kieszeniach parzą, słychać, jak krzyczą, że są. Prawdziwe pieniądze są jak drożdże, rosną, mnożą się przez podział i w kieszeniach się nie mieszczą. Czasami wyglądają jak paczki oklejone banderolą, czasami jak zwykłe papiery z pieczętkami. Ale znacznie większe pieniądze to odpowiednie koneksje, zależności, powiązania. Wtedy wyglądają jak słowa albo jak sygnał telefonu czy krótka rozmowa o pogodzie w Baden–Baden. Czasami to obietnica, przysięga, zobowiązanie, groźba albo zdrada. Potem, mówiąc o pieniądzach, ma się na myśli sytuację, gdy walizka już nie wystarcza.*

Byłam coraz bardziej ciekawa dalszego ciągu, choć przecież znałam zakończenie.

Odstawiłam kosiarkę i wróciłam do domu.

Szpadel oparty o ścianę garażu przypomniał mi o Michale, o tym, że mnie też zostawił na pastwę losu.

Najdziwniejsze rzeczy przypominały mi ciągle o jego nieobecności; kawałek jego ulubionego sera w lodówce, ławka w ogrodzie, książka telefoniczna otwarta na stronach z literą M, zaścielona prawa strona łóżka, wyszczerbiony nóż, długopis z nazwą jego programu, koc w zieloną kratę... właściwie wszystko.

Weszłam do kuchni i dopiero wtedy go zobaczyłam. Trzymał bochenek chleba przy piersi, po chłopsku, i odkrawał kromkę. Miał brudne paznokcie i zaczerwieniony nos. Pociągał nim jak małe dziecko.

— Co tutaj robisz? — spytałam, od pierwszej chwili świadoma, że to głupie pytanie, bo przecież widzę, co robi.

Zawahał się. Nie wiedział, jak się zachować.

Byliśmy mniej więcej w tej samej sytuacji.

Czekałam, żeby jakoś zareagował, a on nie wiedział, co zrobić dalej; ukroić sobie chleb i zabrać się do jedzenia, czy mnie też zaproponować? Najbardziej zdumiał mnie fakt, że naprawdę poczułam się zakłopotana. Ja, we własnym domu, nie miałam pojęcia, jak się zachować. Jakbym była niespodziewanym gościem, który przeszkadza w porze posiłku.

— Byłem głodny — powiedział wyzywająco.

Z przyjemnością stwierdziłam, że ze swoją buntowniczością pasował do wystroju mojej kuchni. Wydawał się idealnie zharmonizowany z otoczeniem. Odważnie dokończył krojenie i odłożył resztę chleba do pojemnika. Nałożył na kromkę jeden z kotletów Maciakowej, nie zwracając już na mnie najmniejszej uwagi.

Zupełnie, jakbyśmy urzędowali w dwóch różnych światach.

— Nie krępuj się — powiedziałam z ironią.

Wzruszył ramionami, bez uśmiechu. Nie sprawiał wrażenia aroganckiego ani dzikiego, tylko zwyczajnie chorego. Był jak dziecko, choć starał się wyglądać jak mężczyzna. Pewnie gdzieś komuś powiedział, że będzie robił co zechce, bo jest już dorosły i to jego życie.

Patrzyłam na jego wymizerowaną twarz i zastanawiałam się, czy mój syn mógłby być taki jak on. Z pewnym zakłopotaniem pomyślałam, że wtedy byłabym o niego spokojniejsza, gdziekolwiek by był.

Ciekawe, jak wygląda, gdy się uśmiecha.

Znów bezradnie pociągnął nosem.

W tym domu już dawno nie było dziecka. Myślałam o tym z łagodnym, nieokreślonym smutkiem.

Dziwne, że Maciakowa o tylu sprawach wie, a jego ciągle nie widzi. Musi być z niego niezły spryciarz, żeby ująć jej uwagi. Powinnam jej powiedzieć. I Michałowi, gdy zadzwoni, też powiem. Dobrze wiem, że tego nie zrobię, bo mam z nim poważniejsze sprawy do obgadania, ale wmawiam sobie, że jak tylko zadzwoni, opowiem mu dokładnie, co się tu ostatnio dzieje. Cały czas pocieszałam się, że Michał ma dla mnie dużo zrozumienia i nie potraktuje tej historii inaczej, niż na to zasługuje.

Jadł, a ja nie wiedziałam, czy się wycofać, czy zrobić sobie herbaty tak jak wcześniej planowałam, usiąść obok przy stole i pogłaskać go czule po rękę, na co też miałam ochotę.

Byłam zirytowana i jednocześnie ubawiona swoimi rozterkami.

Na szczęście zadzwonił telefon.

Wycofałam się do holu, żeby odebrać. Może to Michał? Jeśli on, pójdę na górę, bo głupio mi będzie rozmawiać przy gnojku.

Ale to była rejestratorka ze szpitala. Przyciszonym głosem poinformowała, że znalazła dokumentację, ma ją przed sobą. Dziecko urodziło się zdrowe. Podała nazwisko, datę, wagę, długość i inne parametry oznaczające, że mimo problemów z porodem wszystko z chłopcem było w porządku.

Udało się!

Byłam z siebie dumna, jakbym co najmniej to ja je urodziła.

I nagle, bez ostrzeżenia, zaczęłam odczuwać mrowienie w brzuchu. Najpierw lekkie, a potem coraz silniejsze.

Jak się urodził, miał otwarte oczy. Kiedy w nie spojrzałam, pojawił się we mnie strach, silny, niemal przytłaczający. To była obawa przed odpowiedzialnością. Pozwalając, by przyszedł na świat, zrobiłam mu krzywdę i dał mi to do zrozumienia w pierwszej sekundzie swego życia. Mogłam ulec albo z nim walczyć. Żałuję, że nie uległam mu wtedy, gdy na mnie spojrzał i dał mi wybór. Z całkowitym spokojem postanowiłam, że jak tylko zostanę z nim sam na sam, położę rękę na jego ustach, by przestał patrzeć, przestał być.

Zalała mnie fala głębokiego smutku.

Jak przez mgłę słyszałam głos w słuchawce:

— Z zapisów wynika, że matka opuściła szpital bez wypisu, porzucając dziecko. Chłopiec przekazany został do domu małego dziecka bez możliwości adopcji.

*Jedyne, co mogłam zrobić, to uchronić go od samej siebie.*

— Może mi pani jeszcze podać adres tego domu dziecka?

Podała.

Serdeczne dzięki.

Kobieta była zadowolona, że mogła pomóc. Miała nadzieję, że przyczyniła się do czegoś dobrego.

Zdumiewające, jak łatwo uzyskać informacje dotyczące innego człowieka. No, może nie aż tak łatwo, ale mnie się udało. Miałam kolejny adres.

Jutro pojadę do tego domu dziecka.

Może to zrobię, a może nie.

Zaczęłam się bać wkraczania w świat drugiego człowieka.

Nie potrafiłam wyrzucić z siebie myśli o tym, co Zofia chciała zrobić swojemu dziecku.

Wiedzma.

\* \* \*

Wróciłam do kuchni i usiadłam przy stole, na wprost chłopaka. Miał na sobie dres Michała. Zauważył moje spojrzenie.

— Nie mogłem znaleźć swojego ubrania — wyjaśnił.

— Schnie w ogrodzie.

Poczekalam, aż zje. Uświadomiłam sobie, że Maciakowa nie bez powodu przyniosła tyle kotletów. Roztaczała opiekę nie tylko nade mną. Ponura świadomość, że ona jednak wie, podzialała na mnie trzeźwiąco.

- Czy mogę cię o coś zapytać?
- Możesz, ale nie obiecuję, że odpowiem — burknął.
- Czy zrobiłeś coś złego, że musisz tak żyć? Zabiłeś kogoś, napadłeś, grozi ci wyrok?
- Nie.

Tym razem burknięciu towarzyszyła mina podobna do wzruszenia ramion. Uznałam za dziwny sposób, w jaki to powiedział. Nie miał zamiaru mnie uspokoić, a ja wcale nie pomyślałam, że jest niewinny.

No to mi ulżyło.

A nie powinno.

Na jego twarzy pojawiły się wypieki. Ciekawe, z gorączki czy ze zdenerwowania?

Cisnęły mi się na usta kolejne pytania, ale instynktownie wyczułam, że lepiej ich nie zadawać, lepiej za dużo nie wiedzieć, bo wtedy musiałabym podjąć decyzję, która niekoniecznie byłaby właściwa. Tak jak było, najzupełniej mi odpowiadało. I jemu też. Więc niech tak zostanie.

Poczułam, że też jestem głodna.

\* \* \*

Michał nie odzywał się nadal.

Jego telefon był wyłączony. Jeszcze nie tak dawno wystarczał jeden sygnał, by po kilku minutach oddzwaniał, pytał, co się stało, czy czegoś nie potrzebuję. A teraz zupełnie go nie obchodziło, co się ze mną dzieje, co przeżywam, co sobie wyobrażam.

Wystukałam numer do hotelu. Dostałam połączenie, ale nie było go w pokoju. Obiecali przekazać wiadomość, gdy wróci.

Wieczorem byłam już roztrzęsiona.

Zadawałam sobie tysiące pytań, czy może jest chory, czy zajęty, czy jeszcze coś innego. To niemożliwe, żeby tyle o kimś myśleć i nie sprowokować go do jakiegoś odzewu. Próbowałam czytać książkę, do której przez ostatnie tygodnie nie udało mi się zajrzeć. Przekonałam się jednak, że w żaden sposób nie potrafię skoncentrować się na treści. Po kwadransie złapałam się na tym, że co chwila zerkam na telefon.

Wszystko wydawało mi się za trudne. Nawet ukrojenie chleba na kolację wymagało zdwojonego wysiłku. Jakaś częśćka mojego umysłu cały czas odrywała się od ciała i mknęła za ocean, do Michała.

Zastanawiałam się, co jeszcze przede mną ukrywał.

Poszłam do jego pokoju.

Zapaliłam światło. Pokój wyglądał na opuszczony.

Usiadłam przy biurku i obejrzałam ułożone równo papiery. Zajrzałam do szuflad. Na koniec włączyłam komputer i zaczęłam przeszukiwać pliki. Nie wiedziałam, czego szukam. Ale gdzieś musiało znajdować się jakieś wytłumaczenie.

Gdy brzęknął telefon, aż podskoczyłam. Przeraziłam się, że Michał zobaczył, jak szperam w jego rzeczach i dlatego dzwoni. Ale to był Szymek.

— Może wybierzesz się z nami na piwo? — spytał.

— Chętnie — powiedziałam.

Tak naprawdę zamierzałam zignorować zaproszenie. Uznałam jednak, że łatwiej będzie znaleźć jakieś usprawiedliwienie później, niż szukać wymówki w tym momencie. Jedyne, czego chciałam, to siedzieć w domu i czekać na telefon. Jednak już po kwadransie ciekawość zwyciężyła. Może chłopaki coś wiedzą o losach artykułu albo przynajmniej o moich urodzinach?

Pewnie nie, ale przynajmniej ja potraktuję to spotkanie jak imprezę. Pogadamy, postawię im piwo, wysłucham skleconych naprędce życzeń i będzie miło.

W ciągu kilku chwil, jak głupia, pozwoliłam opanować się entuzjazmowi.

W najgorszym razie posiedzę z godzinę i wrócę do domu.

\* \* \*

Umówiliśmy się w małym lokalu przy porcie.

To takie miejsce, gdzie zawsze trafiał się ktoś znajomy. Zajmował stolik i czekał na innych. Nikt tam nikogo specjalnie nie zaprasza, nikt z nikim się nie umawia. Kto nie lubi siedzieć sam, zawsze ma szansę spotkać się tam ze znajomymi. Każdego, kto przekraczał próg, traktowano z dystansem, ale tylko tak długo, póki nie skierował się do bufetu, by zamówić kolejkę dla tych, którzy przyszli wcześniej. W ten prosty sposób stawał się przyjacielem, częścią całości. Potem już mógł się śmiać, opowiadać głupstwa, przerzucać się nic nieznaczącymi słowami, odpoczywać. A o to przecież w końcu chodziło.

Spodziewałam się najwyżej kilku osób, ale byli niemal wszyscy. Szum rozmów przycichł i przez moment uległam złudzeniu, że czekali właśnie na mnie i zaraz wstaną, by odśpiewać urodzinowe „Sto lat”. Ale chwila, gdy mogli to zrobić, minęła.

— Fajnie, że jesteś.

I wrócili do swoich rozmów, a ja poczułam lekkie ukłucie rozczarowania.

Szymek uniósł rękę, pokazując na palcach, ile piw powinnam zamówić, i skrępowanie minęło. Poczułam się bezpieczniej.

— Poproszę piłznera dla wszystkich przy stoliku pod ścianą.

Zapłaciłam i poszłam do nich. Musiałam dostawić sobie krzesło. Zaczęli się ścieśniać i przez moment wyglądało, jakby o to jedno było za dużo. Trochę rozstrajały mnie strzępy rozmów, przerywanych w momencie, gdy stanęłam za blisko. Może planowali zamach na prezydenta i dlatego byli tacy ostrożni. Uznałam, że niepotrzebnie przyszłam. Głupia, drażniąca myśl.

Ale przynajmniej nie było Laury.

Potem słowa zaczęły do mnie docierać i zrozumiałam, że się myliłam. Przy kuflach odbywały się zwierzenia. Nic nadzwyczajnego. Lekkie słowa rzucone od niechcienia, niczego niesugerujące. Pieniądze, kobiety, mężczyźni, dzieci, praca, piłka nożna, zaszara polityka...

*Sekretarz trafił nam się jak ślepej kurze ziarno. Przyplątał się do nas w knajpie. Podobałam mu się. W ogóle spodobało mu się nasze życie. Z jakiegoś powodu sądził, że jest lepsze niż jego własne. Przedstawiał się jako sekretarz wojewody, choć był tylko marnym urzędniczynek. Miał fiola na punkcie tytułów, garniturów i wódki. Stawialiśmy mu, bo mieliśmy na to. Mówił, że śmierdzimy forsq. Kochał ten zapach.*

\* \* \*

...zasrana polityka.

Przyłączyłam się do narzekań i zaczęło być fajnie.

Barman przyniósł piwo, opróżnił popielniczki, dosypał orzeszków. Dostałam podstawkę, jedną kreskę i pełny kufel. Przyjmując poczęstunek, kiwali mi głowami, ale ktoś mniej ostrożny wymienił ukradkowe spojrzenie z kimś innym i już wiedziałam, że przecucie mnie nie myliło. Nie ufali mi. Nadal uważali, że jestem winna śmierci Zofii. A może mieli do mnie jeszcze coś? Biorąc pod uwagę wściekłość Laury, mogło to być wszystko.

Nie byłby to pierwszy raz, gdy rozpuściła o mnie jakąś plotkę. Czemuś takiemu nie da się otwarcie przeciwstawić. Jedyne, co pozostaje, to udawać, że o niczym się nie wie, niczego się nie rozumie.

Natłukę jej, gdy tylko ją spotkam. Nie daruję małpie.

Zjawiała się później niż wszyscy.

Sprawiła wrażenie rozgorączkowanej. Usiadła w najdalszym kącie, gdzie krzesło już na nią czekało, nie musiała latać po sali i szukać wolnego. Gdy spojrzałam w jej stronę, spuściła wzrok i ten ruch był dla niej tak nienaturalny, że nie mógł wróżyć niczego dobrego. Nadzieja, że da mi spokój, była chyba płonna. Laura gotowa mnie była upokorzyć, byle tylko poczuć się lepiej. Na szczęście w obecności innych ograniczyła się do zupełnej obojętności, ale od razu stało się dla mnie jasne, że coś się wydarzy.

Postanowiłam wracać do domu.

Dokończę piwo i wychodzę. Nic tu po mnie.

Szkoda, że nie zostawiłam tego cholernego piwa i nie wyszłam od razu. Dosłownie kilka minut później drzwi się otworzyły i przyszedł jeszcze ktoś.

Stanął i rozejrzał się, a wszyscy zamilkli. Zналиśmy go z telewizji. Był ważnym człowiekiem. A teraz stał tu w drzwiach, niepoprzedzony zapowiedzią, bez osobistej straży, jakiś samotny i bezbronny. Wszedł i omiół salę spojrzeniem, zdziwiony trochę ciszą, jaka zapadła. Był sekretarzem Czernika, jego finansistą. Kimś od podpisywania papierów w urzędach, takim podpisywaniem i takich papierów, aby to, co robił prezes wyglądało jak najbardziej uczciwie. I tak było.

Przyszedł tu prywatnie, z kimś się umówił, ale tego kogoś nie było. Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na jedynej twarzy, która wydała mu się znajoma. Tą twarzą okazała się moja. W jego spojrzeniu najwięcej było zdumienia. Pod wpływem impulsu kiwnął głową, jakby mnie znał, a ja poczułam się w obowiązku odwzajemnić przywitanie. Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni żalowałam, że nie jestem lepiej ubrana.

Zmieszanie zacisnęło mi krtań.

Nie znałam go, nigdy w życiu nie widziałam go na żywo, ale wiedziałam, kim jest i co robi. On o mnie nigdy nie słyszał, ale z jakiegoś powodu wydałam mu się znajoma, rozpoznał we mnie kogoś. Wstrząsnęło nim to. Chciał postąpić do przodu, by sprawdzić, na czym polega pomyłka, ale powstrzymałam go myślami. Zdziwił się i nawet jakby trochę przestraszył, a gdy się zorientował, że jestem kimś innym, kiwnął głową z ulgą i odszedł w stronę bufetu. Nie wyglądał na złego człowieka, choć nim był. Miał twarz kogoś, kto często przebywa na świeżym powietrzu, człowieka ciężko pracującego. W rzeczywistości był krętaczem, aferzystą i kłamcą. Tak jak Zofia.

*Tylko że on po gospodarsku zadbał o przyszłość swojego imperium, bo ma kilku synów, a nie jednego, jak ja. Z jednym jest ten kłopot, że można go stracić, a wtedy wszystko przestaje mieć sens.*

Moi koledzy przyglądali mi się z nieukrywanym zainteresowaniem, a ja czułam się kompletnie zdezorientowana, jakbym nagle znalazła się na scenie i musiała wystąpić z kwestią, o której nie mam zielonego pojęcia. Inni, w przeciwieństwie do mnie, znali treść sztuki, co więcej, zjawili się tutaj, by obejrzyć ten właśnie fragment.

Znajdowałam się w centrum uwagi i miałam pustkę w głowie.

I nagle błysk zrozumienia.

Z przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że nie muszę nic mówić ani robić, bo to, na co czekali, już się stało. Czekali, czy tamten mnie rozpozna. Po to tu przyszli. Po to mnie zaprosili. I



jego w jakiś sposób w tym właśnie celu ściągnęli. Chcieli sprawdzić, czy się znamy. Bo jeśli tak, to potwierdzą się podejrzenia, że jestem, tak jak Michał, związana ze światem przestępczym.

Nie wiem, czemu ten facet na mnie się gapił.

Z kimś mnie pomylił. Nie znamy się przecież!

Jeszcze nigdy nie znajdowałam się w tak niezręcznej sytuacji.

Kątem oka widziałam, jak Laura z uśmiechem zadowolenia wyprostowała się na swoim krześle. Bawiło ją to. Uwielbiała stawiać mnie w takich sytuacjach.

— Jesteś bardzo opanowana — powiedziała niedbale i wcale nie cicho.

— Nawet się nie staram — odparłam. Aż skręcało mnie, by wykrzyknąć: To oszczerstwo, na miłość boską, nie wiercie jej!

Udało mi się jednak zachować spokój.

Pociągnęłam łyk piwa, przekonując samą siebie, że to nic takiego. Jedno spojrzenie. Nikt rozsądny na podstawie czegoś takiego nie wyciągnie obciążających mnie wniosków. Rozejrzałam się wokół i przekonałam, że jestem w błędzie. Z twarzy moich kolegów i koleżanek łatwo było wyczytać zdumienie i zaskoczenie, jakie wywołuje potwierdzenie podejrzeń. Siedzieli do mnie bokiem, omijali mnie spojrzeniami, byłam zgniłym jajem. W tym momencie jakakolwiek forma obrony wywarłaby niewłaściwe wrażenie. Laura stała w hierarchii grupy o wiele wyżej niż ja. Cokolwiek teraz powiem, nie uwierzą, bo to jej się boją, nie mnie. Tłumaczenie, że to zwykłe nieporozumienie, nie zda się na nic. Wszyscy przecież widzieli na własne oczy to, co mieli zobaczyć.

Czułam się dotknięta do żywego.

A miałam nadzieję na miły wieczór.

Jakie lichy mnie tu przygnało?

\* \* \*

Facet stał jeszcze przy bufecie i pytał o coś barmana, a potem widocznie doszedł do wniosku, że trafił nie tu, gdzie powinien. Skupione na nim spojrzenia nie wytrącały go z równowagi. Dręczyło go co innego. Ja. Nie rozumiał, czemu się mnie przestraszył. Ciekawiło go, kim jestem. Odszukał moje odbicie w lustrze za barem i przyglądał mi się uważnie. Potem wyszedł, nie niepokojony przez nikogo.

Pomyślałam, że ja też powinnam wyjść, ukryć się gdziekolwiek, wleźć choćby pod łóżko. Nie usiedzę tu ani chwili dłużej.

Knajpa nadal huczała gwarem rozmów, ale w naszym kącie nastrój się zepsuł. Ciągnęła się wprawdzie jakaś wymiana słów, jednak nie było w tym za grosz zainteresowania. Dialogi się rwały. Wreszcie zapadło milczenie.

Czekałam, aż Laura coś powie. Wtedy jej wygarnę, co myślę, a ona nie pozostanie dłużna. Zaczniemy rzucać w siebie słowami, coraz cięższymi, potem któraś chluśnie w drugą resztą piwa z kufła, a jeszcze później zsuniemy się pod stół i będziemy walczyć do upadłego, póki starczy nam sił, póki nie padniemy na ziemię ranne i pokaleczone. Dopiero wtedy wszyscy zaczną się zastanawiać, o co tak naprawdę nam chodzi. Ale ona, choć nie spuszczała ze mnie wzroku, milczała. Rysy jej twarzy stężały. Próbowałam wyobrazić sobie, o czym teraz myśli. Właściwie nie musiałam się za bardzo wysilać, by wiedzieć, że walka, którą sobie wyobraziłam, rozgrywa się również w jej głowie. Nagle pojęłam, że nie mam co liczyć na jakąkolwiek awanturę, bo Laura nie da mi szansy na publiczne oczyszczenie się z pomówień. Za bardzo mnie nienawidzi.

Wstałam i wyszłam. Nogi się pode mną uginały, gdy ruszyłam do drzwi.

Na zewnątrz usiadłam na pierwszym z brzegu krześle, bo nie miałam siły iść dalej. Mogłabym wskazać rany, jakie mi zadała.

Płakać będę później.

Wyszedł za mną Szymek. Był trochę wstawiony.

— Przepraszam cię. To nie moja wina — wybełkotał. — Laura prosiła, żebym do ciebie zadzwonił, żebym cię tu ściągnął, bo siedzisz sama w domu. Nie wiedziałem, o co chodzi.

— Domyślam się.

— Nie wierzę w to, co mówi. Jestem po twojej stronie — zapewnił.

— Wiem, że ty jesteś — odpowiedziałam ponuro. Nie miałam zamiaru dać mu do zrozumienia, że nikt inny nie jest na tyle głupi.

Czknął i dodał:

— Będę po twojej stronie nawet wtedy, gdy dla własnego dobra będę musiał okazać ci nieufność.

To oświadczenie wzbudziło we mnie pusty śmiech, jednak na niektóre rzeczy trzeba po prostu przymknąć oko. Musiałam zadowolić się nawet takim okrucieństwem przyjacielskiej jałmużny, była to cała litość, jaką mogłam otrzymać.

— Możesz zawsze na mnie liczyć, bo cię lubię — zapewnił, klepiąc mnie po ramieniu, ale za zasłoną tego zobowiązania dostrzegłam, że się wycofuje.

Dzięki.

Pomyślałam, że nadejdzie moment, gdy zmuszę go do dotrzymania słowa. Tego też mu nie powiedziałam.

Drzwi raz po raz się otwierały, ktoś wołał, żebyśmy weszli do środka. Może to całe zamieszanie było jedynie wytworem mojej chorej wyobraźni?

Czułam, jak mój gniew powoli mija.

— Nie dziwi cię w tym nic? — spytałam.

— Myślę, że za bardzo się przejmujesz. Może trochę wszystkich wystraszyłaś, ale i na swój sposób im zaimponowałaś.

Czy on w ogóle się nie zorientował, w czym rzecz?

— A może jeszcze po jednym? — zaproponował bez przekonania.

— Nie, dzięki. Wracam do domu. Miałam dziś męczący dzień. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Chciałam przynajmniej, żeby wyraził ubolewanie, że spotkanie, na które mnie zaprosił, skończyło się tak niefortunnie.

— Nie skądże, idź, jeśli musisz.

Już nie mógł się doczekać, kiedy sobie wreszcie pójdę. Najwyraźniej czuł się niezręcznie, rozdarty między mną a resztą towarzystwa i to mnie winił za przykrość, której doznawał.

— No to cześć.

Gdy otwierał drzwi, usłyszałam gwar rozmów.

Szedł tam, gdzie czuł się lepiej, gdzie będzie mógł pogadać z innymi o tym, co się wydarzyło. Nie miałam mu tego za złe.

Nieprawda! Miałam mu za złe. Był moim przyjacielem. Znał mnie i powinien mi wierzyć. Powinien stanąć za mną murem, walnąć w stół i powiedzieć wszystkim, że się mylą.

Ale czy w ogóle ktoś zna kogoś innego na tyle, by mu tak do końca wierzyć?

Ja wierzyłam Michałowi i co?

Idąc pustymi ulicami, coraz bardziej litowałam się nad sobą.

Co do jednego Laura miała rację. Tkwiłam w tym po uszy. Tylko że nie w taki sposób, jak sądziła. Mimo całej pasji i wszystkich sztuczek, które mogła na mnie wypróbować, nie wygra. Już poniosła klęskę, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Bo tu nie szło o zwykłe zdobywanie informacji. Tu wchodziła w grę jakaś magia. Zostałam, jakby tu powiedzieć, naznaczona.

Boże, w co ja się wpakowałam?

W MOJE KOMPETENCJE. NIE TRZEBA BYŁO RATOWAĆ ZOFII.

Też coś.

Szumiało mi w głowie.

Na Kruczej, schodząc z chodnika na jezdnię, sama omal nie wpadłam pod samochód. Zapiszczały hamulce, a kierowca krzyknął do mnie coś obelżywego. Uśmiechnęłam się przepraszająco.

Tamten facet w barze przestraszył się mnie. Dlaczego?

*Ze swojej pensji sekretarza nie miał za co pić. Nasza forsa mu nie śmierdziała. W dzień sekretarzował, w nocy włóczył się z nami po knajpach. Zakochał się w nas i naszych przekrętach. Po pijaku wrzeszczał, że rzuci swój urząd i przyłączy się do nas. Wyperswadowałam mu to. Pożyteczniejszy będzie jako nasz człowiek na górze. Szybko pojął swoją rolę. Wiedzieliśmy od niego wszystko, co wiedzieć trzeba. Pierwsi dostawialiśmy cynk. Forsa się mnożyła, a on brał swoją część. Kochał nas jeszcze bardziej. Z tej miłości piął się coraz wyżej po szczeblach kariery. Ale nigdy za wysoko. Sekretarz to ktoś w sam raz.*

Myk i już wiem.

No proszę, jakie to proste.

Sekretarz Czernika to jej były wspólnik.

Zdradził ją, a teraz w imieniu szefa przejmował jej interesy.

Przestraszył się, bo zauważył to, co i ja w chwilach napięcia widuję w lustrze.

Zobaczył we mnie Zofię.

\* \* \*

Nadjechał nocny autobus.

Pobiegłam. Zdążyłam.

Z ulgą usiadłam na wolnym miejscu, ale moje myśli nadal galopowały. Biegły do niej z żądaniem, żeby się ode mnie odczepiła, bo to, co się dzieje, już mnie przerasta. Nie mam pojęcia, jaka jest w tym moja rola. Gdzieś w głębi mózgu kołatało mi, żebym nie zawracała głowy, bo nie ma już czasu i muszę się spieszyć. Jak nie zdążę, wszystko przepadnie.

Co przepadnie?

W głowie miałam bezładne kłębowisko przypuszczeń.

Patrzyłam tępo na ulice, którymi przejeżdżaliśmy. W bladym świetle księżycy miasto sprawiało lekko fantastyczne wrażenie. Czułam się, jakbym była na wycieczce, a przewodnik pokazywał mi inny, nieznany świat. Na każdym przystanku ktoś wysiadał i wsiadał w łagodną czerń nocy.

Ja jechałam do samego końca.

Zastanawiałam się, co skłoniło Zofię do powiązania swoich problemów z moimi. Nic takiego nie widziałam. Byłam jednak całkowicie pewna, że istnieje jakaś więź między nami, chociaż w żaden sposób nie potrafiłam dojść, na czym ona polega. Nigdy nie miałam nic wspólnego ze światem przestępczym. Poza tym, że w chwili depresji ukradłam ze sklepu grzałkę. Powinnam chyba za nią zapłacić, wysłać na adres sklepu pieniądze wraz z wyjaśnieniem, że to była reakcja na śmierć syna, bunt przeciwko niesprawiedliwości, próba dokopania światu, który odebrał mi dziecko. Z ukradzioną grzałką przeciwko Bogu i wszystkim ludziom złej woli! Złodzieje grzałek łączcie się!

A potem, gdy wysiadałam z autobusu, nagle to zobaczyłam.

Z jedną nogą jeszcze na stopniu, drugą już na ziemi, w jednej mikrosekundzie dokonałam odkrycia.

*Z jednym synem jest ten kłopot, że można go stracić, a wtedy wszystko przestaje mieć sens.*

Na chwilę wszystko znieruchomiało, autobus stanął, światła pogasły. Ogarnęła mnie słabość. Nie mogłam się poruszyć.

Tracisz dziecko i wszystko traci sens.

Drzwi autobusu zamknęły się z cichym sykiem i aż nie do wiary, jakim echem odbił się ten dźwięk w moim wnętrzu. Dosłownie mnie rozsadziło, pękłam, zrobiła się we mnie dziura, a ten syk był uchodzącym ze mnie powietrzem.

A potem, kiedy autobus ruszył, wiedziałam już, o co chodzi.

O to, że są takie chwile w życiu, gdy wszystko traci sens. Ja rozumiałam to lepiej niż inni.

Zofii chodziło o syna, o tego, który się urodził i którego nie chciała. Ten, dla którego miałam napisać książkę. Ten, dla którego wystawiła się na śmierć. Bo niby dla kogo mogła się zdobyć na takie poświęcenie? Na pewno nie dla durnej dziennikarki. Ale dla swojego dziecka, owszem.

Skoro tamci przejmowali jej interesy, pewnie chcieli się pozbyć następcy. Dała się zabić, żeby go ochronić, ale mogła tylko odwlec to, co nieuniknione. Potrzebowała mojej pomocy.

*Jesteś mi to winna.*

Doznanie było tak silne, że aż poczułam mdłości.

Lęk, który mnie ogarnął, nie był fizycznym strachem o siebie, bo mnie nic nie groziło. Ale gdzieś jest ten syn Zofii.

To o niego chodziło.

Z niejakim trudem przypominałam sobie nasze spotkanie. Byłam wówczas zdumiona łatwością, z jaką wyjawiała mi sekrety, których nie powinno się nikomu zdradzać. Niewykluczone że podczas tamtej rozmowy powiedziała coś, co sprawiło, że podświadomie przejęłam na siebie odpowiedzialność za los jej dziecka.

To głupie, ale jedyne wytłumaczenie, jakie zdołałam wymyślić. Prawda jest pewnie jeszcze inna i będę potrzebowała czasu, by jej dociec, ale tam, gdzie chodzi o bezpieczeństwo własnego dziecka, nie obowiązują żadne zasady. Akurat w tej kwestii byłam w stanie ją zrozumieć i zaakceptować, cokolwiek wymyśliła.

Jeśli uda mi się dotrzeć do jej syna, udowodnię, że i sama mogę jeszcze być matką.

\* \* \*

Nim autobus zamknął drzwi, w moim życiu zaszła wielka zmiana. Postanowiłam dopuścić do swego wnętrza nową osobowość.

— Boże, tracę do reszty rozum... — mamrotałam pod nosem.

I TAK ZA WIELE GO NIE MIAŁAŚ.

Poczułam dreszcz. Wędrował od cebulek włosów, wzdłuż kręgosłupa, ramion, poczułam go w pachwinach, a potem zsuwał się coraz niżej, aż wniknął w ziemię. Jakby walnął we mnie piorun. Moje ciało zostało rozbite i na nowo złożone. Świat wydał się mniejszy, a ja rosłam, potężniałam, jak Alicja po zjedzeniu zaczarowanego ciasteczka. Jedna chwila po innej chwili, a nic już nie było takie samo. Jakbym miała w sobie więcej siły, a moje możliwości stały się niewyczerpane.

Jedyne słowo, jakie przychodziło mi do głowy, to uniesienie.

Przypuszczałam, że będę się bała, że będę bardziej niechętna, ale nie.

Zdziwiłam się tylko, że nie jest mi ciasno.

Postanowiłam cierpliwie przyswajać pojawiające się obrazy i wrażenia, bez zastanawiania się i szukania znaczeń. Po prostu niech się dzieje. Przez całe życie wymagano ode mnie, bym akceptowała rzeczy niezrozumiałe. Funkcjonuję w świecie, którego nie rozumiem. Nie pojmuję, jak działa radio albo telewizor, w jaki sposób komputer wyszukuje dane, jak latają samoloty i dlaczego rakiety wystrzelwane z daleka trafiają tam, gdzie mają trafić. Nie wiem nawet, jak to się dzieje, że zapala się światło, gdy naciskam włącznik. Po prostu akceptuję taki świat. Tak po prostu jest i tyle. Nie ma potrzeby zastanawiać się nad każdą rzeczą, której nie obejmuję rozumem.

Tak samo jest pewnie i z tym, co dzieje się teraz. Jakiś mechanizm przełączył mnie na inny odbiór i cześć.

*Bramy, podwórka, przejścia przez strychy, czasami na dach. Chłopcy Bogusia to wariaci. Mieli w nosie, co z nimi będzie potem. Rzucali kamieniami w radiowozy, wybijali szyby wystawowe, ot tak, dla zabawy. Wierzyli, że nic im się nie stanie. Nastął taki czas bez zasad, każdy robił, co chciał.*

Nie miałam wrażenia, że robię coś złego. Przecież to tylko wyobraźnia. Ale pewna doza wrodzonej rozwagi podpowiadała mi, żeby ostrożnie przyswajać te obce myśli.

Autobus odjechał.

To, co się stało, było tak inne od wszystkiego, co zdarzyło mi się dotąd.

Jeszcze mogłam widzieć jego światła pozycyjne, słysząc było cichą muzykę dobiegającą z otwartego okna na parterze, mijający mnie mężczyzna rozmawiał przez telefon komórkowy. Wszystko toczyło się normalnym trybem. Nic w sumie się nie zmieniło poza tym, że poczułam się wyzwolona od ograniczeń własnego umysłu. Wszystko zaczęłam widzieć wyraźniej. Już nikt nie musiał mnie ochraniać.

Na ulicach było ciemno i pusto. Tylko gdzieś z nadbrzeżnych krzaków dolatywały głosy pijaków, ale wcale się nimi nie przejmowałam. Poganiałam się wprawdzie, udając, że chodzi mi o własne bezpieczeństwo, podczas gdy tak naprawdę nie mogłam się doczekać chwili, gdy usiądę w kuchni nad szklanką herbaty i wejdę w jej życie. Z niecierpliwością czekałam na kolejną odsłonę.

Czułam zimno w nogach i ogromną ciekawość.

Zastanawiałam się, jak to teraz będzie. Lęła się we mnie nowa osobowość i to nowe doświadczenie traktowałam z głęboką radością.

Tej nocy w wieku trzydziestu sześciu lat stanęłam u progu innego życia. Jak gdybym odkryła coś nowego, niezwykłego, o czym jeszcze ludzkość nie wie. Radość, jaką w związku z tym poczułam, wstrząsnęła mną.

Przepuściłam samochód, przeszłam na drugą stronę ulicy i ruszyłam do domu. Nie mogłam wyjść z szoku, jakim było uświadomienie sobie otwierających się przede mną możliwości.

Szłam i nie przestawałam się do siebie uśmiechać.

Tak to ze mną było.

Maszerując między plamami światła rzucanymi przez latarnie, wydawałam się sobie dziwnie bezcielesna. Staralam się iść cicho, stawiając nogi bezszelestnie jak zwierzę. Rozkoszowałam się nocą z jej przestrzenią, świecącymi oczami kotów i ćmami objadającymi się o ubranie. I nagle, bez żadnego konkretnego powodu, zapragnęłam zobaczyć, jak to jest być przestępcą, skradać się, chodzić na palcach po cudzych domach, nasłuchiwać dźwięków, oglądać twarze śpiących bezbronnych gospodarzy.

Wyłączyłam rozum i zrobiłam to.

Wybrałam dom, znalazłam dziurę w płocie, precyzyjnie się przebiegłam na palcach przez mrok ogrodu i schowana za węglem obserwowałam okna. Potem namacałam palcami futrynę i przesunęłam dłonią wyżej, tam gdzie większość ludzi zostawia zapasowy klucz. Jest. Z minutę stałam nieruchomo, wsłuchana w szelesty, a potem wsunęłam klucz w dziurkę i przekręciłam. Nacisnęłam klamkę. Bałam się, że drzwi zaskrzypią. Ale nie, otworzyły się bezszelestnie. Stałam w progu z bijącym sercem. Mogłam wejść do środka i ta myśl doprowadziła mnie do stanu nieopanowanego podniecenia. Czułam się jak złodziejka. Byłam nią.

Nic się nie działo.

Wokół nadal panowały cisza i ciemność.

Miałam wrażenie, że robię z siebie idiotkę, ale coś pchało mnie dalej. Postanowiłam, że zrobię jeszcze tylko trzy kroki i kończę to. W tym momencie zadzwonił telefon.

Serce podeszło mi do gardła. Omal nie zwymiotowałam.

Zapaliłam światło.

Na stoliku przy telefonie leżała kartka z wypisanymi godzinami. Wynikało z niej, że telefon dzwonił cztery razy, co pół godziny. Ostatni raz kwadrans temu. Musiałam się moment zastanowić, kto u licha, mógł to zostawić. Nie znałam tego charakteru pisma.

Podniosłam słuchawkę.

— Halo? Weronika?

— A kto mówi?

— To nie jest śmieszne.

Michał!

Zapomniałam o nim, po prostu zapomniałam. Na samą myśl, że zrobiłam mu przykrość, zrobiło mi się ciemno przed oczami.

— Gdzie byłaś? Dzwoniłem tyle razy. Co robisz, gdy cię nie ma w domu o takiej porze?

Pytanie zza oceanu przywróciło mnie do rzeczywistości. Wielkie dzięki, Michał, wielkie dzięki! A ty niby gdzie jesteś? Powinieneś być tu, przy mnie. Powinieneś mnie teraz objąć i pocałunkiem przywrócić do normalnej postaci. Ale jesteś za daleko, by wiedzieć, co się ze mną dzieje.

Cały dzień szykowałam się do tej rozmowy, a teraz miałam pustkę w głowie. Zapomniałam, o co mi wcześniej chodziło.

— Piję z przyjaciółmi, rozwalam mafię. To właśnie robię, cholera. A ty, co robisz tak daleko ode mnie? — usłyszałam własny głos.

Sprawa miała wrażenie zdziwionego i rozczarowanego.

— To samo. Zapijam się w trupa.

— Jestem na ciebie wściekła. Nienawidzę cię. Chcę, żebyś wrócił. Chciałam się z tobą skontaktować. Musiałam cię o coś zapytać, ale miałeś wyłączoną komórkę. Nie wyłączaj jej nigdy więcej, bo umieram ze strachu.

— Pewnie nie było zasięgu. Tak się zdarza. Nie denerwuj się. To już niedługo. O co chciałaś zapytać?

Miałam mnóstwo czasu, by to przemyśleć, a jednak niczego nie przemyślałam. Jak niby mam mu powiedzieć, że zrobił coś niedopuszczalnego i został tu przekreślony za to, że się sprzedał, a wzgarda spłynęła na mnie. Że czuję się zdradzona.

— Zapomniałam, ale wtedy, jak dzwoniłam, to było ważne.

Staram się zbyt otwarcie nie okazywać urazy, chociaż mam nadzieję, że ją czuje. Chciałabym mu powiedzieć, czego się o nim dowiedziałam, i że jest mi potrzebny, i żeby wracał, póki nie jest za późno. Ale nic nie mówię. I tak nie mógłby mi pomóc, nawet gdyby chciał. Może by nie chciał...

Odrzucam tę głupią myśl.

Potrzebuję tylko zapewnień, że mnie kocha.

— Dobrze się czujesz? Masz jakieś kłopoty?

Obserwuję swoją twarz w lustrze, gdy kręcę głową.

— Nie, nie martw się, potrafię o siebie zadbać.

Nawet nie podejrzewa, jak prawdziwe jest to stwierdzenie.

— A co u ciebie? — pytam.

Zaczyna opowiadać o tym, co robi, ze szczegółami, na wesoło, z chichotliwym, pełnym przejęcia podnieceniem. Robi przerwy i czeka, że będę chichotać razem z nim. W jego śmiechu brzmi lekka desperacja. Słucha go z lekkim niedowierzaniem.

— Czemu tak dziwnie mówisz, jakbyś nie był całkiem sobą? Jesteś naćpany czy pijany? A może jest tam ktoś z tobą i nie możesz mówić normalnie? Jeśli tak, to zadzwoń, gdy będziesz sam. Chcę rozmawiać z tym samym człowiekiem, którego znam.

Boże, nie tak chciałam. Teraz już za późno na poprawki. Mam ochotę kopnąć się w tyłek i zacisnąć zęby, żeby nie wymknęło mi się już żadne słowo.

Wątpię, by uwierzył w moją złość, ale co będzie, jeśli nie zrozumie i się obrazi?

Wcale się tym nie przejmuję.

Oboje zastanawiamy się chwilę, co dalej, a potem kończymy rozmowę wymianą zapewnień o miłości

— No to do jutra.

— Do jutra. Spij dobrze, kochanie.

\* \* \*

Wcale nie chciało mi się spać. Gdy mózg gubi się w kilku rzeczywistościach, spanie nie jest możliwe.

Zerwał się wiatr. Pewnie zaraz zacznie padać.

*Który dał się złapać i trafił do poprawczaka, odsiadywał swoje i wracał jak bohater, gotowy sięgać po oficerskie szlify w bandzie.*

Coś mi się przypomniało.

Zofia mówiła, że materiały do książki będą napływały w odpowiedzi na kolejne artykuły. Artykułów nie ma i nie będzie, ale przecież nie było mowy o tym, że warunkiem czegokolwiek jest ich wydrukowane. Miałam je tylko pisać i odsyłać do redakcji. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Włączyłam komputer, odszukałam plik z informacjami o systemie wprowadzania na rynek fałszywych pieniędzy, napisałam artykuł i klik. Wysłałam.

Niech się zastanawiają w redakcji, co z tym fantem zrobić. Nie moje zmartwienie. Jak zechcą zignorować, ich wola. Jeśli komuś sprzedadzą, trudno. Jutro wyślę następny, potem jeszcze jeden, do skutku. Mam tych materiałów sporo.

Zobaczymy, co się wydarzy. Życie jest takie nieprzewidywalne.

Pojawiła się błyskawica. Zagrzało, gdy doliczyłam do trzech. Błyskawica z daleka jest piękna, gorzej z bliska.

Spędziłam jeszcze jakiś czas, opracowując kolejne materiały, a potem zostawiłam to i wyszłam na taras. W nocnym chłodziu czuć już było koniec lata.

Wiatr dosłownie zwał z nóg. Niebieska ćma trzepotała, uwięziona w okach firanki. Uwolniłam ją i znikła w mroku. W sumie tu była bezpieczniejsza, ale ciągnęło ją w nieznaną, zupełnie jak mnie. Poszłam w stronę rzeki. Stałam na szczycie schodów i patrzyłam na wodę, która lśniła w ciemności. Czasami tak jest, że woda robi się całkiem biała. Słuchałam plusku.

Światła przejeżdżających samochodów przesuwają się po ścianach domu i znikają, a ich miejsce zajmowały złowieszcze cienie.

Przed oczami miałam postać chłopaka. Stał oparty o jabłoń, z kapturem naciągniętym na twarz. Miał słuchawki w uszach i ze śmiertelną powagą wsłuchiwał się w to, co mu grało. Chyba że fantazjował na inne tematy. Uderzał palcami o kolano, wybijając rytm muzyki, której nie słyszał nikt oprócz niego. Ruchy miał szybkie, ostre, nie było w nich żadnego niezdecydowania.

Jego twarz wydawała się zmęczona, bez śladu poprzedniej agresji. Czemu siedzi na dworze, zamiast leżeć w łóżku? Dlaczego jeszcze nie śpi, przecież jest późno?

Opanowałam odruch, żeby go zawołać. Był za dorosły, aby mu matkować. Zresztą, nie miałam takiego zamiaru.

Wróciłam do domu i czekałam.

Za kilka chwil wejdzie, usiądzie przy kuchennym stole i będzie cierpliwie znosił moje manewry przy zmianie opatrunku. Idzie mi to coraz sprawniej, ale współczuję mu pierwszego razu. Potem dam mu czysty ręcznik i każę się umyć. Przygotuję czystą pidżamę Michała. Zastanowię się chwilę, czy ta zielona będzie mu się podobała. Jakby to miało znaczenie dla takiego brudas.

W tym czasie naszykuję coś do zjedzenia.

A potem nie będę wiedziała, co dalej, i dam mu wolną rękę. Jeżeli chce, niech się kładzie, a jak woli siedzieć i gapić się w ścianę, niech siedzi i się gapi. Jak będzie chciał poczytać książkę, wie, gdzie ją znaleźć.

Jeśli postanowi odejść, trudno. Chociaż wolałabym, żeby został. Nie miałam najmniejszej ochoty tkwić sama w tym dużym pustym domu.

A potem, gdy już to wszystko było za nami, siedzieliśmy przy stole i oboje czuliśmy się skrępowani.

Bawił się łyżeczką od herbaty.

— Nie musisz mówić niczego, na co nie masz ochoty. Ale od czasu do czasu odezwać się możesz — powiedziałam, żeby przerwać ciszę.

Wzruszył ramionami. Nie padła żadna odpowiedź, co wcale nie znaczy, że jakiejś się spodziewałam.

Chociaż byłoby miło, gdyby coś z siebie wykrztusił.

W jego postawie nie wyczuwałam już dzikiego uporu. Uspokajało go, że tylko obserwowałam, a nie osądzałam. Dzięki temu czuł się swobodnie. Może i czekał, aż go o coś zapytam. Może chciałby mi opowiedzieć swoją historię. Albo usłyszeć moją. A swoją drogą



byłam ciekawa, jak mnie odbierał. Czy jako głupią, naiwną paniusią, którą mąż zostawił, czy może widział coś więcej.

Nie zapytałam jednak o nic. Nie miałam ochoty. Wystarczyły mi własne problemy. Nie chciałam słuchać kłamliwych bajeczek, jakimi prawdopodobnie by mnie uraczył. Sama też wolałabym nie wtajemniczać go w sprawy nawet dla mnie zbyt skomplikowane.

I w ogóle.

Nie liczyło się, czy wiem coś o nim, czy nie. Liczyło się, że tu był ze mną.

Na wszystko inne przyjdzie czas.

Zupełnie jakbym podświadomie planowała jakiś czas przyszły.

Nie miałam pojęcia, co by tu jeszcze dodać. To znaczy wiedziałam, ale nie miałam pojęcia, jak to ująć. Przepelniało mnie coś dziwnego, jakby czułość przemieszana ze smutkiem.

To, co w końcu powiedziałam, było dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

— Cieszę się, że tu jesteś.

Wyznanie w takiej formie czyniło mnie w jakiś sposób żalną.

— Rozumiem — powiedział i wyglądało, że naprawdę doskonale coś zrozumiał.

Uśmiechnął się lekko.

Perłki potu lśniły mu na czole.

— Idź pod prysznic.

Posłuchał. Chyba o to mu chodziło, o przyzwolenie. Skinął głową skwapliwie, niemal dziecięco. W tym czasie zmieniałam pościel. Zadzwoił telefon.

— Słuchaj, Weronika...

To Laura.

Przez moment czekałam, ale widocznie nie miała pomysłu, co by tu jeszcze dodać.

Odłożyłam słuchawkę..

Przez uchylone drzwi łazienki patrzyłam na jego ciało. Był taki jak Michał dwadzieścia kilka lat temu. Jeszcze dzieciak, z którego za parę lat wyrosnie piękny mężczyzna, chyba że za którymś razem nie trafi na samarytanina i zdechnie gdzieś w krzakach. Odnotowałam tę myśl, która i tak nie wносиła niczego nowego w nasze relacje. Nie znalazłam w swoim sercu dość siły na miłość, musiała mu wystarczyć litość.

Wyszedł z łazienki nago. Nie mogłam od niego oderwać oczu. On też wlepił we mnie wzrok, otworzył usta, zamknął je, a sekundę później powiedział coś, co sprawiło, że poczułam się zakłopotana, zszokowana nawet.

— Liczysz na seks? — spytał, a ja nagle pomyślałam... nie, nie przyznam się, o czym pomyślałam.

Zaczerpnęłam potężny haust powietrza, który potem powoli wypuszczałam. Byłam wstrząśnięta nie jego pytaniem, ale własną reakcją na nie. Po prostu odebrało mi mowę.

Przejrzał mnie na wylot.

Głupotą było sądzić, że niektóre rzeczy nie mogą się przytrafić na przykład, że zgrabny chłopak nie uzna, iż samotna kobieta, zapraszająca go do domu pod nieobecność męża, nie to właśnie może mieć na myśli. Jego pytanie nie powinno mnie tak zaskoczyć. A jednak.

Powinłam zaprzeczyć. Zamiast tego wzruszyłam ramionami.

— Mogłabym być twoją matką.

Wypowiedzenie na głos tych słów sprawiło mi przyjemność. Więcej, poczułam głębokie wzruszenie. Matką. Mogłabym nią być. Chciałabym nią być. Będę nią. Niech tylko Michał wróci.

Uśmiechnął się z widoczną ulgą.

— To tylko żart.

Niekoniecznie, pomyślałam, usiłując zapanować nad swoim nieposłusznym umysłem, który cały czas przywoływał intymne szczegóły tego, co mogłoby się stać.

Moja dusza bawiła się doskonale.

Dałam mu pidżamę.

— Ubieraj się.

\* \* \*

Kładłam się spać ze świadomością, że po takim dniu powinnam od razu zasnąć, ale łóżko wydawało się zbyt wielkie. Mogłam tylko fantazjować, o ile lepiej byłoby, gdyby Michał leżał obok mnie.

Przytuliłam się do poduszki i oczami wyobraźni oglądałam swoje dawne życie, jakby to był film w starym kinie. Niechby się już skończył, bym mogła włączyć nową kasetę o tym, co będzie później.

## 25

Obudziło mnie słońce.

Od dawna nie udało mi się pospać tak długo. Jeszcze w północy szukałam dłonią Michała, ale trafiłam w pustkę. Ciągle nie mogę się przyzwyczaić, że go nie ma.

Pod powiekami płaczą się resztki snu o tym, że powinnam się spieszyć. Prędejj, prędejj. Śniło mi się coś, co pobudza mój umysł do działania. Miałam coś zrobić i byłam pewna, że chcę to zrobić. Ale też nie mogłam pozbyć się wrażenia, że nie jest to zbyt rozsądne.

Wyszłam na taras.

Wiatr wcale nie osłabł. W porcie załogi już się szykowały do treningu.

Poszłam pobiegać.

Prędejj, prędejj.

Wyjęłam ze skrzynki sterty reklamówek, ulotek, listów z obietnicami lepszego życia. Zgarnęłam wszystkie do folii, by wyrzucić od razu do śmietnika. Pobieżnie przejrzałam koperty. Kilka rachunków i list w niebieskiej kopercie. Wewnątrz była zwykła kartka, a na niej dwa słowa: „Ochroń go”. Podobała mi się jej nieustępliwość.

Zaznaczyłam krzyżykiem w kalendarzu kolejny dzień bez Michała i szybko zjadłam śniadanie.

Przyspieszałam wszystkie czynności, cały czas z niepokojem obserwując telefon. Nie chciałam, by ktoś zadzwonił właśnie teraz. Wymknęłam się jak złodziej, wciąż popędzana gorączkowym: „prędejj”! i zakłopotana myślą, że gdyby Michał zastał mnie jeszcze w domu, czułabym się w obowiązku powiedzieć mu, dokąd jadę. Byłabym tym boleśnie skrępowana.

Ale gdy zadzwonił i spytał, czy wstałam, byłam już w drodze.

— Czy wszystko u ciebie w porządku? — spytał. — Wczoraj wydawałaś mi się jakaś dziwna.

— Nie naprawiłeś schodka w piwnicy.

— Co?

— Chcę tylko powiedzieć, że brakuje mi ciebie.

Wszystko inne, co miałam mu do powiedzenia, musiało poczekać.

\* \* \*

Dzisiaj moim celem jest dom dziecka.

Mam przed sobą kawał drogi.

Spod kół pryska błoto, ale świeci słońce, a szosa biegnie wzdłuż brzegu rzeki, wijąc się między jeziorkami. Na niektórych odcinkach drzewa tworzą baldachim z gałęzi. Trasa jest piękna. Szczególnie podoba mi się przeprawa promem. Jeszcze nigdy nie miałam okazji z niego korzystać.

Na drugim brzegu rzeki, na zakręcieomal nie wpadł na mnie autobus podmiejski. Ściął łuk. Minęliśmy się o milimetry. W głębi gardła poczułam metaliczny smak.

Potraktowałam to jako omen.

Zwolniłam.

Jazda przestała mi sprawiać przyjemność. Już nie dawała radości ani odprężenia. Było w niej coś złowrogiego, jakby miała skończyć się źle.

Przypomniałam sobie samochód rodziców, starego dużego fiata. Tata był z niego taki dumny. Jeździliśmy na wycieczki do pobliskich miejscowości i oglądaliśmy, co tam było do oglądania, a potem, w drodze powrotnej, zatrzymaliśmy się w lesie na jakiejś polance i siedzieliśmy do zmroku. Słuchaliśmy pohukiwania sów i chrobotliwych dźwięków wydawanych przez obijające się o nas owady. Dopiero wtedy ruszaliśmy do domu. Chodziło o to, by wracać po ciemku. Tata zawsze jeździł z przepisową prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nigdy w życiu nie pojechał sześćdziesiąt jeden. Po wypadku policja stwierdziła, że wypadł z zakrętu, bo przekroczył prędkość. Cha cha cha! Maciak prowadził śledztwo, a przynajmniej przyszedł zakomunikować nam te rewelacje. Powinnam mu ufać, bo w końcu to sąsiad, ale jakoś nigdy w te głupoty nie uwierzyłam.

Droga nadal biegła zakolami wśród malowniczych jezierek i niewielkich osiedli, ale tamten autobus popsuł mi przyjemność przyglądania się krajobrazom. Zamiast zachwycać się widokami, wypatrywałam kolejnych idiotów.

Nieraz zastanawiałam się, jakby to było, gdybym to ja pojechała wtedy z Tomkiem do kina. Jak by wyglądał świat bez nas? Ze starzejącymi się rodzicami w pustym domu i Michałem, który nie ma nikogo. Pewnie znalazłby sobie nową żonę, miałby nowe dzieci i może byłby szczęśliwszy niż ze mną. Chociaż pewnie nic by się wtedy nie stało, bo jeżdżę szybciej niż ojciec i dawno by nas na moście nie było, gdy nadjechał tamten samochód.

Zaprawdę zadzwonić do Michała i przeprosić go za to, że nie potrafię uporać się z przeszłością, i obiecać, że już dam sobie radę, niech tylko wróci.

Chciałam zrobić to od razu, ale minęłam właśnie tablicę z nazwą miasta, do którego zmierzałam, i głowę zajęło mi coś innego.

*Handlowaliśmy, czym się dało. Nie do uwierzenia było, jakie kanty są możliwe. Forsa płynęła strumieniem. Czas nabierał prędkości. Taki szalony taniec, gdy serce chce się wyrwać z piersi. Było wtedy wielu takich, których duże sumy zaskoczyły, przeraziły. Nie wiedzieli, co z nimi robić. Chcieli je szybko wydać. Z takimi prowadziliśmy interesy. Pomagaliśmy im pozbyć się ciężaru.*

— Misiu, zadzwonię wieczorem i wszystko ci opowiem — obiecałam.

Miasto okazało się wyjątkowo paskudne.

*Oferowaliśmy im auta ściągane z zagranicy. Stare fordy tam kupowane za bezcen tu sprzedawaliśmy gościom za wygórowane ceny. A oni płacili, bo pieniądze ich parzyły. Aż ciarki przechodziły, gdy braliśmy dziesięć razy więcej, niż się należało. Skakaliśmy z radości, chłopaki pili całe noce. Jeździliśmy do kurortów i bawiliśmy się. My, niedawne gołodupce.*

*Trzeba było słyszeć nasze rozmowy o tym, że przekroczyliśmy budżet o trzy miliony, my, którzy jeszcze parę lat temu sprzedawaliśmy butelki, żeby mieć na papierosy. Teraz przekraczaliśmy budżety i liczyliśmy to w milionach.*

Przedzierałam się przez labirynt wąskich uliczek.

Mijałam zdewastowane kamienice, oblażące z farby szyldy. Dziwne miasteczko. Położone w tak pięknych okolicach, a nie dotarł tu turystyczny zgiełk. Pierwsza rzecz, na jaką zwróciłam uwagę, to cisza. Nieliczne samochody poruszały się wolno, wręcz statecznie, nie zdradzając oznak normalnego pośpiechu i chęci wyprzedzania. Panowała tu atmosfera spokoju, ale wszędzie było brudno, jakby nikomu na niczym nie zależało.

Przy kiosku przyhamowałam i odbiłam w lewo, w uliczkę wiodącą lekko pod górę. Tam znalazłam drewniany budynek, który niegdyś był domem dziecka. Teraz nie był niczym. Mówiły o tym wybite szyby, zarwany dach i czerwona tablica zwisająca smętnie na jednym gwoździu.

Nawet nie wysiadłam. Przez brudną szybę patrzyłam, jak ucieka czas, zamieniając w ruinę to, co niedawno żyło.

Siedziałam i obserwowałam kilku mężczyzn podpierających mur. Stali i czekali na coś. Ja zrobiłam to samo. Oparta plecami o fotel, z rękoma na kierownicy, wpatrzona w przednią szybę, czekałam na łaskawość losu.

Czas przemijał, ale ukradkiem obdzierał nas z sił, dodawał lat składających się z tych umykających sekund.

Nie miałam pomysłu, co zrobić.

Cisza była taka, że słyszałam uderzenia serca.

Kiedy minął pierwszy szok, wysiadłam, minęłam połamane ogrodzenie i obeszałam budynek dookoła. Nie spodziewałam się znaleźć jakiejś ukrytej wskazówki, zapomnianej kartoteki albo czegoś równie głupiego. Ale ruch zawsze przynosił mi nadzieję.

Od strony podwórza budynek był w jeszcze gorszym stanie.

Wróciłam na ulicę i aż zmrużyłam oczy. Niespodziewanie ujrzałam świat z nieznannej mi perspektywy. Zupełnie jakbym spędziła rok w więzieniu, a nie chwilę na podwórku dawnego domu dziecka.

Musiałam się przespacerować.

Gdy mijałam miniaturowy domek z miniaturowym ogrodem, wyszła z niego kobieta. Skinęłam jej głową na dzień dobry, a ona uśmiechnęła się do mnie i schyliła, by pogłaskać psa. Przez jedną ulotną chwilę, ale aż do bólu, zazdrościłam mu tego. Gotowa byłam zamienić się z psem miejscami, byle tylko dotknęła mnie z taką matczyną czułością.

W moim wzroku musiała być widoczna jakaś determinacja, bo kobieta spojrzała pytająco.

— Dzień dobry, szuka pani kogoś?

Wrażenie minęło.

Podeszłam i pokazałam jej zdjęcie. Miała krótki wzrok i nie widziała dokładnie. Chciała przyjrzeć się bliżej i wyciągnęła rękę nad siatką. Ja wyciągnęłam swoją i na moment nasze dłonie się zetknęły. Przebiegł po mnie prąd. Poczulałam zapach wilgotnej ziemi, takiej po deszczu, gdy ma się ochotę oddychać pełną piersią. Mamo.

— Szukam tego chłopca. Dzisiaj jest sporo starszy, ale to ostatni adres, jaki mam.

Pamiętała go. Była kucharką, póki nie zlikwidowali domu.

— To przecież Julek. Mieszkał w bidulu parę lat.

Julek, powtarzam w myślach, delektując się tym słowem. Julek Julek, Julek. Ładnie. Jak balsam na duszę.

— Czasami na parę miesięcy zabierała go matka. Może lepiej, żeby nie zabierała, bo to nie była taka kobieta, co chce być matką. Za każdym razem odwoziła go i zapomniała na kolejne

lata. Dobrze z niego dziecko było. Lepiej, jakby się zrzekła praw, może znalazłby dom. A pani kim jest dla niego?

Czekała na odpowiedź, ale zapadłam się w sobie, zalała mnie fala obrazów, zjaw, między którymi przepływałam, spraw, które wciągały mnie jak wiry.

Znów stałam się Zofią.

*Było wtedy wiele takich grup jak nasza. Walczyliśmy o panowanie w dzielnicach. Zawieraliśmy sojusze albo prowadziliśmy wojny. Jak trzeba się było bić, żeby ratować swoich, nie wahaliśmy się. Nie baliśmy się śmierci, liczyliśmy na instynkt. Czasami nas ponosiło. Policja zapuszkowała całą ferajnę. Mnie wzięli ostatnią. Wcześniej instynkt przypomniiał mi, że mam dziecko. Zdążyłam odebrać małego. Jako samotna matka dostałam wyrok w zawieszeniu. Sędziowie potraktowali mnie jak głupią blondynkę, która poszła w cug za chłopakami. Na rozprawę zabrałam małego. W jego oczach nie znajdowałam już potępienia, raczej melancholię.*

Kobieta patrzy na mnie, a ja pragnę, by wizja trwała.

*Nie płakał. Miałam przy sobie jego kruche ciało i wyczuwałam niewidzialną, napiętą strunę między nami. Wydał mi się dzielniejszy od tych wszystkich chłopaków skulonych na ławie oskarżonych. W sumie jemu zawdzięczałam przecież wolność. Uratował mnie przed kiciem.*

Chcę wiedzieć, co działo się dalej.

Ale mechanizm zamarł, a ja oprzytomniałam i udzieliłam na wpół kłamliwej odpowiedzi:

— Jestem ciotką i usiłuję go odszukać. Jego matka nie żyje, a ja jeszcze tydzień temu nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

Kobieta przejęła się moimi słowami.

— Niech pani poczeka, zadzwonię do kogoś.

Zadzwoniła i dowiedziała się, dokąd i na jak długo matka zabierała Julka.

Mnie nikt by tego nie powiedział, a jej tak. Jakiś znajomy zostawił sobie na pamiątkę księgę wypisów. Dzięki temu dostałam nowy adres.

Pożegnałam się z kobietą, która na ułamek sekundy stała się moją matką. Dotknęła mnie, dając mi swoje błogosławieństwo.

Nabrałam pewności, że dobrze robię.

Chyba.

*Małego trochę trzymałam przy sobie, tak dla ochrony, bo przecież kobiety z dzieckiem nie ruszą. Ale potem musiałam go oddać, nie miałam dla niego czasu ani cierpliwości.*

Znalazłam parking. Kupiłam sobie hot doga. Otworzyłam laptop i wklepałam nowy adres. Nie zdziwiłam się, gdy pojawiła się strona z kolejnymi informacjami dotyczącymi jej interesów.

Zaczęłam pisać.

Podobała mi się niedorzeczność faktów przeplatanych wrażeniami, niby moimi, ale tak naprawdę nie moimi.

Pisanie sprawiało, że stawałam się nią. Żyłam jej życiem... bałam się jej strachem... odczuwałam jej ból... bawiłam się razem z jej kumplami... organizowałam przekręty... chowałam się w bramach, by obserwować, czy nic mi nie grozi, kradłam i oszukiwałam. Byłam zła do szpiku kości.

*Grupy miały swoje hasła i symbole. Chłopcy nosili złote bransolety z wygrawerowanym półksiężycem. To był znak rozpoznawczy naszej paczki. Na każdy dzień ustanawialiśmy inne hasło. Było to niezbędne przy przekazywaniu informacji telefonicznych i pisanych. Mieliliśmy swoje czary, które odprawialiśmy przed pójściem na akcję. To była moja rola, odpędzić złe moce, uchronić nas przed policją, donosicielami, zwykłym pechem. Wiedźma, mówili o mnie kolesie. Miałam większego furta niż inni. Ważne, że działało, a oni wierzyli w moją szczególną siłę.*

Tyle rzeczy działo się w mojej głowie.

Słyszałam je i widziałam.

Podobało mi się to.

Świetnie się czułam w takim nadmiarze ruchu, emocji i ryzyka. Przekonałam się, że do niebezpieczeństwa można przywyknąć, mało tego, można je polubić. Rozumiałam już, jak to się dzieje, że ci, którzy raz zaznają takiego życia, nie potrafią się z niego wycofać.

*Ciągle nie mogłam się nadziwić, jakie to łatwe. Nasze wpływy sięgały coraz dalej. Rozkręcaliśmy biznes. Knuliśmy intrygi przeciwko konkurentom i zgarnialiśmy kasę. Bawiliśmy się. Organizowaliśmy coraz liczniejszą armię młodych żołnierzy. Byli nam potrzebni do walk. My stanowiliśmy elitę. Ubrani w markowe ciuchy spotykaliśmy się na naradach. Oplacaliśmy gliniarzy. I coraz dalej rozciągaliśmy swoje macki. To była zabawa, niebezpieczna, śmiertelna, ale całkiem jak gra w Eurobiznes, tyle że tu wszystko działo się naprawdę...*

Opisywałam osobność innego człowieka i chwilami czułam się nieswojo, będąc tak bardzo nią.

*Szłam ulicą z torbą pełną dokumentów do podpisania. Żaden z nich nie był prawdziwy. Robiliśmy je na wzór autentycznych. Stemple wycinaliśmy w gumie z podeszwy. Orła odciskaliśmy z pięćdziesięciogroszówki. Podkładaliśmy ją pod nogę od szafy. Przebrana za sekretarkę jakiejś firmy szłam do urzędu po prawdziwe podpisy. Będę tam stała z miłym uśmiechem przyklejonym do warg w oczekiwaniu na okrzyk: Przecież to lipa, falsyfikat, oszustwo! Ale byłam sekretarką i jedno, co mogłam robić, to siedzieć na korytarzu ze skromnie złożonymi rączkami na kolanach i czekać, aż mnie wywołają i powiedzą, że dokumenty są do odbioru. A potem, gdy wywoływali nazwę mojej firmy, szłam na miękkich nogach i czułam, jak pot spływa mi po plecach. Ten podpis kosztował dwadzieścia tysięcy, ale nigdy nic nie wiadomo.*

Serce bolało od nadmiaru wrażeń.

Dla wyciszenia emocji, od czasu do czasu, spoglądałam przed siebie. Przy stolikach ustawionych wokół budki z hot dogami siedziało kilku nastolatków. Palili papierosy, zaśmiewali się z czegoś.

Nad horyzontem wisiał wał niebieskoszarych chmur.

Siedziałam tak ponad godzinę.

— Hej, proszę pani, nic pani nie jest?

Sprzedawca wyszedł ze swojej budki, żeby sprawdzić, czy coś mi się nie stało.

— Nie, dziękuję, wszystko w porządku, zamyśliłam się.

Wysiadłam z auta i przespacerowałam się po parkingu. Chmury przybliżyły się w zastraszającym tempie. Zrobiło się ciemno. Wsiadłam i ruszyłam w dalszą drogę.

Postanowiłam nie czekać do jutra, tylko od razu pojechać. Tam, gdzie Zofia zabrała syna.

\* \* \*

Jadę, ale bez pośpiechu. I tak dotrę do miejsca, gdzie zamierzam dojechać. Bardziej zależy mi na tych chwilach, gdy tamta pozwala mi żyć swoim życiem. Nie chcę żadnej przegapić. Każdą traktuję jak prezent od losu.

W jakiś niezdrowy sposób pragnę mieć ich coraz więcej.

Ale ledwo obraz się pojawi, zaraz znika. Trwa to tylko mgnienie oka.

Muszę być czujna.

*Skończył się czas lojalności i solidarności. Zaczęliśmy chodzić na pogrzeby, a potem zaczęli rządzić nowi królowie. Ci byli głupszy i bardziej mściwi. I szybko wyciągali broń. Mówiliśmy na nich kowboje.*

Czas odwijał się jak ze szpulki.

Krok po kroku zagłębiałam się w obcy świat.

Zabawne, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do nowych elementów własnego życia. Po pierwszym razie miałam nogi jak z waty, teraz robiłam się coraz twardsza, coraz bardziej niecierpliwa. Denerwowało mnie to niekończące się oczekiwanie na kolejną odsłonę. Przerwy, gdy nic się nie działo, wydawały się trwać całymi tygodniami, miesiącami. A potem znów następowała szybka akcja, aż gotowała się w żyłach adrenalina.

*Część grup została wyeliminowana albo przez policję, albo przez konkurencję. My trwaliśmy dzięki temu, że mieliśmy swojego sekretarza. Dzięki niemu wiedziałam, gdzie wysłać chłopaków. Wiadomo było, który urzędnik jest łasy na forsy i na jaką, bo jednemu wystarczyło parę tysięcy, a inny, który twierdził, że jest nieprzekupny, stawiał nam po prostu wyżej poprzeczkę. U jednych trzeba było warować grzecznie po kilka godzin pod drzwiami, z innymi rozlewało się w gabinecie gorzałkę. I tak szło. Jak któremu zależało, żeby potrzymać mi rękę na kolanie, nie bronilałam. Niech ma, lach jeden. Kantowałam go tylko na więcej.*

Płonął we mnie ogień.

Planowałam akcje razem z nią.

Potem razem z nią płakałam nad poległym żołnierzem albo przeżywałam odurzenie sukcesem. Piłam z jej chłopakami w knajpach, by uczcić dobrą passę.

Osobowość, która zagnieździła się w moim umyśle, zapuszczała korzenie.

Podskoczyłam na wyboju.

W ostatniej chwili dostrzegłam boczną drogę, bo nie jechałam zbyt szybko. Nikogo nie było za mną na szosie, więc cofnęłam samochód. To była piaszczysta leśna odnoga, z wyjeżdżonymi koleinami. Jechałam wolno, a drzewa po obu stronach gęstniały i po kilku minutach znalazłam się już na leśnym trakcie.

Dojechałam do ogrodzenia. Brama była zamknięta. Wysiadłam, żeby zadzwonić, i wtedy zobaczyłam, jak za siatką krzaki się poruszają i rozsuwają. Ktoś mnie obserwował, choć sam wolał zostać nierozpoznany. Albo to jakieś zwierzę.

*Zaczęło robić się niebezpiecznie. Boguś kazał mi się na jakiś czas wycofać. Zabrałam małego i pojechałam na wieś.*

Poczułam się nieswojo. Po kręgosłupie przeszedł mi lodowaty dreszcz.

Ale to był tylko starszy mężczyzna, lekko przestraszony moją wizytą. Za płotem stał murowany budynek dawnej szkoły, obecnie domu noclegowego dla zielonych szkół. Okazało się, że skręciłam za wcześnie. Kilometr dalej biegła przez wieś porządna asfaltowa droga i ona zaprowadziłaby mnie pod sam budynek. Zajechałam gdzie trzeba, tyle że od tyłu.

— Niech pani wycofa i podjedzie z tamtej strony.

Nie chciało mi się.

— Nie przyjechałam na nocleg, tylko po informacje.

Zaczynam opowiadać o dziecku i jego matce. On nie wie, o kim mówię.

— Ma pani jakieś zdjęcie? — pyta niepewnie.

Pokazałam mu to z chłopcem.

— Byłem tu nauczycielem. Uczyłem trzy pokolenia dzieci, ale tego nie znam. Pewnie ktoś wprowadził panią w błąd.

Wygrzebałam z torby fotografię, którą dostałam od Cygana na rynku. No, teraz lepiej. Na jego twarzy od razu pojawił się uśmiech rozpoznania.

— A, to Zośka.

Kazał mi zostawić samochód w lesie i otworzył furtkę. Zaprosił mnie do skromnego pokoiku na piętrze szkolnego budynku. Łóżko, stół, staroświecka szafa, półki z książkami na ścianach, stary telewizor. Niewiele się dorobił na nauczaniu tych trzech pokoleń.

Wyciągnął z półki album ze zdjęciami klas. W czasie, gdy szukał, zatrzymałam wzrok na przepięknej starej toalecie, zupełnie niepasującej do tego miejsca. Pięknie rzeźbione elementy, wśród których ze zdumieniem odkryłam złączoną w intymnym uścisku parę kochanków. Przeszedł mnie dreszcz. Znów zatęskniłam za Michałem.

— Powinna być tutaj — słyszę i poprawiam go w myślach: Powinien być tutaj.

A potem już przyglądam się kilku rocznikom i rozpoznaję. Stoi w ostatnim rzędzie razem z chłopakami.

— Mieszkała z ojcem. Matka wcześniej umarła. Ojciec prowadził nielegalny wyszynk. Kawał drania... Mała też nie była święta, ale przy takiej opiece trudno się dziwić, że chodziła brudna, bluźniła, biła się z kim popadnie, paliła i popijała. Zdolna była bestia, najzdolniejsza ze wszystkich, których uczyłem. Wytrzymała na wsi do skończenia podstawówki. Potem spakowała w reklamówkę to, co miała, i uciekła. Wróciła po paru latach z dzieckiem. Nie było tu dla niej życia. Ojciec co rusz wyrzucał ją z chałupy, wtedy nocowała w szkole. Chłopy nie dawały jej spokoju. A i baby jej nie darowały. Pobyła trochę, a potem zabrała dzieciaka i wyjechała. Już nie wróciła. Nie wiem, co się z nią dzieje. Pani chyba wie więcej? Bo dziecko na zdjęciu jest starsze niż wtedy, gdy je tutaj przywiozła.

Zastanawiam się, ile mogę powiedzieć.

Wybieram te fragmenty życiorysu Zofii, które zadowolilyby starego nauczyciela. Że skończyła studia i prowadziła ważną firmę, że zginęła w wypadku, a ja jestem jej przyjaciółką i szukam krewnych, którzy mogliby zająć się chłopcem.

— Stary umarł niedawno na marskość wątroby. Chałupa jeszcze stoi. Ale krewnych to oni nie mieli.

Czuję, że staruszkowi jest przykro, bo nie może mi pomóc. A należy do takich, co chcieliby otworzyć serce przed całym światem. Stale o coś dla kogoś zabiegał, a to o stypendium dla zdolnego ucznia, a to o opiekę nad staruszką porzuconą przez dzieci, a to o fundusze na remont świetlicy albo chociaż o to, by ludzie nie patrzyli na siebie wilkiem. Wierzył, że wszyscy ludzie są dobrzy, tylko jeszcze nie odkryli w sobie tej dobroci. Obrazy z jego życia przemykają mi przez głowę. Gdybym tylko chciała, mogłabym...

*Zadzwoił telefon.*

Sięgam ręką do torby i dopiero po chwili orientuję się, że to ten w mojej głowie.

— *Bogusia aresztowali. Podobno zaczął sypać.*

— *Tak, już jadę. Czekaście na mnie. Nie róbcie nic głupiego.*

Już nie wiem, które życie jest moje.

W drodze do domu jeszcze kilka razy przechodzę na inny odbiór.

To irytujące, że tak bardzo mi się to podoba.

## 26

Siedziałam przy komputerze, pisząc książkę dla jednego czytelnika.

Wydawało mi się, że dom faluje, ściany odsuwają się, a przedmioty zmieniają położenie. Nie przerażało mnie to. Czułam, że dom jest pełen pełzania, przesuwania, metamorfoz. Miałam wrażenie, że w pokoju są więcej niż dwie osoby, wyczuwałam całą populację mglistych zjaw.



\*\*\*

*Czas nabrał prędkości. W ciągu pół roku zginęło kilku starych przywódców. Młodzi oczyszczali teren. Małego musiałam oddać, tam był bezpieczniejszy. Boguś ocalał, bo siedział w pierdłu. Tak, jak mu obiecałam, zaopiekowałam się chłopakami, jednak zwolniliśmy tempo. Po roku go wypuścili, lecz to już nie był ten sam człowiek. Coś tam z nim zrobili, w jakiś sposób odarli go z godności. Był z nami, ale bał się wielkim strachem. Zaraził nim nas. Nie mogliśmy nic zrobić. Przepuszczaliśmy kolejne okazje. Może i miał rację, czas się wycofać, zarobiliśmy dość. Co nam po kolejnych milionach, skoro ceną za nie były śmierć, samotność i szaleństwo.*

*Wtedy pojawił się Czernik i zaczął przepłacać chłopaków, żeby pracowali dla niego. Rozprowadzanie tych wszystkich bmw to była fajna praca. Chłopcy dostawali adresy i nie musieli kombinować, tylko dostarczyć towar, wziąć forszę i zniknąć. Wielu poszło do niego. Zwerbował też sekretarza.*

Czernik? Czyżby ten sam Czernik, który uwiódł Michała? Oczarował forszą i porwał?

No, proszę. Okazuje się, że mamy z Zofią więcej wspólnego, niż mogłabym sądzić. Mamy tego samego wroga.

*Boguś wymiękł. Ja jedyna mogłam wziąć resztę towarzystwa krótko za pysk i ustawić do pionu. Nie mogliśmy tak po prostu się wycofać. Zaproponowałam chłopakom zmianę sposobu działania. Moją specjalnością było przewidywanie zmian na rynku. Biznes jest formą ruchu. Kto zasypia, wypada z gry. Zbyt dużo było do przejęcia, żeby sobie odpuścić. Zaakceptowali mój plan, głównie dlatego że żaden nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. U Czernika byliby tylko żołnierzami, u mnie mogli pozostać, jak dawniej, elitą. Ci, co odeszli, żalowali, ale nie mieli powrotu.*

*Na konferencje z ważniakami chodziłam ubrana w kostiumy z Max Mary. Dość wczesnie zorientowałam się, że kobieta z klasą jest lepiej traktowana i zyskuje większy szacunek od takiej w dresie. A moja pewność siebie i bezwzględność rosły wraz z ceną i jakością ciucha, jaki na sobie miałam. Im większe ryzyko, tym lepszy ciuch.*

Wszystko dzieje się tak szybko i jest takie niesamowite.

*Odkąd zgodziłam się na współlistnienie, mało co mnie zatrzymuje. Już nie trwonię czasu. Błądzą myślami po mrocznych zaułkach, przed moimi oczami przepływają obrazy. Usiłuję je zatrzymać, zanim umkną, bo chcę nadążyć z ich spisywaniem. Już nie zagłębiam się we własne przemyślenia. Odbieram je po prostu tak, jak ona je odbierała. I wcale nie dzieje się to na niby.*

Gdy o niej piszę, staję się nią.

Jakie to niesamowite, że coś rozgrywanego się w mojej głowie wydaje się realniejsze niż wszystko, czego do tej pory zaznałam.

To trochę tak, jakbym wkraczała do Disneylandu.

Łyczek koniaku za nowe doznania.

*Nie zawsze było dobrze. Raz udało się odnieść łatwy sukces, kiedy indziej dostawaliśmy po tyłku. To była rosyjska ruletka. Liczyliśmy na szczęście, ale braliśmy, co przyniósł los.*

\*\*\*

Kolejne dni niby toczą się do przodu utartym trybem, godzina za godziną, rano, południe, wieczór, jednak zniknął gdzieś podział na wczoraj, przedwczoraj, rok, czy pięć lat temu.

Lata splotły się w jedną długą chwilę. W życiu Zofii istotne jest tylko to, co się dzieje w tym momencie. Chwile, które minęły, już się nie liczą.

*A tym, co się stanie jutro czy jeszcze później, nie warto łamać sobie głowy. Może nie będzie żadnego jutra. Trzeba łapać chwile i wyciskać z nich, co się da.*

Niczego nie muszę sprawdzać.

Po prostu spisuję pojawiające się obrazy.

To nie ja szukam informacji, to one ścigają mnie. Zdumiewam się aż do zachłyśnięcia wszystkim, co się dzieje. Muszę się wyrabiać, aby nadążyć, aby niczego nie przegapić. Nie pamiętam, żebym kiedyś pisała o czymś z takim zacięciem. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek tak ciężko pracowała.

Moje nowe życie sprawia, że stare oddala się coraz bardziej.

Denerwuję się, gdy coś odrywa mnie od pracy.

\* \* \*

Michał dzwoni teraz codziennie.

— Co dzisiaj robiłaś?

— Nic takiego. Trochę pojeździłam, potem pisałam książkę. A co u ciebie? Długo tam jeszcze będziesz?

Rozmawiamy ciągle o tym samym. Ja go zapewniam, że wszystko w porządku, on w to wierzy.

— Tyle się tu dzieje — słyszę w słuchawce.

Żeby wiedział, ile tutaj się dzieje. Powinnam mu przynajmniej powiedzieć o chłopcu, nie umiem jednak znaleźć właściwych słów. I w sumie nie mam powodu, by zmieniać cokolwiek w istniejącym stanie rzeczy. Dobrze jest, jak jest. Zauważyłam, że odkąd Michał wyjechał, utracił najważniejsze miejsce w moim życiu.

Opowiada o tym, co robi. Pozwalam mu gadać.

Ja mówię o książce, którą piszę. On słucha mało uważnie. Pewnie myśli, że pisaniem wypełniam pustkę po nim. Przez cały czas patrzę na zegar w kuchni i zastanawiam się, jak długo jeszcze potrwa ta rozmowa. Czuję, że wszystko się rozłązi. W tle słychać śmiech i nawoływania. Bawią się tam nieźle. Ja też chcę już wrócić do swoich spraw.

— Jutro znowu zadzwonię.

— Będę czekała.

Wiem, że powinnam zdobyć się na poważną rozmowę, ale tylko przestępuję z nogi na nogę, czując, jak mnie nosi, bo już zbyt długo jestem oderwana od Zofii. Ona czeka cierpliwie, póki nie skończę, ale ledwo odkładam słuchawkę, już czuję w sobie dygotanie. Ogarnia mnie ciepło, gdy wchodzi we mnie.

Czuję, że mam coraz mniejsze pole manewru.

*Sekretarz zaczął zdradzać nasze sekrety. Nie mieliśmy, jak się do niego dostać, bo Czernik dobrze go chronił. Zaczęła się wojna. Pierwszy na odstrzał poszedł Boguś, a po nim już była moja kolej.*

Mogłabym tak pisać kolejną noc i kolejny dzień.

Wciągnęła mnie jej historia.

Nie zauważałam upływającego czasu. Byłam ciekawa dalszego ciągu, chwilami wprost umierałam z niecierpliwości. Gdy Zofia nie pojawiała się dość szybko, a trzeba było podjąć jakąś decyzję, robiłam to sama, a później dowadywałam się, że tak właśnie należało postąpić. Ona tak postąpiła.

Coraz lepsza byłam w te klocki.

Od czasu do czasu błyskała mi myśl, że powinnam mieć się na baczności, bo powoli przestawałam odróżniać dobro od zła. Jeszcze kilka dni temu nie miałam z tym problemu. Wiedziałam, że dobre to opiekować się dzieckiem, kochać męża, pracować na chleb, być uczciwą. Z tymi zasadami świat był prosty i zrozumiały. I raptem okazało się, że nie zadbałam o życie własnego dziecka; a z kochaniem Michała na odległość zaczęłam mieć kłopoty, nie wspominając już o uczciwości, którą diabli brali przy pierwszym lepszym stresie. Nie byłam wcale taka, jak mi się wydawało.

Coraz rzadziej chciało mi się tracić czas na roztrząsanie zasad moralnych: to dobre, to złe, tak wolno, tak nie wolno. Podziwiałam złą kobietę za to, że potrafiła żyć pełnią życia, a gdy przyszła pora, umarła bez żalu. Jakby lepiej niż ja rozumiała słowa, że jest czas życia i czas śmierci. Patrząc na świat oczami Zofii, już nawet nie zmuszałam się do ignorowania zasad, ja naprawdę się nimi nie przejmowałam, ale ostatecznie to tylko myśli, moje czy jej, co za różnica. W każdym razie czysta wyobraźnia, imaginacja, nic ponadto.

W chwilach większej przytomności dotykałam swojego ciała, by sprawdzić, czy jeszcze jestem. Przyrzekałam sobie, że jak tylko dobrnę do końca książki, skończę z tym szaleństwem, pozbędę się tej istoty ze swego życia.

To przecież nie będzie trudne.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Coraz mniej byłam tego pewna.

\* \* \*

Przestałam już tęsknić za redakcją.

Pisałam artykuły o tej części interesów, która już została zlikwidowana. O reszcie musiałam decydować sama, co przeznaczyć na odstrzał, a co zostawić na później i w jaki sposób przekazywać informacje, by trafiły tam, gdzie powinny. Miałam w tej kwestii wolną rękę i rozległe pole działania. W artykułach podawałam istotne dane w taki sposób, by mogły bez trudu naprowadzić na trop znawcę tematu.

Klik i wystane.

Byłam ciekawa, kto skorzysta z moich wskazówek. Policja, prokuratura czy ktoś inny? Miałam nadzieję, że ktoś inny.

Zastawiałam sidła.

Ale jazda.

\* \* \*

Żaden artykuł nie ukazał się drukiem. Wszystkie pozostały bez odzewu.

Zostałam chyba skreślona.

A w nosie.

Nawet Szymek nie dzwonił. Tylko Laura od czasu do czasu sprawdzała, czy żyję, ale poza: „słuchaj, Weronika”, niczego więcej nie mogła wykrztusić. Nie zamierzałam jej pomagać.

Miałam co robić.

Zofia powoli wypełniała całą moją przestrzeń.

Wpasowała się w moją osobowość tak dokładnie, że bez skrupowania pokazywała mi wszystkie miejsca, gdzie zostawiła towar; i ludzi, którzy byli jej winni pieniądze, albo takich,

którzy winni jej byli przysługi — a także banki, gdzie miała swoje konta. Od zapamiętywania cyfr gotował mi się mózg. Wiedziała wszystko, co wiedziała ona. Znałam hasła, znałam przyczyny, dla których przeróżni ludzie byli od niej zależni. A zależnych było wielu. Nie do uwierzenia, z jakich powodów. I ja to wszystko wiedziałam.

Teraz naprawdę tkwiłam w tym po uszy.

*Co jakiś czas dzwoniły telefony, a w słuchawkach rozlegały się serdeczne, pełne szacunku głosy ludzi z pierwszych stron gazet. Naród myślał, że oni ustalają prawa obowiązujące w bankach i sejmowych komisjach.*

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie świruję, bo to, co się działo, nie było całkiem normalne. Równolegle funkcjonowałam w dwóch światach. I te dwie osobowości powoli, ale systematycznie i nieodwołalnie nakładały się na siebie.

Stałam przed lustrem i przyjrzałam się własnemu odbiciu.

Nie byłam w ogóle do siebie podobna.

Twarz mi wyszczuplała, oczy zrobiły się większe i szerzej rozstawione. Bił z nich jakiś dziwny blask, którego wcześniej nie widziałam. Obserwowałam się tak, jak się patrzy na kogoś obcego. Podobałam się sobie i czułam się tym dziwnie podniecona. Zupełnie jakbym dopiero w takiej postaci zaakceptowała swoją dorosłość. Ściągnęłam z siebie ubranie i stanęłam przed lustrem naga, tylko z perłą na szyi. Obejrzałam się uważnie, w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, że jestem jeszcze sobą. Wydało mi się, jakbym do tej pory zajmowała się sprawami, którym na dobrą sprawę dziecko mogło stawić czoło.

Bezwiednie zaczęłam przeszukiwać szafę i ubrałam się w najlepszy kostium, ten, który nosiłam jedynie od święta. Teraz wyglądałam zupełnie jak ona. Wyglądałam jak Zofia i ta świadomość odebrała mi dech.

Kim właściwie jestem?

I w tym właśnie momencie, czy to dlatego że czułam się wytrącona z równowagi tym odmiennym wizerunkiem samej siebie; czy dlatego że tak intensywnie myślałam o Zofii, czy może z całkiem innego, niepojętego powodu, przyszła mi do głowy myśl, że mam okazję, by ją zastąpić. Żeby naprawdę przeżyć co ona. Załatwić niezłatwione sprawy. Doprowadzić do końca to, co zaczęła.

Jeden jedyny raz.

Nie.

Odwrociłam wzrok od lustra.

Nie potrafiłam uwierzyć, że to moja własna myśl. Nic jej wcześniej nie zapowiadało. Była zbyt absurdalna, żeby brać ją pod rozwagę.

Pomyślałam o całej tej forsie, jaką miałabym do dyspozycji. O całej tej władzy.

Żołądek podszedł mi do gardła.

Chciałam tego i nie chciałam.

W ciszy dokonałam pewnych podsumowań i doszłam do wniosku, że właśnie obie dotarłyśmy do miejsca, którego od samego początku się obawiałam. Zofia prowadziła mnie jak po sznurku do tego właśnie punktu.

Nie. Nie chcę. Nie chcę. Na to jestem zbyt wielkim tchórzem.

Przestraszone serce tłucze się o żebra.

A jeśli chodzi o forsę i władzę, to nie mam jakiegoś wielkiego kręćka na ich punkcie. Właściwie wcale mi na tym nie zależy.

*Nie chodzi o forsę, tylko o Julka. Jesteś mi to winna. Ja zrobiłam swoje. Teraz twoja kolej. Tylko w ten sposób możemy doprowadzić sprawę do końca..*

Nie, to nie dla mnie.

*Musisz tylko zebrać się na odwagę!*

Nie, to nie ma sensu, chociaż...

No właśnie.

I pomyśleć, że zaledwie przed kilkoma dniami byłam normalna. Czyli jaka? Przestraszona i mało samodzielna? Przez ostatnie lata Michał ochraniał mnie, holował i decydował o wszystkim. Byłam mu wdzięczna, że nie musiałam brać za nic odpowiedzialności. Ale może miał już dość niańczenia mnie jak dziecko? Może potrzebował partnerki, kobiety, która da mu to, czego i on pragnie?

Jakie to wszystko wydaje się proste i oczywiste, gdy tak stoję i patrzę na siebie w lustrze. Jeśli jeszcze czegoś się boję, to tylko tego, że gdy raz to zrobię, powrót do dawnego banalnego życia będzie ponad moje siły.

Już teraz nie potrafię się odnaleźć.

\* \* \*

Usłyszałam, jak ktoś głęboko westchnął.

Odwrociłam się. Chłopak stał w progu i gapił się na mnie najwyraźniej wstrząśnięty. Ciekawe jak długo tu stał, czy widział mnie naga?

— Czego chcesz?

W głębi duszy pragnę, by podszedł i mnie przytulił. Tak po prostu. Omal tego nie powiedziałam na głos, ale na szczęście na dole rozległo się pukanie, a potem stukot otwieranych drzwi. Poczułam, jak pod moimi stopami coś się porusza, jakbym nie stała na podłodze, tylko na kręcącej się karuzeli. Nagle zrobiło mi się gorąco i ciasno. Ugryzłam się w język. Poczułam w ustach smak krwi.

Chłopak odwrócił się i odszedł.

W popłochu ściągnęłam kostium, by wrócić do dzinsów i swetra.

Znowu byłam sobą.

— Wielki Boże, co tu tak śmierdzi? — usłyszałam.

Na dole stała Maciakowa i rozglądała się po salonie. Ona nigdy się nie krępowała, tylko waliła prosto z mostu, co o mnie myśli. Śmierdziało jej. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bliska była prawdy.

— Weronika, gdzie jesteś, zabił cię kto?

Tak właśnie się czuję. Jakbym już nie żyła. Jakby nie było mnie wewnątrz samej siebie.

— Pani Maciakowa, mam sto lat, a pani ciągle mnie straszy.

— Tylko sprawdzam, co się dzieje. Źle się czujesz? Jak ty wyglądasz? Stało się coś?

— Nie, wszystko w porządku.

Przygląda mi się tak badawczo, że zerkam ukradkiem do lustra, by sprawdzić, czy zdążyłam wrócić do własnej postaci. Za nic w świecie nie chciałabym w tym momencie być podobna do Zofii.

Rozejrzałam się po pokoju i zobaczyłam go tak, jak ona widziała. Panował tu nieopisany bałagan. Wszędzie wały się sterty ubrań, a w powietrzu unosił się kwaśny odór; mieszanina zapachu brudnych męskich butów i nieopróżnionego od kilku dni kubła na śmieci. Zapuşciłam mieszkanie.

Nie odzywając się ani słowem, wzięłam się do sprząwania porzucanych ubrań. Brałam coś do ręki i przerzucałam w inne miejsce. Byłam istnym kłębkim nerwów. Wszystko we mnie protestowało przeciwko powrotowi do normalnego życia.

— Co tak się miotasz, co w ciebie wstąpiło?

— Nic — skłamałam. — Zupełnie nic.

Jest mi wstyd i najbardziej w świecie pragnę, żeby się wyniosła, ale nie śmiem jawnie tego okazać. Jednocześnie chcę, by została i przytrzymała mnie na powierzchni, aby trzymała, póki starczy jej sił, bo jak puści, to na dobre zanurzę się w głębinach, niebezpiecznych odmętach i utonę.

Sama nie wiem, na czym bardziej mi zależy.

— Wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Jadłaś coś dzisiaj? Pewnie nie. Przyniosę ci zupy, została mi z obiadu.

— Nic mi nie potrzeba.

— Wrócę, jak trochę tu ogarniesz. Masz godzinę, żeby zrobić porządek — oświadcza kategorycznym tonem, jakby to był jej dom i mogła rządzić jak u siebie.

— Jak będę chciała — mówię i już czuję, że zachowuję się okropnie, jak zbuntowana czternastolatka. Jest mi przykro. Boję się, że ją uraziłam, ale Maciakowa nie wygląda na zirytowaną, raczej na zmartwioną.

Szukam w myślach czegoś, co mogłoby złagodzić poprzednie słowa.

— Dzięki za zupę, ale zaraz wychodzę i zjem coś na mieście. Właśnie szukałam, w co się ubrać. Zanim wyjdę, posprzątam.

Widocznie pochlebila jej nuta pokory w moim głosie, bo pokiwała głową, że takie wyjaśnienie na razie wystarczy.

— Przyjdę wieczorem — powiedziała, wycofując się.

Zostawiła mnie pośrodku salonu jak na kołyszącym się statku.

Ledwo trzasnęły wyjściowe drzwi, a już poczułam w sobie dygotanie. Ogarnęło mnie ciepło, gdy wraca Zofia.

Już dobrze, dobrze. Tak długo to trwało.

Zapięły mnie oczy.

Usiadłam na podłodze, objęłam rękami kolana i kołysałam się wraz z całym domem. Złączyłam palce i zacisnęłam je mocno, żeby nie stracić przynajmniej siebie, bo wszystko wyslizgiwało mi się z rąk. Nie miałam pojęcia, kto siedzi w mojej głowie i wymyśla te wszystkie rzeczy.

Poczułam falę drżenia przepływającą wzdłuż kręgosłupa, okrążającą biodra i spływającą w dół. Zaczęłam płakać. Myślałam, że chodzi o moją tęsknotę za Michałem czy też o to, że uraziłam Maciakową albo o mnie samą, ale nie. Chodziło o Zofię. Wszystko, co o niej wiedziałam, było przerażające. Na jej barkach spoczywał cały ciężar świata. Nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Była całkiem sama we wszechświecie, stracona dla normalnego życia. Obracała się w świecie nikczemności i brutalnej przemocy. Zamiast miłości zafundowała sobie piekło, nieprzemijające uczucie strachu i frustracji. Odtrąciła nawet własne dziecko. Było mi jej żal.

Zdałam sobie sprawę, że płaczę z jej powodu.

\* \* \*

Usłyszałam przenikliwy dźwięk, jak uderzenie metalu o kamień.

Oprzytomniałam.

Spróbowałam wstać, ale moje ciało ważyło tonę. W zgięciach łokci i pod kolanami zebrał się pot i zablokował zawiasy. Żołądek podszedł do gardła. Jeśli zwymiotuję, to tutaj, na podłogę, bo nie mam siły, by się ruszyć. Czułam, jak mięśnie ramion odrywają się od kości. Miałam wszelkie powody, by zostać w tej pozycji.

Wreszcie zdobyłam się na wysiłek i dźwignęłam ciało z podłogi. Wszystko we mnie dygotało. Z trudem utrzymywałam się na nogach. Tak zapewne czuje się ktoś, kto budzi się po latach śpiączki.

Doszłam do okna i oparłam się o parapet.

Doleciał do mnie znajomy zapach ściętej trawy. Chłopak, obnażony do pasa, przekopywał ziemię za szopą. Ulicą szła dziewczyna w sukience w kropki. Prowadziła za rękę dziecko. Dopiero teraz zauważyłam, że chłopak wypielilił grządki, wykopał dzikie pędy begonii i rozsadził astry. Na śmierć o tym zapomniałam. Powinnam to zrobić już kilka dni temu. Nigdy nie zapominałam o pracach w ogrodzie. A teraz zapomniałam, tak jak o wszystkim innym. Przeszły mnie ciarki na myśl, co się może jeszcze wydarzyć, gdy nie przyhamuję szaleństwa, które mnie opanowało.

Musiałam wrócić do realnego świata.

Nie jestem przecież Zofią. Jestem kimś zupełnie innym.

Co ja w ogóle robię w tych spelunkach z bandytami?

Brakowało mi zwykłych, powtarzających się czynności, które niekiedy mnie nużyły, ale dawały poczucie pełni życia. Mojego własnego życia. A najbardziej brakowało mi dziecka. I to była największa różnica między nami.

Dziewczyna w sukience w kropki schyliła się i poprawiła dziecku czapeczkę.

Serce mi pękło. Czulałam ból w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą biło.

Nagle naszła mnie tęsknota za chłopcami, moim i tym ze zdjęcia, za nimi obydwoma, jakby byli tą samą osobą. Całą tę zabawę zaczęłam właśnie dla nich.

*Nie dałam mu niczego, co powinnam była dać. Zabierałam go z sierocińca wtedy, gdy czulałam się zagrożona, a potem oddawałam jak niepotrzebną rzecz. Zawsze mi wybaczal, jakby rozumiał, że jestem słaba. On był skałą, na której budowałam swoje bezpieczeństwo. Był taki mały, a godził się ze swoją rolą. Potem, gdy miał iść do szkoły, znalazłam dla niego dom. To była dobra rodzina, taka, która mogła mu zapewnić wszystko, czego ja nie potrafiłam. Dawałam pieniądze, a oni resztę. Chyba było mu tam dobrze. Nie wiem. Nie interesowało mnie to aż tak bardzo. Od czasu do czasu zabierałam go do siebie, żeby nie zapomniał, kim naprawdę jestem. Nie protestował.*

Słońce prześwitywało przez gałęzie.

Kropelki rosy lśniły na płatkach róży.

Motyl usiadł na liściu. Patrzyłam na niego przez długą chwilę. Przypomniałam sobie identyczną scenę sprzed kilku lat. Tomek miał wtedy ze dwa lata. Na jego nodze usiadł motyl. Mój synek znieruchomiał. Wcale się nie bał. Trwał nieporuszony tak długo, póki motyl nie odleciał. Oczy Tomka były pełne szczęścia. Uśmiechał się.

Poczułam ogromną ulgę, gdy przypomniałam sobie uśmiech swojego dziecka.

W następnej sekundzie zdecydowałam, co zrobię. Skończę książkę i przekażę ją temu, do kogo jest skierowana. Napiszę ją w formie przestrogi.

Sama siebie przekonałam, że to możliwe.

Odnajdę go, a potem pozbędę się tych wszystkich uczuć, wspomnień, myśli i wrócę do swojego dawnego życia. Jeśli odegranie roli Zofii mogło zbliżyć mnie do celu, to chyba będę w stanie to zrobić.

Cokolwiek się zdarzy, no cóż... niech się dzieje. Jestem gotowa.

Dla nich tak.

Dla naszych synów gotowa byłam na coś szalonego.

\* \* \*

Na strychu u Maciakowej poruszyło się okno. Obserwowała mnie. Musiałam zrobić to, co jej obiecałam, bo inaczej będzie tam tkwiła i nie zazna spokoju, póki się nie pozbieram. Postanowiłam pojechać na skarpe, posłuchać muzyki dzwoniącego drzewa i zjeść coś dobrego.

Ubrałam się i wyprowadziłam samochód z garażu.

Jazda przez miasto sprawiła mi przyjemność.

Wiał dość silny wiatr i dźwięki dzwonek słysząc było z daleka.

W holu spojrzałam w lustro i nie rozpoznałam się w eleganckim kostiumie. Tak ubierają się ludzie prowadzący niezbyt czyste interesy po to, by przykryć swoje brudne myśli. To pewnie kwestia zachowania równowagi; schludność zewnętrzna przeciwko wewnętrznemu chaosowi.

Jak zwykle nikał pojawił się kelner i poprowadził mnie między stolikami, tam gdzie zwykle siadamy z Michałem.

— Dziś jestem sama i wolę mniejszy.

Wybrałam ten, przy którym wtedy siedziała Zofia. Wydał mi się bardziej na miejscu. Kelner uśmiechnął się z aprobatą. Dlaczego nie zdziwiłam się, gdy chwilę później zjawił się facet o twarzy goryla i usiadł przy ścianie nad szklanką wody mineralnej. Odniosłam wrażenie, że mnie pilnuje.

Olga Z. nadal tkwiła w swoim kącie i dłubała łyżeczką w ciastku. Skinęła mi niechętnie głową. Odniosłam wrażenie, że jej świat nie poruszył się nawet o milimetr.

Chwilę później drzwi otworzyły się z hukiem i weszła Laura.

To wszystko już było, już się działo.

Nie czekając na kelnera, ruszyła przez środek sali biegiem, w stronę kogoś, kto na nią czekał. Przypuszczałam, że zatrzyma się przy mnie.

— Mogę się na chwilę dosiąść? — spytała. W jej głosie nie było wrogości ani buńczucznej nuty, ani niczego, co mogłabym potraktować jako zagrożenie.

Po tym, co zaszło, uznałam, że będzie się czuła przynajmniej skępowana, ale nie spostrzegłem niczego takiego. Muszę przyznać, że ja też nie czułam się urażona, choć nie jestem pewna czemu.

— Te twoje artykuły... skądkolwiek masz informacje... są świetne...

Takie słowa w ustach Laury to zbyt wielkie poświęcenie. Nie miałam powodu wierzyć w ich szczerść.

— Nie wysyłałam ich do ciebie

— Ale wiem o nich. Zastanawiałaś się, dlaczego są blokowane i przez kogo?

— Wystarczy, że ty się nad tym zastanawiałaś i mi to powiesz.

— W tym rzecz, że jeszcze tego nie rozgryzłam. Bez względu na to, co o tobie myślę, te artykuły powinny się ukazywać, a tymczasem rozpływają się, znikają, nikt o nich nic nie wie. Wygląda, że ktoś wykorzystuje twoje źródło do własnych celów... Z moich dociekań wynika, że to Czernik kładzie na wszystkim łapę, ale... wiesz, jak to jest. Może powinnaś wysłać je też do prokuratury?

Zamilkła zdziwiona, że ubranie w słowa tego, co spędzało jej sen z powiek, zajęło tak mało czasu. Wpatrywała się we mnie czujnie, wyczekująco, z niepokojem.

Rozbawiła mnie.

— Chyba żartujesz. Jeśli tak cię to niepokoi, wiesz lepiej, co robić. Ja mam dość własnych kłopotów.

Kelner przyniósł jedzenie i mogłam się pozbyć Laury bez żalu.

— Idź sobie, bo mi psujesz apetyt.



Przez chwilę stała w milczeniu, a potem odwróciła się i odeszła bez słowa sprzeciwu, ale i bez gniewu.

Cokolwiek by powiedzieć o Laurze, to nie brakowało jej uporu w dążeniu do rozwikłania zagadek. Jeśli jeszcze czegoś nie rozumie, to zapewne zrobi wszystko, by wyjaśnić sytuację.

Dla mnie byłoby lepiej, żeby się nie wtrącała.

I dla niej byłoby lepiej, gdyby zostawiła moje sprawy w spokoju.

\* \* \*

Było już po ósmej, kiedy wróciłam.

W domu nie znalazłam śladu niczyjej obecności. Przeszłam przez salon, wyjrzałam na taras i do ogrodu. Wróciłam kuchennymi drzwiami i poszłam na górę. Pusto. Cisza była niewiarygodna. Musiałam odchrząknąć, by sprawdzić, czy nie ogłuchłam.

\* \* \*

Zdziwiłam się swoim rozczarowaniem.

Pomyślałam, że jego głowa jest już prawie w porządku i chłopak pewnie niedługo odejdzie. Powinnam przywyknąć do tej myśli.

Usiadłam w ogrodzie, by poczekać.

*Od sekretarza Czernik dowiedział się, że mam syna. Takie jak ja nie powinny mieć nikogo bliskiego. Musiałam wywieźć chłopca jak najdalej i przestać się z nim kontaktować.*

Przyszedł, gdy gotowa już byłam wstać i iść do Maciakowej.

Usiadł obok. Pachniało od niego kotletami.

Skinął głową, ale był nieobecny, zamyślony, jego twarz wydawała się jakby starsza, miał bruzdy wokół ust.

— Będę potrzebował twojej pomocy. Muszę się dostać w kilka miejsc.

Kiwnęłam głową.

Zgodziłam się bez chwili namysłu.

## 27

Obudził mnie zapach jajecznicy na boczku.

Michał wrócił!

Na sekretarce czekała jakaś wiadomość, ale ją zignorowałam. Zbiegłam na dół, by przywitać się z Michałem, chociaż doskonale wiedziałam, że to nonsens.

Chłopak stał przy kuchni i mieszał jajka na patelni. Był szeroki w barach, a gdy się poruszył, widać było napinające się mięśnie pod koszulką. Mimo wszystko poczułam się oszukana.

— Zjesz? — spytał.

Skinęłam głową. Skoro usmażył, nie będę dla niego niemiła. W dodatku to moje jajka, więc dlaczego miałabym ich nie zjeść.

Ubrałam się i pojechaliśmy. Wiadomość z sekretarki odtworzyłam kilka godzin później! Była od szefa redakcji. Z poleceniem, żebym od razu się z nim skontaktowała, jak tylko ją odsłucham. Gdybym tak zrobiła, pewnie sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej, ale odebrałam po przyjeździe, a wtedy nic nie było już takie samo.

Życie jest nieprzewidywalne i nieraz trudno się zorientować, jakie w której godzinie ma wobec nas plany.

Jechaliśmy trasami, które poznałam już wcześniej.

Od czasu do czasu chłopak chciał, żebym się zatrzymała, wysiadał, wchodził gdzieś, nie było go chwilę, potem wracał i ruszaliśmy dalej. Nawet nie wyłączałam silnika. Raz tylko poprosił, żebym zostawiła samochód na parkingu i poczekała w kawiarni. W samą porę, bo i tak miałam ochotę na kawę.

Może mi się wydawało, ale w pewnym momencie zauważyłam twarz mężczyzny, tamtego ochroniarza Zofii. Po sekundzie twarz zniknęła w tłumie. Wypiłam swoją kawę, chłopak wrócił i tyle. Pojechaliśmy dalej.

O nic nie pytałam.

*Dotarliśmy do jakiegoś kolejnego miasta i przyjrzelśmy się kilku bankrutującym miejscowym firmom. Przejmowaliśmy je potem za grosze i pod ich szyldem prowadziliśmy nasze interesy.*

Pozwoliłam się unosić nurtowi.

*Po raz pierwszy od dwóch lat wzięłam Julka na kilka dni. Chciał obejrzeć muzeum w Puławach. Czemu nie? Bierzemy beemwicę, żeby nam było wygodnie. Ale pod Zalesiem jest oblawa. Zwalniam. Policjant podnosi lizak. W ostatniej chwili orientuję się, że to nie żaden policjant. Naciskam gaz. Gnam. Gonią nas. Jak tylko dotrę do Zakrzewa, będę bezpieczna, tam czekają chłopcy. Julek ma szeroko otwarte oczy. Każę mu je zamknąć, że to niby taka zabawa. Jest dzielny. Nie odzywa się. Nawet wtedy, gdy walnęłam w tego starego fiata na moście. Nas tylko odrzuciło, a tamtymi zakolowało i zlecieli. Nie miałam czasu się zatrzymać. Udało się. Ocaliliśmy życie. Pod Zakrzewem chłopaki czekały z kontenerem. Julek wysiadł. Nawet na mnie nie spojrział. Kazał się odwieźć. To był ostatni raz, gdy go widziałam. Nie chciał się ze mną spotykać. To było pięć lat temu.*

Szum maszynierii przewijającej czas.

Ach, więc tak to się odbyło, pomyślałam.

Czułam się dziwnie spokojna, zupełnie nieporuszona tym, co się wydarzyło. Było mi tylko zimno, jakbym miała w sobie bryłę lodu.

Owszem, myślałam, że to straszne, ale nie czułam nic, zupełnie nic. Tylko coś mi się trzepotało w pustej piersi.

Spojrzałam w niebo. Zbierało się na deszcz. Tegoroczna końcówka lata jest wyjątkowo paskudna. Patrzyłam na chmury i nasłuchiwałam grzmotów. Byłyby bardzo na miejscu. Myślałam o tym, że powinnam wysprzątać strych.

Najwyraźniej w moim mózgu nastąpiło jakieś zwanie.

Powinnam być na coś takiego przygotowana, a nie byłam. Czekałam na jakieś dalsze wyjaśnienia. Chociaż nie miałam pojęcia, co tu jeszcze pozostało do wyjaśniania.

Nigdy w życiu nie czułam się tak bardzo zdradzona. Mój miodowy miesiąc z Zofią i jej bandą dobiegł końca.

Nie tak miało być.

*A niby jak miało być?*

Uświadomiłam sobie, jak bardzo czułam się z nią związana przez cały ubiegły tydzień. Jak bardzo imponowało mi jej wariackie życie. Była zwykłą oszustką, a ja pozwoliłam zarazić się tą przypadłością.

Drapała mnie w gardle gorzycz rozczarowania.

Nie płacz, powiedziałam do siebie w myślach. — Nie waż się teraz płakać.

Nacisnęłam gaz. Niech porwie mnie rzeka pojazdów, niech mnie niesie, niech mną rzuca, rozerwie na strzępy.

Ucisk w piersi jeszcze się nasilił.

— Źle się czujesz? Może ja poprowadzę?

Znajdowałam się w stanie całkowitego otępienia. Słyszałam jakieś słowa, ale ani ich nie rozumiałam, ani nie wykazywałam najmniejszego zainteresowania. Odkryłam, że zupełnie nie jestem w stanie zdobyć się na wysiłek słuchania, nawet wysiłek kiwnięcia głową wydawał się za duży. Słyszałam ten głos gdzieś z zewnątrz. Patrzyłam na tego, kto mówi, i nie rozpoznałam go. Jakiś obcy człowiek. Dotknął mojego ramienia, ale ostrzegłam go ruchem ręki, że jestem pod napięciem i najłżejszy nawet dotyk grozi śmiercią lub kalectwem. Zauważyłam, że ręka mi drży na kierownicy. Przed oczami rozgrywał się cały film. Najpierw miałam przed sobą ciemność, potem w polu widzenia mignęło coś białego, a gdy poruszałam głową, dostrzegałam falujące linie.

Wreszcie wydusiłam z siebie.

— Umiesz prowadzić?

Nie słyszałam, co odpowiedział.

Zjechałam na pobocze i przesiadałam się na fotel pasażera. Było mi wszystko jedno.

Przez chwilę uświadamiałam sobie jego obecność, a potem o nim zapomniałam. Odwróciłam się do okna i patrzyłam na migające drzewa, psa leżącego połówką ciała na jezdni. Wjechaliśmy w uliczkę brukowaną kocimi łbami. Mijaliśmy stare kamienice zdobione głowami ludzi i smoków.

Zatrzymaliśmy się i wszedł do jednego z nich.

Znad drzwi spoglądał na mnie gryf z utraconym skrzydłem. Miałam wrażenie, że się ze mnie śmieje.

*Po wypadku wszystko się zmieniło. Julek zachował wtedy całkowity spokój, ale jak wysiadł, powiedział, że to był ostatni raz. Ze jeśli mnie kiedyś odwiedzi, to tylko w jednej sytuacji: jeśli będę siedziała w więzieniu. Głupi szczeniak. Jego słowa odrzuciły mnie wtedy tak, jakbym zainkasowała cios pod brodę. Nie poszłam do więzienia, nasz policjant wyciszył sprawę. Dostał łapówkę, zbudował za nią dom. Ja byłam czysta w oczach prawa. Ale smarkacz ani razu nie zgodził się na spotkanie. Był twardy jak głaz.*

I dobrze.

Ja też nią pogardzałam.

Zaufałam jej.

Jak mogła mnie tak omamić? Nie znoszę, gdy ktoś z taką łatwością wodzi mnie za nos. Los, jaki ją spotkał, uznałam za sprawiedliwy. Prawda była taka, że czułam wstręt do samej siebie, do własnych myśli. Wystarczyło, że przypomniałam sobie, jak mi imponowała, a momentalnie pograżyłam się w otchłani wstydu.

Chciałam zapomnieć o wszystkim. Jak wrócę do domu, włączę komputer, pootwieram wszystkie pliki, nacisnę klawisz i wymażę z pamięci całą, niemal gotową książkę. Już mi na niej nie zależało.

Nie będę pisała, nie będę nikogo szukała, nie będę nikomu przekazywała tych bredni.

A jej syn... Co mnie to obchodzi!

*Pewnie. Przecież to gnojek. Jest taki jak jego ojciec, za miękki. Wolalby widzieć mnie w więzieniu, bo według niego tylko tam miałam szansę stać się uczciwa. Naiwniak. Nie znalazłoby się już takie miejsce na ziemi, gdzie mogłabym być przyzwoita w jego rozumieniu. Ale wtedy on jeden miał dość rozumu, by zadzwonić po pomoc dla tych ludzi.*

Uświadomiłam sobie, że to naprawdę dzieciak zadzwonił po pomoc, gdy samochód leżał pod mostem.

Spóźnił się, niemniej spróbował.

\* \* \*

Wróciliśmy do domu.

Potrzebowałam swoich schodów.

Zrobiłam jedną rundę. Wiatr był coraz silniejszy. Po wodzie niesło się dzwonięcie. Przebiegłam jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Biegałam, póki nie zrobiło mi się słabo, a wtedy położyłam się na trawie i słuchałam szmeru przepływającej rzeki.

Od czasu do czasu zza chmur wychodziło słońce i liście zaczynały lśnić jak świeżo pomalowane czystą, intensywnie zieloną farbą. W oknie na strychu Maciakowej przeglądały się chmury. Po wodzie niesły się dźwięki dzwonek.

Maciakowa z kimś rozmawiała. W jej głosie pobrzmiwały radosne nuty. Śmiała się. Ktoś jej odpowiadał. Ten głos też znałam, ale nie chciało mi się zastanawiać, do kogo należy. W jakiś niejasny sposób czułam się i przez nią oszukana. Ciekawe, czy wiedziała? Nie umiałam sobie wyobrazić, że potrafiłaby się tak śmiać, gdyby zdawała sobie sprawę, że jej mąż zbudował dom za łapówkę, którą dostał od Zofii za wyciszenie sprawy śmierci moich rodziców. Mogłabym pójść do niej i spytać, czy przez cały ten czas знаła prawdę.

Rzecz w tym, że nie chcę tego wiedzieć.

Nad niektórymi sprawami lepiej spuścić zasłonę milczenia.

Co by się stało ze światem, gdyby wszyscy potrafili wnikać w dusze innych ludzi? Lepiej, że każdy jest osobnym, zamkniętym w sobie wszechświatem.

Zaczął padać deszcz i poczułam, jak ogarnia mnie spokój.

Nie było już niczego niewyjaśnionego w moim życiu.

Dowiedziałam się tego, co chciałam wiedzieć.

Odetchnęłam głęboko i poczułam, jak dusza Tomka odłącza się ode mnie i idzie tam, gdzie już dawno powinna była pójść. Może była za mała i zabłądziła, bo nie wiedziała, dokąd iść, albo nie chciała odejść, a ja nie mogłam zrobić nic więcej poza czekaniem, aż dorośnie i odnajdzie swoją drogę. Tak to sobie wyobraziłam. Ale równie dobrze mogło być odwrotnie. To ona opiekowała się mną. A teraz wreszcie uznała, że już dam sobie radę, i odeszła.

Niespodziewanie chwycił mnie skurcz w podbrzuszu, aż zakręciło mi się w głowie.

Przesadziłam z bieganiem.

\* \* \*

Wróciłam do kuchni, odkręciłam kran z zimną wodą i umyłam twarz.

*Dostałaś, co ci obiecałam. Teraz twoja kolej.*

Ani mi się śniło cokolwiek robić.

Nie chciałam mieć z nią już nic wspólnego. Czułam się zwolniona ze wszystkich zobowiązań. Nie zamierzałam trwonić więcej czasu na przejmowanie się kimś, kto na to nie zasługuje.

Szorowałam ręce. Chciałam zmyć z siebie cały brud, w jakim się utylałam. Weszłam pod prysznic i stałam pod zimną wodą tak długo, póki nie poczułam, że się rozpuszczam.

Usłyszałam, jak okiennice uderzają o framugi. Drzewa nad rzeką gięły się ku wodzie. Pociemniało. Pozamykałam okna, ale przez otwarte drzwi patrzyłam, jak w ogrodzie fruwały rozwieszane na sznurach dżinsy. Miałam zamiar biec, by je ratować, nagle jednak wszystko znieruchomiało. Drzewa przestały się giąć, zerwane liście zatrzymały się w locie, muchy przestały brzęczeć. Uderzył piorun. Najpierw pojawił się błysk, a zaraz potem huk, tak potężny, że ogłuchłam. Uderzył gdzieś blisko.

Uciekłam do domu i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Jeszcze nie przebrzmiał huk piorunu i zatrzasniwanych drzwi, gdy pojawiło się we mnie coś, czego wcześniej nie było. Coś gniewnego, buntowniczego.

Pragnienie zemsty.

Poznałam Zofię na tyle dobrze, by wiedzieć, co mogło ją najbardziej zranić. Wiem, wiem, wiem. Cały ten jej cholerny majątek, który tak ciułała, a teraz zostawiła pod moją opieką, oddam temu, z kim rywalizowała i kto ją pokonał. Wszystko, o czym mi powiedziała, przekażę jej największemu wrogowi. Musiała być chyba głupia, skoro właśnie mnie wybrała na stróża swoich dóbr. Czyżby sądziła, że dam się przekupić tymi brudnymi pieniędzmi, że zapłaci mi za życie mojego dziecka?

Wiedzma.

Zamknęłam oczy i przejrzałam w myślach wszystkie znane mi fakty. Doświadczenie nauczyło mnie, by skrzętnie gromadzić wszelkie dane i nigdy nie wypuszczać z rąk cennych informacji, dopóki nie opłaci się to w dwójnasób. Na wszystko przychodzi właściwy czas.

Wiedziałam, kto jest jej największym wrogiem.

Laura miała rację. Czernik korzystał z moich informacji i przejmował interesy Zofii.

Przez ostatnie dni podawałam mu je jak na tacy. Robiłam to nieświadomie, teraz jednak gotowa byłam dać mu resztę z własnej woli, z premedytacją. Posika się chłop ze szczęścia.

Wiem, że zdrada jest godna pogardy, ale to właśnie miałam zamiar zrobić. To będzie moja zemsta. Wyrównanie rachunków.

Zofia zapłaci za wszystko.

*Zrób to, tak, zrób to, nie zwlekaj, bo czasu jest coraz mniej.*

Skutki tej machinacji na chwilę mnie przytłaczają. Mam wrażenie, że idę po powierzchni wody. Źle postawiona stopa i wpadnę. Czekam, by sprawdzić, czy się boję. Nie. Nic a nic. Szczerze mówiąc, nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia. Czekające mnie zadanie wydało się nagle całkiem przyjemne. W najgłębszym zakamarku mojego umysłu znalazło się nawet miejsce na radosne podniecenie. Bo w sumie, cokolwiek się stanie, i tak nie może być to gorsze od wszystkiego, co już mi się w życiu przydarzyło.

Sprawa została przesądzona.

— Zrobię to!

*Tak. Zrobimy to obie.*

\* \* \*

— Weronikaaaa!

Oglądam się, sprawdzając, o kogo chodzi. Maciakowa macha do mnie zza płotu i drze się przez całą szerokość ulicy:

— Śpisz? Telefon u ciebie dzwoni i dzwoni! Idź, zobacz kto!

Dopiero w tym momencie przypominam sobie o wiadomości, której jeszcze nie odsłuchałam.

Wchodzę do domu. Przez chwilę gapię się na pulsujące światelko sekretarki, zgadując, kto jeszcze po tylu latach o mnie pamięta. Podnoszę słuchawkę.

— Oddzwon. Sprawa pilna.

Muszę chwilę pomyśleć, by przypomnieć sobie, że to szef redakcji. Wykreśliłam go z pamięci tak dokładnie, że czuję się niemile zaskoczona, że to właśnie Lulu.

Ton jego głosu świadczył, że powinnam przygotować się na najgorsze. Wzywa mnie pewnie po to, by wręczyć wymówienie. Przekroczyłam jakąś granicę. Sądzę, że niejedną.

Przez chwilę wpatruję się w aparat i zastanawiam, co zrobić. Może lepiej wziąć zwolnienie lekarskie. Mogłabym odroczyć wyrok.

Ale dzisiaj sobota, przychodnia nieczynna. Wzdycham i wystukuję numer redakcji. Straciłam już rachubę, jak długo mnie tam nie było.

## 28

— Zbieraj się i przyjeżdżaj — powiedział tonem człowieka, którego cierpliwość została nadużyta.

— O co chodzi?

— Jak to o co? Koniec urlopu, pora do pracy!

Naprawdę? Niemożliwe! Nareszcie.

Z twarzy opadło sennie odrętwienie. Przeciągnęłam się. Uświadomiłam sobie, że obok przez cały czas życie toczyło się normalnym trybem. Tylko ja wpadłam w jakiś wir, a teraz właśnie Lulu podaje mi rękę i chociaż nie jest to dłoń, której pragnę się trzymać, może przy jej pomocy może uda mi się wypłynąć na powierzchnię.

Zaczerpnęłam łyk powietrza. Aż mnie oszołomiło.

Jednym susem wyskoczyłam z dresu i pobiegłam pod prysznic. Zdołałam z grubsza zmyć z twarzy zielony kolor. Poczułam się o niebo lepiej.

Wydając okrzyki wojenne, pobiegłam do samochodu. Nareszcie!

Jechałam z nadzieją, że wraz z rozgrzeszeniem dostanę wykaz zwykłych spraw i będę znów mogła zapełniać dni wyprawami na rynek, rozmowami z hodowcami psów, sprzedawcami majtek i początkującymi poetami. Super.

Wyobrażałam sobie, jak szef spyta:

— No, jak tam, jeszcze masz ochotę grzebać się w sprawach, które cię przerastają?

A ja uczciwie, z ręką na sercu odpowiem:

— Nie.

Coś mi szeptało, że bym nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei, bo i tak nic nie pójdzie po mojej myśli.

Podczas gdy myśli kłębiły się w głowie, nogi automatycznie naciskały gaz i sprzęgło, a ręce kręciły kierownicą, tak że samochód jechał sam. Jeszcze pamiętał drogę do redakcji.

\* \* \*

Zdumiało mnie, że już przy wejściu natknęłam się na Laurę.

Pałała nerwowo papierosa i wyglądała raz za razem przez szybę w drzwiach na ulicę, jakby spodziewała się wizyty samego prezydenta. Minęłam ją i ruszyłam na górę. Po drodze spotkałam z tuzin ludzi, którzy powinni o tej porze pomagać rodzinom w sprzątanii i zakupach. Normalnie w sobotę w redakcji nie ma nikogo, poza najbardziej niezbędnymi dyżurnymi redaktorami. Tymczasem co rusz dostrzegałam kogoś, kto wystawiał głowę nad przepierzenie tylko po to, żeby na mnie popatrzeć. Odniosłam wrażenie, że w momencie, gdy się zbliżałam, w ich boksach zapalało się czerwone światło i błyskał napis: „Uwaga, nadchodzi!”. Wtedy podnosili tyłki, ale nie po to, by mnie przywitać, ale żeby mieć na oku. Byłam przekonana, że gdy się oddalę, alarm zgaśnie, a wtedy odetchną z ulgą, mogąc wrócić do pracy, którą przeze mnie przerwali.

Czułam się obco. Zupełnie jakbym tylko grała rolę kogoś do mnie podobnego.

Na półpiętrze zerknęłam w lustro i, rzeczywiście, to nie byłam całkiem ja. Zwykle widziałam tam siebie w podkoszulku i džinsach, a teraz wyglądałam jak gwiazda. Nie miałam pojęcia, że mimo pośpiechu tak się wystroiłam. Myśl, że zaczyna mi to wchodzić w krew, trochę mnie rozzłościła. Jakaś część tej irytacji dotarła do mojego odbicia, bo tamta spojrzała na mnie porozumiewawczo. Bez względu na to, co się stanie, takie jak my muszą trzymać fason. Trwało to ułamek sekundy. A może tylko mi się zdawało.

Boże, znowu świruję.

TAK TRZYMAJ. TEN ŚWIAT KRĘCI SIĘ DZIĘKI WARIATOM.

\* \* \*

Dogoniła mnie Laura.

— Musimy porozmawiać — oznajmiła.

Wlepiła we mnie oczy, jakby wątpiła, czy zechcę jej poświęcić chwilę. Też zauważyła różnicę. Zatrzymałam się na moment.

— Co zamierzasz? — spytała nerwowo.

— Nic — odpowiedziałam.

Chodziło jej chyba o to, jakie podejmę działania w sprawie zaginionych artykułów, a ja nie zamierzałam podejmować żadnych działań. A przynajmniej nie takich, jakich oczekiwała.

— Jak to nic? Nie możesz tego teraz zostawić! — wysyczała. W jej głosie brzmiała desperacja.

— Właśnie to robię.

Nie zamrugła, a minę miała taką, jakby zamrugła.

Była naładowana jak burza. Nie zamierzałam przebywać w jej pobliżu dłużej niż to absolutnie niezbędne, bo prowokowałabym rozlew krwi. Ruszyłam. Szłam tak szybko, że musiała biec, żeby dotrzymać mi kroku. A gdy się zatrzymałam, wpadła na mnie. Sprawiała wrażenie spiętej.

Popatrzyłam na nią z uśmiechem. Kurcze, stać mnie było, żeby w tej sytuacji rozmawiać z nią na luzie. Nie tylko ubierałam się, ale i zachowywałam inaczej. Sama czułam tę odmianę, nie musiałam spoglądać w lustro, by widzieć inną siebie.

— Pewnie nie wierzysz, ale ja naprawdę z tym skończyłam.

— Chyba nie mówisz poważnie? — syknęła, patrząc na mnie jak na głupią. Wydawała się jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż ostatnio. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— No to się przyglądaj.

— Przestraszyłaś się?

Wyszczrzyłam zęby. Wrrr. Nie wiedziała, z kim rozmawia.

*To nie jest kwestia strachu, tylko strategii. Zejdź nam z drogi.*

Właśnie.

— Zejdź mi z drogi.

Powstrzymałam się od nagłej chęci pociągnięcia jej za włosy.

Laura wyczuła we mnie coś obcego, bo ustąpiła. Patrzyła, jak odchodzę. Przez chwilę myślałam, że zaczniemy ze sobą walczyć. Będziemy się tarzać po redakcyjnych korytarzach, ku uciesze gawiedzi.

Ale nie zatrzymała mnie. Pozwoliła mi odejść.

\* \* \*

Swoje biurko zastałam wysprzątane.

Lśniło czystością wypolerowane na błysk, bez odrobiny kurzu czy skrawka papieru. Ziało pustką. Gdy jest tak czysto, nie wiem, od czego zacząć. Chyba od pytania, czy nadal tu pracuję?

— Nigdy nie zgadniesz, co się stało — przywitał mnie Szymon radośnie, jakby nie było żadnej przerwy, jakbyśmy widzieli się godzinę temu.

— To mów.

— Masz umówione spotkanie z Czernikiem.

Aż mnie zatkało z wrażenia. Jak to nigdy nie można być pewną, co się zdarzy.

— O to nam przecież chodziło, no nie?

Czułam, że rumienię się z zakłopotania. Nie wiem, czy jestem bardziej zdumiona, czy przestraszona swoją podwójnością. Takie rzeczy innym się chyba nie zdarzają.

— Wiesz przynajmniej, o co chodzi?

— Nie bardzo. Szef ci powie.

Spróbowałam zebrać myśli i ogarnąć wszystko, ale nie jest to wcale łatwe. Nie mam pojęcia, czy to dla mnie dobrze, czy źle. Nie zdążyłam jeszcze niczego zaplanować. Jeszcze wszystkiego do końca nie przemyślałam.

To stało się tak szybko. Za szybko.

Nie chcę myśleć o tym, co naprawdę skłoniło go do wyznaczenia mi tego spotkania.

— Dlaczego ja? Laura będzie rozczarowana.

Po minie Szymona widzę, że woli nie dociekać przyczyn. Uświadamiam sobie, że zarówno dla niego, jak i pozostałych to dosyć oczywiste. Wyczuwam jego niechęć. Unika mojego wzroku. Świadomość, że mi nie ufa, nie jest przyjemna. Usiłuję wmówić sobie, że nic mnie to nie obchodzi, ale wcale mnie to nie uspokaja.

Otwieram komputer. Pusto. Ktoś w nim grzebał, przeczesał moją skrzynkę. Wiadomości, które tam miałam, wsiąkły. Nie znaczy, że są mi jeszcze do czegoś potrzebne, ale były moje.

— Kto grzebał w moim komputerze?

Szymon patrzy na mnie niespokojnie.

— Zaraz po twoim wyjściu zabrali go do czyszczenia. Coś zginęło?

— Wszystko zginęło.

No i dobrze. Przynajmniej te materiały mam z głowy. Domyślam się, do kogo trafiły. W sumie ucieszyłam się, że będę miała mniej do przekazywania. Zostały mi jeszcze numery kont i kontakty telefoniczne. Akurat to się zmieści na jednej kartce.

Cieszę się, że tak sprawnie idzie mi pozbywanie się spraw Zofii. Jest nadzieja, że już wkrótce wszystko będzie normalne.

\* \* \*

Wreszcie przyszedł szef.

— Dobra, wracamy do sprawy.

Zabrzmiało to tak, jakbym kwadrans wcześniej została dostarczona przez policję.

— Czernik zadzwonił, że tylko wtedy zgodzi się na wywiad, jeśli to ty go zrobisz.

— Jaki wywiad?

— Chce się pokazać jako sponsor nowych polityków.

Gówno prawda.

Chodzi o Zofię, o moje artykuły o niej. Chce wiedzieć więcej, chce wiedzieć wszystko, co ja wiem. Ma Michała i wierzy, że trzyma mnie w garści. Dam mu wszystko, czego zażąda.

Ma rację.



I, co gorsza, wszyscy o tym wiedzą.

— Taki jest jego warunek. Albo ty robisz ten wywiad, albo da go innej gazecie. Więc nie mam wyjścia.

Nie ma wyjścia, dobre sobie.

Słyszałam bicie własnego serca. Wyłączyłabym je, gdybym tylko dała radę.

Wszyscy wyglądali, jakby byli pogrążeni w medytacjach. Czekając na ciąg dalszy, zastanawiali się, ile mogą im zaszkodzić. Czy nie lepiej już teraz zaprotestować i odciąć się ode mnie.

Na twarzy Lulu malowało się cierpienie. Przyglądał mi się uważnie, jakby podejrzewał, że dał się wciągnąć do jakiejś gry, i pozwalając mi tu być, ma wszelkie szanse zostać stroną przegraną. Nawet, jeśli będzie się miał na baczności. Może pamiętał tamtą chwilę sprzed kilku dni, gdy stał na ulicy, niepewny, co zrobić, a my z Czernikiem wzięliśmy go w dwa ognie spojrzeń. Nie było mu wtedy przyjemnie i teraz czuł ten sam dreszcz i też nie wiedział, co zrobić.

Najwyraźniej nie miał pewności co do mojego prawdziwego statusu i czynił wysiłki, by coś zrozumieć. Na podstawie mojej miny, mojego ubrania, moich gestów próbował odczytać całą prawdę o mnie. Bał się, że jeśli popełni błąd, będzie musiał za niego zapłacić. Wolałby, żeby kto inny płacił.

Może powinnam mu powiedzieć, jak sprawy wyglądają. Tak byłoby honorowo. Tylko kto by uwierzył w prawdę? Dopiero by się śmiali. Pewność, że zabrzmi to głupio, sprawiła, że moje poczucie winy zbladło. Nie ogarnęła mnie skrucha.

Niepotrzebnie przedłużał ciszę, ale atmosfera pełna skrępowania dawała mu świadomość własnej siły.

I tak zamierzał zlecić mi ten wywiad po to mnie ściągnął. Po prostu chciał pokazać, jaki jest rozsądny, ostrożny, przewidujący.

Zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Miałam mnóstwo czasu.

W końcu westchnął. Wiedział, że z jakiegoś powodu znalazłam się w gronie wybrańców i tylko ja mogę zrobić to, co było do zrobienia. Laura z osobliwym wyrazem twarzy spoglądała na mnie z odległego końca stołu. Swoim spojrzeniem i uśmiechem mówiła: I co, chyba nie myślałaś, że ci się uda wymigać.

Nikt oczywiście tego nie dostrzegł.

— Zgadzasz się?

Byłoby łatwiej, gdybym stanęła przed prostym wyborem: zgadzam się albo odmawiam. Jednak rzeczywistość okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Żadna decyzja nie będzie dobra. Tak czy owak musiałam wybrać między jednym złem a innym, jeszcze gorszym. Skinęłam głową w obawie, że mogłabym nie wydobyć z siebie głosu. Byłam zdecydowana, zanim jeszcze zadał pytanie.

— Dobrze — odpowiedziałam z wahaniem, żeby miał wrażenie, że robię to dla niego, dla redakcji, dla gazety.

Za żadne skarby nie przepuściłabym takiej okazji. A co? Zapowiadało się na niezłą zabawę, prawdziwą beczkę śmiechu.

— Dość się wynudziłam przez tych kilka dni — dodałam z uśmiechem.

Spojrzałam na Laurę, ale nie widziała w tym nic śmiesznego. Jej twarz była doskonale poważna. Wiedziała, że tym razem pakuję się naprawdę w duże kłopoty.

\* \* \*

Wróciłam i usiadłam przy pustym biurku. Szymon siedział przy swoim i coś tam mruczał.

— Co mówisz?

— Ty lepiej wyjmij portfel z torby, zanim tam wejdiesz, bo drań ci skubnie go i nawet nie zauważysz, kiedy.

Oby tak było. Po to właśnie tam idę.

*Mamy zamiar dać mu wszystko, co tylko tyknie. Każda rzecz, którą wziął, jest oznakowana. Każdy kontakt pod obserwacją. Właściwie już go mamy. Zamykamy tylko się.*

W spojrzeniach chłopaków nie dostrzegłam za grosz przychylności.

Musiałam koniecznie zrobić coś, co choć częściowo zwróci mi ich zaufanie.

— Byłabym wdzięczna, żeby któryś z was ze mną pojechał — powiedziałam obojętnym tonem. — Sama się nie odważę.

— Na pewno nie zaszkodzi — odparł Szymon z wyraźną ulgą.

## 29

Na ulicy znów widzę tamtego faceta; to goryl Zofii.

Zbyt często go widuję.

Spojrzałam na niego, ale kiwnął głową, że wszystko w porządku, mam się nie zatrzymywać, nie przejmować jego obecnością.

Teraz dopiero się przejęłam. Ogarnęło mnie wrażenie, że porwał mnie wiatr i rzucił w wir wydarzeń, które już się działy, a ja zostałam w nie włączona wbrew woli. Nie byłam dość silna, by się wycofać.

Nagle sobie uświadomiłam, że za chwilę znajdę się w towarzystwie bardzo niebezpiecznego człowieka, zupełnie mi obcego, o którym wiem o wiele za dużo. Czułabym się znacznie pewniej, gdybym wiedziała mniej. W głębi duszy wierzyłam, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, chociaż tak naprawdę nie byłam niczego pewna.

Boję się, jednak ten strach sprawia mi przyjemność.

Sama przed sobą udaję, że chcę mieć już wszystko za sobą, ale tak naprawdę podoba mi się to, co mam zamiar zrobić. Czuję napięcie. Serce podskakuje w piersi.

Szymek drepcze obok mnie. No, trudno. Może będzie dzielny.

\* \* \*

Wysiedliśmy z windy na pierwszym piętrze i znaleźliśmy się w holu, gdzie główne miejsce zajmował kontuar z marmuru czy czegoś takiego. Siedział tam facet w garniturze. Wyglądał na dyrektora, a był tylko strażnikiem. Sprawdził nasze dane, wpisał do komputera, dostał potwierdzenie, wręczył nam kartę magnetyczną i pozwolił przejść przez bramkę. Dalej były ogromne drzwi. Otworzyły się przed nami zapraszająco, a gdy je minęliśmy, zamknęły się z lekkim trzaskiem. Odniosłam wrażenie, że zostaliśmy właśnie pozbawieni wolności.

Stąd się nie wychodzi bez zezwolenia.

Poczułam, jak strużka potu spływa mi po kręgosłupie.

Ujrzałam przerażającą wizję tego wszystkiego, co się ze mną stanie, gdy Czernik zorientuje się w moich intencjach.

A jakie niby są te moje intencje?

Zaczął mnie ogarniać niejasny, mglisty strach.

No nie, co ja właściwie sobie myślałam? Że tak po prostu dam Czernikowi listę jej przedsiębiorstw, skorumpowanych polityków i kont w bankach, a on mi podziękuje? Najwyraźniej postradałam zmysły. To nie może być takie proste.

Chociaż, czemu nie.

Przecież wie, kto pisał artykuły. Informacje, które tam zamieszczałam, brał jak swoje. Z pewnością podejrzewa, że zgromadziłam ich więcej. Jeszcze tylko nie wie, że zamierzam dać mu je z własnej woli. W tym momencie uświadamiam sobie jeszcze inną możliwość, że cokolwiek mu dam, on i tak będzie podejrzewał, że mam tego więcej. Będzie chciał wiedzieć, skąd. Co mu powiem?

*Powiesz prawdę.*

Miałam mniej zdrowego rozsądku, niż sądziłam.

Dalej był jeszcze jeden hol z kontuarem, a za nim recepcjonistka w beżu i czerni, idealnie zharmonizowana z wytwornością otoczenia. Właśnie szepcze do telefonu, informując o naszym przybyciu.

— Jesteśmy umówieni na wywiad do gazety — powiedziałam, czując jeża w gardle.

Skinęła głową i poprowadziła nas do pokoju ze skórzanymi fotelami.

Szymek nie mógł nadziwić się bogactwu, a ja cały czas miałam wrażenie, że jestem w przedpokoju. Luksusowym, ale tylko przedpokoju.

Jednak się bałam.

Głównie tego, że mimo wszystkich ceregieli Czernik nie przyjmie nas, zrezygnuje, wymówi się czymś, nie da mi szansy zrobienia tego, z czym przyszłam.

Sekretarka wskazała nam miejsca.

Dostaliśmy czas, by podziwiać szpanerskie biurko, obrazy na ścianach, dywany, księgozbiór i dziesiątki drobiazgów, które świadczyły o bogactwie właściciela. Nigdy w życiu nie widziałam wyraźniej szczegółów. Wzorek na dywanie, podpis Kossaka na obrazie, złożone grzbiety książek, plama słońca na ścianie. Wypełniałam nimi miejsca w mózgu, przeznaczone zwykle na wątpliwości.

Na ścianie za biurkiem wisiała skóra niedźwiedzia. Sam go zastrzelił, o czym mówiła blaszka przybita poniżej niedźwiedziej łapy. W 1999 roku. Biedny misiek. Był tu po to, by straszyć petentów.

Usta same wykrzywiły mi się w grymasie obrzydzenia.

Gdy wszedł Czernik, przez chwilę zastanawiałam się wstać czy nie. Szymek podniósł się, a ja nie wiedząc, czy wzbogaconemu na szwindlach bandycie należą się takie względy, też ostatecznie wstałam. Obejrzał mnie z krytycznym zainteresowaniem. Udał, że nie dostrzegł chwili wahania.

Zatrzymał wzrok na perle. Patrzył na nią dłużej, niż to było potrzebne. Zastanawiał się, czy to coś znaczy, czy to tylko przypadek. Wreszcie doszedł do wniosku, że w tej chwili to i tak bez znaczenia.

— Napiją się państwo czegoś?

Podziękowałam w imieniu nas obojga.

Nie był zadowolony, że przyszłam z obstawą. Inaczej to sobie zaplanował. Ostatecznie zdecydował się ignorować Szymka. Podniósł szklankę do ust i znad jej krawędzi przesunął wzrokiem po mojej twarzy. Czulałam, jak jego spojrzenie wnika mi pod skórę. Pomyślałam, że i on zna tę sztukę. Dlatego muszę się mieć na baczności.

Nie odwróciłam oczu. Zablockowałam się tuż pod powierzchnią i zwyczajnie nie pozwoliłam, by zajrzał głębiej.

Zadał mi kilka grzecznych pytań o naszą pracę, życie w mieście, ulubione restauracje, same banały, żadnej dociekliwości. Rzucił kilka słów o Michale, o tym, jaki jest zadowolony ze współpracy z nim. Podjął wysiłek, by stworzyć atmosferę bliskości, niemal koleżeństwa. Odgradzał mnie od Szymona.

Sądziłam, że będę miała tremę, a tymczasem czułam idealny spokój podczas tej rozmowy. Już od pierwszej chwili zorientowałam się, że nie jest to typ intelektualisty. Raczej zwykły bandzior, który pragnie władzy i kupuje ją sobie, bo ma za co. Jego siła polega na tym, że nigdy w nic nie wątpi.

Chciałoby się, by ten, z kim się pakuje, był choć odrobinę lepszy od tego, kogo się zdradza. Czernik w niczym nie był lepszy od Zofii. Ona zabrała mi dziecko, on Michała.

— Jesteśmy wdzięczni, że właśnie my możemy przeprowadzić z panem rozmowę — zaczynam go smarować wazeliną.

Czuję się niezręcznie, ale okazuje się, że on nie zamierza odpowiadać na żadne pytania.

— Teraz są takie czasy, że ludzie sami decydują, których praw chcą przestrzegać, a które łamać. Szczególnie jeśli mają władzę, a jeszcze bardziej, gdy są dziennikarzami. Żeby uniknąć kłopotów, mam dla państwa przygotowane odpowiedzi na pytania, jakie powinniście mi zadać.

Uśmiecham się. Nie umiem powiedzieć, dlaczego nie protestuję.

Biorę podane mi kartki i kładę obok swoich notatek. Nawet na nie nie patrzę. Dobrze by było, gdybyśmy na tym mogli zakończyć tę sztuczną konwersację, ale oboje wiemy, że nie o to chodzi. Ten lipny wywiad to tylko pretekst do ściągnięcia mnie tutaj.

Szymon nie wtrąca się, siedzi idealnie nieruchomo i czeka razem z nami na ciąg dalszy.

\* \* \*

Wszystko się we mnie skręca, ale muszę zachowywać się normalnie. Tylko co to znaczy, normalnie? To znaczy, że muszę się podporządkować biegowi rzeczy.

On tu rządzi, nadaje rytm temu spotkaniu. Swoje szanse mogę poprawić tylko poprzez zyskanie jego przychylności. Więc słucham, gdy rozwodzi się nad gospodarką kraju, przybiera pozę obywatela zaniepokojonego moralnym rozprężeniem i zmierza w kierunku roli, jaką chce odegrać w najbliższej przyszłości. Mówi, a ja widzę w jego oczach, że mnie lekceważy. Widzi we mnie tylko kobietę. Patrzy na mój biust i zastanawia się, ile miałby przyjemności, gdyby udało mu się mnie zbajerować. Gdyby tylko umiał zajrzeć pod maskę miło uśmiechniętej blondynki, zobaczyłby potwora.

Muszę sobie ciągle przypominać, kim jestem i po co tu przyszłam.

Opowiada głupstwa, niemające nic wspólnego z tym, co naprawdę myśli. Tworzy obraz, który mam przekazać dalej. Wykorzystuje mnie. W jakiś niezamierzony sposób stawia mnie w roli współuczestnika wojny. Już nie wiem, po czyjej jestem stronie.

Boję się, że nie dam rady.

*Dasz radę, zachowaj tylko spokój.*

Wyłączam uwagę. Rejestruję jedynie tembr jego głosu. Przyglądam się mimice twarzy; drganiom nosa, ruchom powiek, wysuwaniu zębów przy wymawianiu spółgłosek. Dzięki temu mogę się skupić i sprawiać wrażenie, że słucham tego, co mówi.

W pewnej chwili przerywa i uśmiecha się zachęcająco. Nie wiem, czego oczekuje; że będę bić mu brawo, czy co? Jedyne na co mogę się zdobyć, to kretyński uśmiech.

Boże, nudzi mnie.

DOBRE CI IDZIE. SAM BYM SIĘ POMYLIŁ, JAKBYM TYLKO NA CIEBIE PATRZYŁ.

Czasami mam taki sen, że biegnę za ruszającym samochodem ojca, by zabrać się razem z nimi do kina. Ale tata przyspiesza i choć wiem, że nie zdążę, gnam z wywieszonym językiem, bo jak mi się uda ich zatrzymać, to nic się nie zdarzy, uratuję ich. Więc biegnę i wierzę, że tym razem dam radę.

Muszę zdążyć wypowiedzieć to zdanie, nim znudzi się naszym towarzystwem i każe się wynosić.

Skupiam się, by wychwycić właściwy moment.

A potem będzie, co będzie.

*Dobrze będzie. Obiecałam Julkowi, że oddam wszystko. Nie zatrzymam niczego. Chcę się wywiązać chociaż z tej jednej obietnicy.*

Obietnice, przyrzeczenia, cóż to wszystko warte.

Mięśnie napięły mi się ze strachu.

Boże, dopomóż.

JA SIĘ NIE WTRĄCAM.

I gdy już myślał, że ma mnie z głowy, mówię swoją kwestię. Wyływa ze mnie lekko, gładko, bez zająknięcia.

— Piszę książkę o pewnej kobiecie, która niedawno zginęła w wypadku, i tam, w jej wspomnieniach, pojawia się pana nazwisko.

Zdążyłam.

Zalała mnie fala niewypowiedzianej ulgi.

Nie od razu podniosłam wzrok, by sprawdzić jego reakcję. Dałam mu czas. Dopiero gdy ochłonął, spojrzałam i nie odwróciłam głowy przez kilka długich chwil. Uniesione brwi i czujność w oczach świadczyły, że moje słowa nie trafiły w próżnię. Już był mój.

— Tak, rozumiem — powiedział i zaraz potem odkaslnął, chcąc zyskać na czasie.

Wytrąciłam go z ciągu zaplanowanych w mózgu czynności i teraz potrzebował czasu, by przestawić się na ręczne sterowanie.

Schyliłam się i zaczęłam grzebać w torbie. Wyjęłam maszynopis i położyłam go przed sobą.

*Ten mój dzieciak wcale nie był miękki. Był twardszy ode mnie. Zawsze taki był, od maleńka. Tęskniłam za nim. Z każdym rokiem bardziej. I koniec końców postawił na swoim. Zrobiłam rzecz niewiarygodną. Zwinęłam interes. Szkoda tylko, że się nie udało. Dziwne, jak los się plecie. Przeszkodziłaś nam. Za wcześnie rozeszła się wieść o mojej współpracy z policją. Narozrabiałaś i teraz musisz dokończyć to, co zaczęłam. Śmiało.*

Odchrząknęłam.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

Niemal mnie przeraził.

Był przyzwyczajony, że wykorzystując wyższy poziom testosteronu, bez trudu zmusza innych do posłuszeństwa. Zobaczył mój niepokój i nie chcąc mnie zrazić, wyciszył się i tylko pokręcił głową z dezaprobatą, co miało oznaczać, że nie zrozumiałam zasad, jakie narzucił.

— Czy ma pani jakiś szczególny powód, żeby mi o tym teraz wspominać?

Mignęła mi w pamięci cała lista szczególnych powodów. Uśmiechnęłam się miło i podniosłam ręce na znak grzecznego protestu, jak policjant z drogówki, któremu znudziło się słuchanie tłumaczeń.

— Byłabym wdzięczna, gdyby rzucił pan okiem na fragmenty dotyczące pańskiej osoby — powiedziałam bez specjalnego nacisku.

Wiedziałam, że się zgodzi. Muszę tylko poczekać, aż dojdzie do wniosku, że to nieuniknione.

Wyjaśniam, że w poszukiwaniu materiałów natrafiłam w Internecie na strony z jej notatkami. Przerzucam kolejne strony książki, która prawie jest już gotowa, wskazuję fragmenty dotyczące

jego osoby. Tłumaczę, że nie wiem, czy potrzebna mi jego zgoda na zamieszczenie tych kawałków.

\* \* \*

Przez kilka sekund panuje martwa cisza. W końcu Czernik nie wytrzymuje:

— Czy pani ją znała?

— Nie.

Cóż mu powiem, skoro nawet samej sobie nie potrafię wyjaśnić rodzaju porozumienia, jakie się między nami wytworzyło.

— Uratowałam jej życie. Chyba w zamian za to dała mi materiały do artykułów i książki.

To wszystko, co mogę mu powiedzieć.

Lepiej niech pani wrzuci to do ognia i zapomni o wszystkim. To była zła kobieta.

— W jakim sensie zła? Zabiła kogoś?

— Właściwie nie. Miała ludzi, którzy robili takie rzeczy. Ale kiedyś jej się zdarzyło. Był napad, policjanci zrobili obławę, uciekała i uderzyła w jadący spokojnie samochód. Zepchnęła go z mostu i odjechała. To była chyba pani rodzina. Piszę pani książkę o morderczyni własnej rodziny.

Powiedział to z satysfakcją. Wydał jeszcze z siebie krótki śmiech, jakby to było zabawne.

Najeżyłam się, ale on tego nie widzi i kontynuuje:

— Pani mąż pracuje dla mnie dla tej właśnie informacji. Od lat szukał, rozpytywał, zależało mu, więc zaproponowałam układ. On zrobi dla mnie program, ja mu powiem, jak to naprawdę było z tym wypadkiem. To dobry producent, jestem z niego zadowolony, będę miał dla niego więcej zleceń, więc mogę skorzystać z okazji i przekazać informację już teraz.

Michał! A więc to dlatego.

W ustach siedzącego przede mną mężczyzny jest to takie proste, takie oczywiste. Chociaż w sumie dla mnie też powinno być oczywiste, że Michał musiał mieć naprawdę istotny powód, by zrobić to, co zrobił. Chciałabym o tym pomyśleć, ale nie teraz. Będę na to miała czas później.

Widzę spojrzenie skupione na moich papierach. Nie muszę podążać za jego wzrokiem, by wiedzieć, co zwróciło jego uwagę. To skrawek kartki, na której spisałam hasła i numery kont. Gdy wyjmowałam swoje notatki, przypadkiem wyleciała i leży teraz między szpargałami. Są na niej cyfry, które przyciągają jego wzrok. Wiem, co znaczą, i on też to wie. To ogromna kupa szmalu. Na wyciągnięcie ręki.

Nie spuszcza oczu z cyfr. Chciałby zapamiętać, ale się nie da.

— Może jeszcze wody mineralnej? — pyta.

Kiwam głową.

\* \* \*

Podaje mi szklanekę, a gdy cofa rękę, jestem pewna, że kartki nie ma tam, gdzie przed chwilą leżała. Ruch, jaki wykonał, był delikatny jak muśnięcie. Prawdziwy sztukmistrz.

Siada na swoim miejscu z głęboką satysfakcją faceta przekonanego, że wreszcie wziął sprawy w swoje ręce.

Nie protestuję. Nie mam najmniejszego zamiaru. Serce tłucze mi w piersi jak oszalałe. Jestem jednocześnie przerażona i zachwycona tym, co zrobiłam. Czasami sama się siebie boję.

*Zrobiłaś to, zrobiłaś.*

A co, do diabła.

Możemy już iść.

— Proszę nie zapomnieć wyrzucić tego do śmieci. — Wskazał na mój maszynopis. — Nie zgadzam się na publikowanie niczego, co dotyczy mojej osoby.

Wiedziałam, że nie oczekiwał odpowiedzi, ale kiwnęłam głową, że zrozumiałam. Co ważniejsze, wiedziałam, że jeszcze coś powie.

— W zasadzie obejdzie się też i bez tego artykułu o mnie. Rozmyśliłem się. Nie potrzebuję rozgłosu.

Jeszcze raz kiwnęłam głową ze zrozumieniem. Pewnie, przecież dostał to, o co mu naprawdę chodziło.

Oddałam mu kartki z pytaniami i odpowiedziami, które sam wymyślił.

Pożegnał się miło i kazał nam spadać.

Szliśmy spokojnym krokiem, ale tak naprawdę zwiewaliśmy stamtąd galopem, dziękując Bogu, że otwierają się przed nami te wszystkie drzwi.

## 30

Gdy znalazłam się na ulicy, pierwsze, co sobie uświadomiłam, to obecność tłumu. Wokół było pełno ludzi. Jakieś kobiety, jacyś mężczyźni, nie wiadomo co za jedni. Byłam im wdzięczna za to, że są.

Wszyscy poruszali się wolno i jakby gdzieś w oddali. Nie znałam ich, a oni nie znali mnie. Niektórzy przystawali, żeby zamienić z kimś słowo, a potem szli dalej i znikali z mojego życia. Nadchodzili następni.

Z przeciwka zbliża się facet, którego spotykam ostatnio tak często. Spoglądamy na siebie. Jeszcze kilka kroków i wejdziemy w swoje przestrzenie. Nasze myśli za ułamek sekundy się splączą. Wtedy nastąpi taka dziwna chwila, gdy przedrzemy się przez granice naszej prywatności i dowiemy się więcej o sobie. Już wiem, że jednym spojrzeniem w oczy można nagiąć czyjeś myśli do swojej woli.

To niemal magia, sekretna wiedza i ja jej doświadczyłam.

Mijamy się.

Uniesieniem brwi pyta, jak poszło.

Przymknięciem powieki daję odpowiedź twierdzącą.

I tyle.

To ktoś, kto mnie chroni. Jest ich tu więcej. Jedno spojrzenie, przed którym nie zablokował się dość szybko, i już wiem, jak wszystko się zaczęło. I gdzie jest syn Zofii.

*No cóż, czas na mnie. Dzisiaj jest mój pogrzeb. Dobrze się spisalaś. Nie chciałam tego, co się wtedy stało, tak jak i ty nie chciałaś tego, co zrobiłaś mnie. Ale zawsze, ale to zawsze zadziwiała mnie nieprzewidywalność świata. Tak czy owak, jesteście chyba kwita. Zostawiam to, co zgodnie z umową ci się należy.*

Gdzieś w tyle głowy kołacze mi seria cyfr.

Numer konta w banku.

Zapłata za książkę, którą muszę skończyć.

Wsluchuję się w siebie, ale czuję się dziwnie pusta. Czyżbym została sama?

NO NIE. PRZECIEŻ JESZCZE JA JESTEM.

Czuję ból w dole brzucha.

Muszę pojechać do domu, zanim wrócę do redakcji. Wezmę jakąś tabletkę, bo kolka aż mi rozsadza wnętrzności.

W samochodzie powiedziałam Szymkowi, że właśnie wystawiliśmy Czernika.

Biedny Szymon, najpierw pozieleniał, a potem dostał czkawki. Będzie wspominał ten dzień do końca życia.

Odwiozłam go do redakcji, a sama pojechałam do domu. Gdy mijalam restaurację na skarpie, dźwig wyciągał fragmenty dzwoniącego drzewa. To w nie uderzył piorun i rozłupał je na pół.

Zatrzymałam samochód i wsłuchałam się w ciszę.

W domu panowała taka sama.

Ogarnęła mnie panika, że chłopak już odszedł, zniknął na zawsze, nie pożegnał się nawet, ale gdy wyrzłam przez okno, odetchnęłam z ulgą. Stał razem z Maciakową na werandzie jej domu. Oboje ubrani byli na czarno, jakby wybierali się na pogrzeb. Poprawiała mu krawat.

Dlaczego niczemu się nie dziwię?

Pewnie będą chcieli, żebym ich zawiozła.

Zastanawiałam się, czy powinnam.

Czasami jest jednak tak, że trzeba po prostu zamknąć oczy, głęboko odetchnąć i przebaczyć.

Mrowienie w dole brzucha stawało się coraz dotkliwsze. Zaczęłam przetrząsać apteczkę w poszukiwaniu czegoś, co mi pomoże.

Szkiełko, przesuwające się od kilku tygodni gładko po podbrzuszu, nagle utknęło. A potem przeszył mnie ostry ból. Zgięta wpół zobaczyłam, jak po nodze spływa mi strużka krwi.

Dziękuję Ci, Boże.

NALEŻAŁO CI SIĘ.

Kątem oka zobaczyłam, jak Maciakową i chłopak zamykają drzwi, zaraz będą u mnie, ale zanim tu dotrą, muszę jeszcze zadzwonić do Michała i powiedzieć mu o tym, co się stało.

Będzie zdumiony. Zdu–Mio–ny.

Odebrał po pierwszym sygnale, jakby tam czekał na mój znak.

Miałam mu tyle do powiedzenia, ale tylko dwa słowa pasowały do tej sytuacji:

— Mam okres.

I usłyszałam to, co chciałam usłyszeć:

— Już jadę.

\* \* \*

Teraz, gdy opowiedziałam wam tę historię, uświadomiłam sobie, że zakończenie mogło być całkiem inne. Mogło być wiele zakończeń. Ale było takie, jakie wszyscy sobie wyobrażają, że powinno być.

Kilka dni później Czernik został aresztowany. Okazało się, że wszystko, co należało do Zofii, było już dużo wcześniej zarejestrowane i skatalogowane przez policję. Obserwowano, kto przejmie jej interesy. To, że zrobi to Czernik, było raczej oczywiste. Chodziło tylko o niepodważalne dowody przeciwko niemu.

Sekretarz pierwszy zaczął sypać Czernika, a wiedział o nim wszystko.

Naczelny przestał być naczelnym. Gazeta przetrwała dzięki moim artykułom.

Laura usiłuje odzyskać straconą pozycję i pewnie jej się uda. Mnie to już niewiele obchodzi, bo Michał wrócił. Będziemy mieli dziecko. Może całą gromadę.

Syn Zofii zamieszkał u Maciakowej. W końcu pieniądze na budowę domu dała jego matka.

Czuwamy nad nimi, ale oboje dają sobie doskonale radę.

Mnie od czasu do czasu chodzą po głowie cyfry konta bankowego.



Jeszcze nie wiem, czy z niego korzystam.  
Ale przecież książkę napisałam, no nie? I zapłata mi się należy.  
Zastanowię się nad tym. Nie ma pośpiechu.